

Agatha Christie

Zwierciadło pęka w odłamków stos

Przełożyła Elżbieta Gepfert

Tytuł oryginału angielskiego The Mirror Crack'd from Side to Side

Zerwana, nic jak cienia włos.

Zwierciadło pęka w odłamków stos;

„Klątwa nade mną”, krzyczy w głos

Pani z Shalott

A.TENNYSON

Przeł. Piotr W. Cholewa

Dla Margaret Rutherford

z podziwem

I

Panna Jane Marple siedziała przy oknie. Wychodziło ono na ogród, niegdyś źródło jej dumy. Lecz teraz już nie. Dzisiaj wyglądała przez okno i niechętnie marszczyła brwi. Nie wolno jej pracować przy grządkach: żadnego schylania się, żadnego kopania, sadzenia, najwyżej odrobina przycinania. Stary Laycock przychodził trzy razy w tygodniu i bez wątpienia starał się jak najlepiej. Lecz za najlepsze (a nie było tego wiele) uważał to, co odpowiadało jego, nie pracodawcy poglądom. Panna Marple dokładnie wiedziała i informowała go, co i kiedy powinno się robić. Stary Laycock demonstrował wtedy swój szczególny talent, mianowicie umiejętność entuzjastycznej zgody, a następnie braku realizacji.

— Zgadza się, psze pani. Posadzimy te lilie tam, a dzwonki przy murze. Jak pani każe, wszystko będzie gotowe w przyszłym tygodniu.

Tłumaczenia Laycocka były zawsze przekonujące i bardzo przypominały wyjaśnienia kapitana George'a z „Trzech panów w łódce”, dlaczego unika wychodzenia w morze. Według kapitana, wiatr zawsze wiał ze złej strony: albo w kierunku brzegu, albo od brzegu, albo z niepewnego zachodu, albo z jeszcze bardziej zdradzieckiego wschodu. U Laycocka argumentem była pogoda. Za sucho, za mokro, za dużo wody, czuje się mróz w powietrzu. Albo najpierw musiał załatwić coś niezwykle ważnego (związanego najczęściej z kapustą lub brukselką, które hodował w niezwykle ilościach). Zasady ogrodnictwa były dla niego proste i żaden pracodawca, choćby nie wiem jak doświadczony, nie potrafił ich wykorzystać.

Na zasady te składało się wiele filiżanek słodkiej i mocnej herbaty, służącej jako zachęta do wysiłku, intensywne zmiatanie liści jesienią, a także odrobina przesadzania jego ulubionych roślin, głównie astrów i szaławii, żeby — jak to określał — ładnie wyglądały latem. Całym sercem popierał spryskiwanie róż przeciw mszycom, a na żądanie głębokiego okopania słodkiego groszku odpowiadał zwykle, że powinno się zobaczyć jego słodki groszek! Znakomite plony w zeszłym roku i to bez żadnych dziwacznych zabiegów.

Trzeba uczciwie przyznać, że był przywiązany do swoich pracodawców i niekiedy ustępował im (pod warunkiem, że nie wiązało się to z ciężką pracą). Uważał jednak, że naprawdę ważne są tylko jarzyny: ładna kapusta sabaudzka czy nieco poskręcana włoska. A kwiaty to taki kaprys, którym lubią zajmować się damy, ponieważ nic lepszego nie mają do roboty. Okazywał swoje przywiązanie, wręczając bukiety wspomnianych wyżej astrów, szaławii, lobelii i chryzantem.

— Pracowałem trochę przy tych nowych domkach na Osiedlu. Zależy im na zadbanych ogródkach. Mają więcej roślin niż im trzeba, więc przyniosłem trochę i zasadziłem tam, gdzie te staromodne róże, które i tak nie wyglądały za dobrze.

Myśląc o tym wszystkim panna Marple odwróciła wzrok i zajęła się robótką.

Należało spojrzeć w oczy faktom: St Mary Mead nie było już tym miejscem co niegdyś. W pewnym

sensie, naturalnie, nic już nie było takie jak dawniej. Można mieć pretensje do wojny (obu wojen) albo do młodzieży, pracujących kobiet, bomby atomowej, czy po prostu do rządu — ale naprawdę oznaczało to tyle, że człowiek się starzeje. Panna Marple, która była damą wyjątkowo rozsądną, wiedziała o tym dobrze. Lecz z jakiegoś powodu bardziej odczuwała to w St Mary Mead — ponieważ tutaj od tak dawna był jej dom.

St Mary Mead i jego stare centrum pozostało właściwie nie zmienione. Stał „Błękitny Dzik”, kościół, plebania i kilka rezydencji z czasów króla Jerzego, do których należał i jej domek. Był też dom panny Hartnell i sama panna Hartnell, do ostatniego tchu walcząca z postępem. Panna Wetherby odeszła, a w jej domu mieszkała teraz rodzina dyrektora banku; odnowili go, a drzwi i okna pomalowali na jaskrawy błękit. Większość starych budynków zajmowali obecnie nowi lokatorzy, ale same domy pozostały właściwie takie same. Kupowali je ludzie tęskniący za, jak to nazywali agenci handlu nieruchomościami, „czarem starego świata”. Dorabiali tylko dodatkową łazienkę, wydawali sporo pieniędzy na urządzenia wodno–kanalizacyjne, elektryczne kuchenki i zmywarki do naczyń.

Ale choć domy prawie się nie zmieniły, o ulicy trudno było powiedzieć to samo. Gdy tylko nowy właściciel przejmował sklep, czekała go natychmiastowa i gwałtowna modernizacja. Sklep rybny z przeszklonymi wystawami, za którymi lśniła mrożona ryba trudno wręcz było rozpoznać. Rzeźnik pozostał konserwatywny — dobre mięso to dobre mięso, jeśli tylko człowiek ma pieniądze, by za nie płacić. A gdy nie, bierze tańsze okrawki i łykowate resztki, i też się cieszy. Barnes, właściciel sklepu kolonialnego, wciąż trwał na posterunku nie zmieniony, za co panna Hartnell, panna Marple i inne damy codziennie dziękowały niebiosom. Mogły sięść przy ladzie na „usługnych” krzesłach i prowadzić miłe pogawędki o plastrach bekonu i odmianach sera. Jednak na końcu ulicy, gdzie kiedyś znajdował się sklep z wikliną pana Tomsa, stał błyszczący nowy supermarket — przekleństwo starszych dam z St Mary Mead.

— Całe paczki różnych rzeczy, o których człowiek nawet nie słyszał — wykrzykiwała panna Hartnell. — I te wielkie pudła owsianki, jakby nie można było przyrządzić dziecku porządnego śniadania z jajek na bekonie. A na dodatek chcą, żeby człowiek sam nosił koszyk i szukał sprawunków. Czasem przez piętnaście minut nie można znaleźć tego, co potrzebne. A wszystko mają w niewygodnych opakowaniach: albo za duże, albo za małe. A potem taka długa kolejka do kasy. Bardzo meczące. Oczywiście to wszystko świetnie się nadaje dla ludzi z Osiedla...

W tym miejscu przerywała.

Ponieważ było teraz rzeczą zwyczajną, że tym właśnie słowem kończyły się zdania. Osiedle i kropka, jak mawiali w nowomodnym żargonie. Osiedle miało swoją własną osobowość i zaczynało się z dużej litery.

Panna Marple krzyknęła z irytacji. Znowu zgubiła oczko. Mało tego, musiała zgubić je już dość dawno. Dostrzegła to dopiero teraz, gdy powinna zacząć tracić oczka do kołnierzyka. Wzięła zapasowy drut, podniosła robótkę do światła i przyjrzała się uważnie. Nawet nowe okulary nie pomagały. A to dlatego, pomyślała, że najwyraźniej nadchodził taki czas, kiedy okuliści niewiele mogli już zrobić, mimo swych luksusowych poczekalni, nowoczesnych instrumentów, jaskrawych

świateł, którymi błyskali w oczy i bardzo wysokich opłat. Panna Marple z pewną nostalgią wspomniała, jak dobry miała wzrok jeszcze kilka (no, może nie kilka) lat temu. Z doskonałego punktu obserwacyjnego w ogrodzie niewiele wydarzeń w St Mary Mead umykało jej czujnym oczom. A z pomocą ornitologicznej lornetki (zainteresowanie ptakami było tak użyteczne!) mogła widzieć... przerwała i pozwoliła myślom odbiec w przeszłość. Ann Protheroe w letnim płaszczu, idąca do ogrodu przy plebani! i pułkownik Protheroe — biedny człowiek (bardzo męczący i nieprzyjemny człowiek, ale zginąć w taki sposób). Pokręciła głową i pomyślała o Griseldzie, ślicznej młodej żonie pastora. Kochana Griselda, wierna przyjaciółka, co rok przysyła kartkę na Boże Narodzenie. Ten jej śliczny dzieciak był teraz przystojnym, młodym mężczyzną i to z bardzo dobrym zawodem. Chyba inżynier? Zawsze rozkładał na części wszystkie zabawki.

A za plebanią, gdzie kiedyś był przełaz i polna ścieżka, a dalej na łące krowy farmera Gilesa, teraz... teraz...

Osiedle.

Zresztą dlaczego nie, panna Marple zapytała siebie surowo. Takie rzeczy musiały się zdarzać. Domy były konieczne i podobno bardzo dobrze je budowali — tak przynajmniej słyszała. „Planowo”, czy jak to się nazywało. Ale dlaczego były tam same zaułki? Nie mogła tego pojąć. Zaułek Aubrey, Zaułek Longwood, Zaułek Grandison i cała reszta. Zresztą to wcale nie były zaułki. Panna Marple doskonale wiedziała, czym jest zaułek. Jej wuj był kanonikiem w Katedrze Chichester. Jako dziecko mieszkała razem z nim w zaułku.

To tak jak Cherry Baker, która zawsze nazywała staroświecką, pełną stylowych mebli bawialnię „foyer”. Panna Marple poprawiała ją łagodnie: „To bawialnia, Cherry”. A Cherry, ponieważ była młoda i uprzejma, próbowała to zapamiętać. Jednak wyraźnie „bawialnia” wydawało jej się bardzo zabawnym słowem i to „foyer” zawsze się jakoś wypsnęło. Ostatnio jednak zgodziła się na „salon”. Panna Marple bardzo lubiła Cherry. Na nazwisko miała Baker i mieszkała na Osiedlu. Była jedną z młodych żon, które robiły zakupy w supermarkecie i popychały wózki po spokojnych uliczkach St Mary Mead. Wszystkie eleganckie i zadbane, miały ufryzowane i zakręcone włosy, śmiały się i rozmawiały. Przypominały stadko rozbawionych ptaków. Z powodu podstępnych sideł sprzedaży ratalnej zawsze potrzebowały gotówki, choć ich mężowie zarabiali całkiem dobrze. Dlatego przychodziły, pomagały w domu i gotowały. Cherry była inteligentną dziewczyną, sprawną i szybką kucharką, grzecznie odbierała telefony i od razu dostrzegała błędy w rachunkach dostawców. Nie zawsze tylko pamiętała o odwracaniu materaców. A jeśli chodzi o zmywanie... Przechodząc obok kuchni, panna Marple zawsze odwracała głowę, by na to nie patrzeć. Metoda Cherry polegała na wrzucaniu wszystkiego do zlewu i polewaniu strumieniem detergentów. Panna Marple dyskretnie wycofała z codziennego użytku swój worcesterski serwis do herbaty; schowała go w szafce w kącie, skąd wynurzał się tylko na specjalne okazje. Zamiast tego kupiła nowoczesny serwis w jasnoszare wzory na białym tle, bez żadnych złociń, które można by zmyć w zlewie.

Jakże inaczej było dawniej... Wierna Florence na przykład, ten grenadier wśród służących... a także Amy, Clara i Alice, „milutkie pokojówki”, które przychodziły z sierocińca St Faith „po naukę”, a potem odchodziły do lepiej płatnej pracy. Niektóre były prostymi dziewczynami, a Amy wyraźnie ograniczona umysłowo. Plotkowały, rozmawiały z innymi posługaczkami z miasteczka, chodziły na spacer z pomocnikiem sprzedawcy ryb czy młodszym ogrodnikiem z Hallu albo którymś z subiektów

pana Barnes. Panna Marple myślała o nich z sympatią, wspominając wszystkie te wełniane płaszczyki, które później robiła na drutach dla ich potomstwa. Niezbyt dobrze radziły sobie z telefonem i całkiem fatalnie z arytmetyką. Za to wszystkie wiedziały Jak się zmywa i jak się ściele łóżko. Dysponowały raczej umiejętnościami niż wykształceniem. To dziwne, że dzisiaj wykształcone dziewczyny pracowały jako pomoce domowe; studentki z zagranicy lub te na wakacjach, dziewczęta *au pair* i młode mężatki jak Cherry Baker, które mieszkaly w rzekomych zaułkach na nowym Osiedlu.

Oczywiście, wciąż byli tacy ludzie jak panna Knight. Ta ostatnia myśl pojawiła się nagle w chwili, gdy kroki na piętrze wywołały ostrzegawcze brzęczenie żyrandola nad kominkiem. Panna Knight najwyraźniej zakończyła swój popołudniowy odpoczynek, a teraz wyjdzie na popołudniowy spacer. Za chwilę zajrzy tu i spyta, czy przynieść coś z miasta. Myśl o panie Knight wywołała u panny Marple zwykłą reakcję. Oczywiście to bardzo szlachetnie ze strony drogiego Raymonda (Jej siostrzeńca) i nikt nie może być bardziej uczynny niż panna Knight, i rzeczywiście panna Marple po ataku bronchitu była bardzo słaba, i doktor Haydock stanowczo stwierdził, że nie wolno jej sypiać samej w domu, gdy ktoś przychodzi tylko w dzień, ale... W tym miejscu urwała. Ponieważ nie było sensu kontynuować myśli, która brzmiała: gdyby tylko mógł to być ktoś inny niż panna Knight. Starsze damy w dzisiejszych czasach nie miały wielkiego wyboru. Oddane pokojówki wyszły z mody. W przypadku prawdziwej choroby można było wybierać pomiędzy kosztowną wykwalifikowaną pielęgniarką albo szpitalem. Ale kiedy mijało najgorsze, pozostawały już tylko panny Knight.

W pannach Knight nie ma nic złego, pomyślała panna Marple... Poza faktem, że były do obłędu irytujące. Niezwykle uczynne, gotowe współczuć podopiecznym, rozbawiać je, być wesołe, czarujące i generalnie traktować je jak lekko opóźnione w rozwoju dzieci.

— Ale ja — powiedziała do siebie panna Marple — chociaż może i jestem stara, na pewno nie jestem opóźnionym w rozwoju dzieckiem.

W tej właśnie chwili, oddychając ciężko, jak to miała w zwyczaju, panna Knight wkroczyła rażno do pokoju. Była potężną, ociężałą kobietą w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, z pracowicie ułożonymi siwymi włosami, w okularach, z cienkim, długim nosem, dobrodusznymi ustami i obwisłym podbródkiem.

— No, jesteście! — zawołała z promienną hałaśliwością, która miała rozweselić smutny zmierzch starości. — Mam nadzieję, że ucięłyśmy sobie małą drzemkę?

— Ja robiłam na drutach — odparła panna Marple, akcentując lekko zaimek, po czym z pewnym niesmakiem i zawstydzeniem przyznała się do słabości. — Zgubiłam oczko.

— No, no — powiedziała panna Knight. — Zaraz to naprawimy, prawda?

— Pani naprawi — rzekła panna Marple. — Ja niestety nie potrafię.

Lekko kwaśny ton nie został dostrzeżony. Panna Knight była jak zawsze skora do pomocy.

— Już — stwierdziła po chwili. — Proszę, moja droga. Teraz jest dobrze.

Choć pannie Marple zupełnie nie przeszkadzało, kiedy „drogą” (a nawet „złociutką”) nazywała ją sprzedawczyni w jarzynowym lub panienka w papierniczym, bardzo ją irytowało, gdy nazywała ją tak panna Knight. To jeszcze jedna z tych rzeczy, z którymi muszą się godzić starsze damy. Podziękowała uprzejmie.

— A teraz idę troszkę sobie poczłapać — oznajmiła żartobliwie panna Knight. — Niedługo wracam.

— Proszę się nie śpieszyć — powiedziała szczerze i uprzejmie panna Marple.

— Nie lubię zostawiać pani samej, moja droga. Coś mogłoby się stać.

— Zapewniam panią, że jestem całkiem zadowolona. Przypuszczam... — Przymknęła oczy. — ... może troszkę się zdrzemnę.

— Bardzo słusznie, moja droga. Czy mam coś przynieść?

— Może pani zajrzy do Longdona — powiedziała z namysłem panna Marple — i sprawdzi czy zrobili już zasłony. Przydałby mi się jeszcze jeden motek niebieskiej wełny od pani Wisley. I pudełko porzeczkowych pastylek z drogerii. Proszę też wymienić książkę w bibliotece. Ale niech pani nie bierze niczego spoza mojej listy. Ta ostatnia była zbyt straszna. Nie mogłam jej czytać. — Wyciągnęła „Przebudzenie wiosny”.

— Ojej, moja droga! Nie spodobała się pani? Myślałam, że będzie pani zachwycona. Taka śliczna historia.

— A gdyby to nie było za daleko, może zajrzałaby pani jeszcze do Halletta i sprawdziła czy mają trzepaczki do jajek. Ale takie z korbką z boku, a nie u góry.

(Doskonale wiedziała, że niczego takiego nie mają, ale ten sklep był najdalej.)

— Jeśli to nie za wiele... — mruknęła.

Lecz dla panny Knight nic nie było za wiele. — Ależ skąd — rzekła najwyraźniej szczerze. — Będę zachwycona.

Panna Knight uwielbiała zakupy. Stanowiły dla niej sól życia. Na zakupach spotykało się znajomych, można było porozmawiać, poplotkować ze sprzedawcami, obejrzeć artykuły w różnych sklepach. A poza tym można było na to przyjemne zajęcie poświęcić sporo czasu bez poczucia winy, że nie wraca się szybko do domu.

Tak więc panna Knight ruszyła wesoło, oglądając się przez ramię na kruchą staruszkę wyczywającą spokojnie przy oknie.

Panna Marple odczekała kilka minut na wypadek, gdyby panna Knight wróciła po siatkę, torebkę lub chusteczkę (była niezrównana w zapominaniu i wracaniu). Poza tym musiała dojść do siebie. Wymyślanie tylu niepotrzebnych sprawunków nieco ją zmęczyło. Po chwili wstała rześko, odłożyła

robótkę i stanowczym krokiem wyszła do przedpokoju. Zdjęła z haczyka letni płaszcz, wzięła laskę ze stojaka i zamieniła kapcie na parę solidnych butów. A potem bocznymi drzwiami wyszła z domu.

To zajmie jej przynajmniej półtorej godziny, oceniła. Co najmniej, przy wszystkich tych ludziach z Osiedla, którzy robią o tej porze zakupy.

Panna Marple wyobraziła sobie, jak u Longdona panna Knight bez powodzenia wypytuje o zasłony. Jej przypuszczenia były wyjątkowo trafne. W tej właśnie chwili panna Knight wykrzykiwała:

— Oczywiście, byłam przekonana, że nie są jeszcze gotowe. Ale obiecałam, że zajrzę, bo starsza pani o to prosiła. Biedne, drogie staruszki, tak niewiele mają radości. Trzeba im sprawiać przyjemność. To naprawdę słodka starsza pani. Trochę się posunęła, ale cóż w tym dziwnego. Coraz trudniej jej się skupić. A cóż to za prześliczny materiał. Czy jest także w innych kolorach?

Minęło przyjemne dwadzieścia minut. Kiedy panna Knight w końcu wyszła, starszy sprzedawca prychnął pogardliwie.

— Posunęła się, co? Uwierzę, kiedy sam zobaczę. Stara panna Marple była zawsze ostra jak brzytwa i moim zdaniem nadal taka pozostała.

Po czym zajął się młodą kobietą w obcisłych spodniach i kurtce z żaglowego płótna, która szukała do łazienki ceratki w kraby.

— Emity Waters... „Właśnie ją mi przypomina — mówiła do siebie panna Marple z satysfakcją, którą zawsze odczuwała, gdy dopasowała czyjąś osobowość do innej, znanej z przeszłości. — Ten sam ptasi mózdzek. Zaraz, co się stało z Emily? Niewiele — stwierdziła po chwili. — Kiedyś prawie się zaręczyła, z wikarym, ale po kilku latach romans jakoś przycichł.

Panna Marple wyrzuciła z pamięci wspomnienie o swojej pielęgniarce i rozejrzała się po okolicy. Przeszła przez ogród, kątem oka rejestrując tylko, że Laycock przyciął staromodne róże w sposób odpowiedni raczej dla herbacianych krzyżówek. Ale nie pozwoliła, by zepsuło jej to przyjemność samotnego spaceru. Przepelniało ją uczucie radosnego oczekiwania na przygodę.

Skręciła w prawo, minęła bramę plebanii, a potem ścieżką dotarła na prawą stronę drogi. W miejscu dawnego przełazu tkwiła teraz żelazna brama otwierająca się na asfaltową alejkę. Ta prowadziła do zgrabnego mostku nad strumykiem, a na drugim brzegu, gdzie kiedyś pasły się na pastwiskach krowy, teraz rozciągało się Osiedle.

II

Czując się jak Kolumb, który wyrusza na odkrycie Nowego Świata, panna Marple przeszła przez mostek, podążyła dalej ścieżką i po czterech minutach znalazła się w Zaułku Aubrey.

Panna Marple, naturalnie, widziała Osiedle z Market Basing Road, to znaczy widziała je z daleka: od jego zaułków po rzędy małych, zgrabnych domków z antenami telewizyjnymi i kolorowymi drzwiami. Ale aż tej pory było to dla niej równie mało realne, jak mapa. Nigdy tu nie była. Lecz teraz znalazła się tutaj, obserwując rodzący się nowy, wspaniały świat, pod każdym względem obcy temu, który dotąd знаła. Przypominał model zbudowany z dziecięcych klocków. Pannie Marple wydawał się nierzeczywisty.

Ludzie też wyglądali nierealnie. Młode kobiety w spodniach, młodzi mężczyźni i chłopcy o dość ponurym wyglądzie, obfite biusty piętnastoletnich dziewcząt... Panna Marple nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że wyglądają na strasznie zdeprawowane. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wyszła z Zaułka Aubrey i znalazła się w Zaułku Darlington. Szła powoli i pilnie nasłuchiwała urywków rozmów między matkami pchającymi wózki, czy dziewcząt, które zwracały się do mężczyzn o ponurym wyglądzie, wymieniających mroczne uwagi. Matki wychodziły na schody, nawołując dzieci, zajęte jak zwykle robieniem tego wszystkiego, czego robić nie powinny. Dzieci, pomyślała z wdzięcznością panna Marple. Dzieci nigdy się nie zmieniają. Zdołała się nawet uśmiechnąć. Bo nie wszystko było takie obce. Ta kobieta wygląda zupełnie jak Carry Edwards, a tamta, ciemnowłosa, jak dziewczyna Hooperów i podobnie jak Mary Hooper nie zazna szczęścia w małżeństwie. Ci chłopcy... ten smagły jest całkiem podobny do Edwarda Leeke'a: dużo gada, ale ma dobre serce. Całkiem miły. A ten blondyn wypisz wymaluj Josh pani Bedwell. Obaj sympatyczni. A ten zupełnie jak Gregory Binn. Nie poradzi sobie w życiu. Pewnie ma taką samą matkę jak Gregory.

Skręciła w Zaułek Walsingham, nastrój poprawiał jej się z każdą chwilą.

Nowy świat nie różnił się od starego. Inne domy i ulice zwane zaułkami, inne ubrania, ale ludzie tacy sami jak zawsze. Może trochę inaczej mówili, ale wciąż na te same tematy.

Wielokrotnie skręcając w swej badawczej wyprawie, panna Marple straciła poczucie kierunku i znowu dotarła do granicy Osiedla. Znalazła się w Zaułku Carrisbrook, którego część wciąż jeszcze była w budowie. W oknie na piętrze prawie wykończonego domku stała młoda para. Omawiali uroki okolicy, a ich głosy słychać było aż na dole.

— Musisz przyznać, że to ładny dom, Harry.

— Poprzedni też był ładny.

— Ten ma o dwa pokoje więcej.

— I musisz za nie zapłacić.

— No tak, ale ten mi się podoba.

— Na pewno!

— Och, nie psuj zabawy. Wiesz, co mama mówiła.

— Twoja mama nigdy nie przestaje mówić.

— Nawet się nie waz narzekać na mamę. Gdzie bym teraz była, gdyby nie ona? I mogła to załatwić znacznie mniej elegancko. Mogła cię zaciągnąć do sądu.

— Och, daj spokój, Lily.

— Stąd jest piękny widok na wzgórza. Niemal widać... — wyjrzała pochylając się na lewo — ...zalew.

Wychyliła się jeszcze bardziej, nie widząc, że opiera się o leżące na parapecie luźne deski. Zsunęły się pod jej ciężarem na zewnątrz. Krzyknęła, próbując odzyskać równowagę.

— Harry...

Młody mężczyzna stał nieruchomo jakieś pół metra za nią. Cofnął się o krok...

Dziewczynie udało się złapać ścianę.

— Uff — odetchnęła jeszcze przestraszona. — Mało brakowało, a bym wypadła. Dlaczego mnie nie złapałeś?

— Wszystko stało się tak nagle. Ale przecież nic ci się nie stało.

— Tylko tyle umiesz powiedzieć. Przecież mogłam spaść. I patrz, jaki mam sweter... całkiem brudny.

Panna Marple przeszła kawałek dalej, a potem tknięta jakimś impulsem zawróciła.

Lily stała na ulicy, czekając aż młody mężczyzna zamknie dom.

Starsza dama podeszła do niej i powiedziała szybko, lecz niezbyt głośno:

— Na twoim miejscu, kochanie, nie wychodziłabym za tego młodego człowieka. Potrzebny ci ktoś, na kim mogłabyś polegać, gdy znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Wybacz, że ci to mówię, ale czuję, że trzeba cię ostrzec.

Odwróciła się, a Lily spojrzała na nią ze zdumieniem.

— No wie pani...

Młody mężczyzna zbliżył się.

— Co ona ci powiedziała, Lil?

— Ostrzegła mnie, jeśli już musisz wiedzieć. Niczym Cyganka. Przyglądała mu się w zamyśleniu.

Panna Marple chciała zniknąć im z oczu jak najszybciej, skręciła więc na rogu, ale potknęła się o jakiś kamień i przewróciła. Z pobliskiego domku wybiegła kobieta.

— O mój Boże, upadła pani! Mam nadzieję, że to nic groźnego. Z niemal przesadną troskliwością objęła pannę Marple i postawiła na nogi.

— Nic sobie pani nie złamała? O, teraz już dobrze. Na pewno jest pani w szoku.

Mówiła głośno i przyjaźnie. Była pulchną, kręłą kobietą około czterdziestki, z przyprószonymi siwizną kasztanowymi włosami i dużymi, szerokimi ustami, które oszołomionej pannie Marple wydawały się jakby zbyt pełne lśniących zębów.

— Lepiej niech pani wejdzie, usiądzie i odpocznie trochę. Przygotuję filiżankę herbaty.

Panna Marple grzecznie podziękowała. Pozwoliła wprowadzić się przez niebieskie drzwi do małego pokoju pełnego krzesel i foteli w jaskrawych, kretonowych pokrowcach.

— O tutaj — powiedziała jej wybawczyni, sadzając ją w miękkim fotelu. — Proszę spokojnie siedzieć, a ja wstawię wodę.

Wybiegła z pokoju, który po jej wyjściu wydał się przyjemnie cichy. Panna Marple odetchnęła głęboko. Nic się nie stało, chociaż ten upadek trochę ją oszołomił. W jej wieku należy unikać takich przeżyć. Jednak przy odrobinie szczęścia, pomyślała z poczuciem winy, panna Knight nie musi się dowiedzieć. Ostrożnie poruszyła ramionami i nogami. Niczego nie złamała. Byle tylko wrócić na czas do domu. Może po filiżance herbaty...

Herbata zjawiała się niemal w tej samej chwili, gdy panna Marple o niej pomyślała. Została podana na tacy razem, z czterema herbatnikami na małym talerzyku.

— Proszę. — Taca opadła na stoliczek przy fotelu. — Nalać pani? Proszę wziąć dużo cukru.

— Dziękuję, nie słodzę.

— Ależ musi pani. To najlepsze lekarstwo na szok. W czasie wojny jeździłam ambulansem. Nauczyłam się co nieco. — Wrzuciła do filiżanki cztery kostki i energicznie zamieszała. — Teraz proszę to wypić, a poczuje się pani jak nowo narodzona.

Panna Marple poddała się. Miła kobieta, pomyślała. Przypomina mi kogoś... Zaraz, kto to był?

— Jest pani bardzo uprzejma — powiedziała z miłym uśmiechem.

— Och, to drobiazg. Mały anioł stróż to właśnie ja. Lubię pomagać ludziom. — Wyjrzała przez okno, słysząc szcęk zamka przy furtce. — To mój mąż. Arthurze... mamy gościa.

Wyszła do przedpokoju i wróciła z mężczyzną, który wydawał się lekko zaskoczony. Był szczupły, blady i raczej powolny.

— Ta pani upadła, tuż przed naszą furtką, więc oczywiście zaprosiłam ją do środka.

— Pańska żona była bardzo miła, panie...

— Nazywam się Badcock.

— Panie Badcock. Obawiam się, że sprawiłam dużo kłopotu.

— Och, dla Heather to żaden kłopot. Ona lubi pomagać ludziom. — Przyjrzał się uważnie pannie Marple. — Czy szła pani w jakieś konkretnej sprawie?

— Nie, tylko spacerowałam. Mieszkam w St Mary Mead, w tym domu za plebanią. Nazywam się Marple.

— Coś takiego! — wykrzyknęła Heather. — Więc pani jest panną Marple! Słyszałam o pani. To pani załatwia wszystkie te morderstwa.

— Heather! Co ty...

— Och, wiesz co mam na myśli. Nie popełnia tych morderstw, tylko je rozpracowuje. Prawda?

Panna Marple mruknęła skromnie, że istotnie raz czy dwa była zamieszana w sprawę morderstwa.

— Słyszałam, że takie rzeczy zdarzały się w tym miasteczku. Mówili o tym wczoraj w klubie Bingo. Jedno nawet w Gossington Hall. Nie kupiłabym domu, który był sceną morderstwa. Na pewno byłby nawiedzony.

— Morderstwo nie zostało popełnione w Gossington Hall. Tylko przeniesiono tam zwłoki.

— Znaleźli je w bibliotece przed kominkiem? Panna Marple skinęła głową.

— Coś podobnego. Może zrobią o tym film? Pewnie dlatego Marina Gregg kupiła Gossington Hall.

— Marina Gregg?

— Tak. Ona i jej mąż. Zapomniałam jak on się nazywa, jest producentem czy reżyserem... Jason Jakiśtam. Ale Marina Gregg jest śliczna, prawda? Naturalnie w ostatnich latach nie występowała już tyle co dawniej, bardzo długo chorowała. Ale nadal uważam, że nie ma drugiej takiej aktorki. Widziała ją pani w „Carmenelli”? I w „Cenie miłości”, albo w „Mary, królowej Szkotów”? Nie jest już taka młoda, ale nadal cudowna. Zawsze ją uwielbiałam. Śniła mi się, kiedy byłam nastolatką. Do dziś pamiętam taki wielki festyn, którego dochód był przeznaczony dla St John Ambulance na Bermudach. Marina Gregg go otwierała. Szalałam z podniecenia. A dokładnie tego dnia dostałam temperatury i doktor powiedział, że nie mogę iść. Ale nic nie mogło mnie zatrzymać. Wstałam, zrobiłam mocny makijaż i poszłam. Przedstawiono mnie Marinie Gregg, rozmawiałam z nią trzy

minuty i dała mi autograf. To było cudowne. Nigdy nie zapomnę tego dnia.

Panna Marple przyglądała się z zaciekawieniem.

— Mam nadzieję, że nie odczuła pani żadnych nieprzyjemnych skutków? — spytała zatroskana.

Heather Badcock roześmiała się.

— Żadnych, nigdy nie czułam się lepiej. To pewne, że jeśli się czegoś pragnie, trzeba zaryzykować. Zawsze tak robiłam.

Roześmiała się znowu, wesoło i zaraźliwie.

— Nigdy nie dało się powstrzymać Heather — powiedział z podziwem Arthur Badcock.

— Alison Wilde — mruknęła panna Marple z satysfakcją kiwając głową.

— Słucham? — spytał Badcock.

— Nic takiego. To po prostu ktoś, kogo kiedyś znałam.

Heather spojrzała na nią z zaciekawieniem.

— Przypomniała mi ja pani, to wszystko.

— Naprawdę? Mam nadzieję, że była miła.

— O, bardzo miła — odparła wolno panna Marple. — Uprzejma, zdrowa, pełna życia.

— Ale miała też swoje wady, przypuszczam — roześmiała się Heather. — Ja mam.

— No cóż, Alison zawsze tak wyraźnie widziała własny punkt widzenia, że często nie zastanawiała się, jak sprawa może wyglądać czy wpłynąć na innych ludzi.

— Tak jak wtedy, kiedy przyjechałaś do domu rodzinę ewakuowaną z walącego się domu, a oni wynieśli się razem z naszymi sztuccami — zauważył Arthur.

— Ależ Arthurze! Nie mogłam im przecież odmówić. To byłoby nieuprzejme.

— Nasze rodowe srebra — stwierdził ze smutkiem pan Badcock. — Jeszcze z czasów Jerzego. Należały do babki mojej matki.

— Och, zapomnij o tych starych sztuccach, Arthurze. Nudzisz.

— Obawiam się, że zapominanie nie najlepiej mi wychodzi. Panna Marple przyjrzała mu się w zamyśleniu.

— A co teraz porabia pani przyjaciółka? — zapytała z uprzejmym zaciekawieniem Heather.

Panna Marple zastanawiała się chwilę.

— Alison Wilde? — powtórzyła — Och... umarła.

III

— Cieszę się, że wróciłam — stwierdziła pani Bantry. — Choć naturalnie bawiłam się świetnie.

Panna Marple ze zrozumieniem kiwnęła głową i przyjęła z rąk przyjaciółki filiżankę herbaty.

Kiedy pułkownik Bantry zmarł kilka lat temu, pani Bantry sprzedała Gossington Hall i spory kawałek ziemi wokół posiadłości. Zachowała dla siebie to, co kiedyś było domkiem myśliwskim: czarujący budynek z portykiem, pełen drobnych niewygód, gdzie nawet ogrodnik nie chciał zamieszkać. Pani Bantry wyposażyła domek w kluczowe elementy nowoczesnego życia: najnowszy model kuchenki, wodociąg, elektryczność i łazienkę. Kosztowało ją to sporo, ale nawet w przybliżeniu nie tyle, ile kosztowałyby próba pozostania w Gossington Hall. Zachowała także namiastkę odosobnienia: mniej więcej trzy czwarte akra porośniętego drzewami ogrodu. Jak wyjaśniała, „Cokolwiek zrobią z Gossington Hall, ja nie będę tego widzieć ani się tym martwić”.

Przez ostatnie kilka lat większą część roku spędzała w podróżach, odwiedzając dzieci i wnuki rozsiane po całym globie. Wracała od czasu do czasu, ciesząc się życiem we własnym domku. Gossington Hall raz czy dwa razy zmieniał właściciela. Przez jakiś czas był pensjonatem, zbankrutował, potem podzielono go na cztery oddzielne mieszkania, ale lokatorzy nie potrafili się dogadać. W końcu Ministerstwo Zdrowia kupiło posiadłość dla jakichś niejasnych celów, z których w efekcie zrezygnowało. Niedawno ministerstwo odsprzedało dom i o tej właśnie sprzedaży rozmawiały teraz przyjaciółki.

— Oczywiście słyszałam różne plotki — powiedziała panna Marple.

— Naturalnie — odparła pani Bantry. — Mówiono nawet, że będzie tu mieszkał Charlie Chaplin ze wszystkimi swoimi dziećmi. To by była świetna zabawa, ale niestety, nie ma w tym ani słowa prawdy. Nie, to z całą pewnością Marina Gregg.

— Ależ była piękna — westchnęła panna Marple. — Wciąż pamiętam jej wczesne filmy. „Przelotne ptaki” z tym przystojnym Joelem Robertsem. Albo ten o Mary, królowej Szkotów. I choć bardzo sentymentalny, ale szalenie podobał mi się „Przejsć przez zboże”. Ojej, jak to było dawno.

— No tak — przyznała pani Bantry. — Musi już mieć... jak sądzisz? Czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt?

Panna Marple uznała, że bliżej pięćdziesięciu.

— Występowała gdzieś ostatnio? Rzadko chodzę do kina.

— Tylko drobne role — wyjaśniła pani Bantry. — Od dawna nie jest gwiazdą. Przeżyła załamanie nerwowe po którymś z rozwodów.

— Ileż one wszystkie mają mężów — zadumała się panna Marple. — To musi być bardzo męczące.

— Mnie by to nie odpowiadało — odparła pani Bantry. — Kiedy już pokochasz mężczyznę, wyjdiesz za niego i przyzwyczajasz się, jakoś wszystko poustawiasz... żeby tak wszystko rzucić i zacząć od początku! To szaleństwo.

— Trudno mi coś na ten temat powiedzieć — odparła panna Marple chrząkając znacząco — ponieważ sama nigdy nie wyszłam za mąż. Ale wiesz, wydaje mi się, że to smutne.

— Chyba nic nie mogą na to poradzić — mruknęła pani Bantry wymijająco. — Chodzi o życie, jakie oni prowadzą. Takie publiczne. Poznałam ją — dodała. — To znaczy Marinę Gregg, gdy byłam w Kalifornii.

— I jaka ona jest? — spytała zaciekawiona panna Marple.

— Czarująca. Taka naturalna, nie zepsuta. — I dodała z namysłem. — To jakby przebranie.

— To znaczy co?

— Że jest nie zepsuta i naturalna. Uczysz się jak to robić, a potem musisz taka być przez cały czas. Pomyśl, czy to nie straszne? Nigdy nie możesz odepchnąć kogoś i powiedzieć: Na miłość boską, przestali marudzić. Na pewno urządzają te wszystkie pijaństwa i orgie, żeby zachować równowagę.

— Miała pięciu mężów? — spytała panna Marple.

— Co najmniej. Pierwszy się nie liczy. Potem jakiś zagraniczny książę czy hrabia. Następnie inny gwiazdor, Robert Truscott, prawda? Wspaniały romans, ale przetrwał tylko cztery lata. I Isidore Wright, dramatopisarz. To był dość poważny i spokojny związek. Miała z tym Wrightem dziecko. Zawsze pragnęła dziecka, nawet adoptowała kilka sierot. W każdym razie to było poważne. Bardzo to przeżywała. Macierzyństwo przez duże M. A potem, jeśli dobrze pamiętam, urodził się imbecyl czy kaleka, lub coś takiego. Przeżyła załamanie, zaczęła brać narkotyki, odrzucać role...

— Wiele o niej wiesz — zauważyła panna Marple.

— To chyba naturalne. Zainteresowałam się nią, kiedy kupiła Gossington Hall. Ostatni raz wyszła za mąż dwa lata temu i podobno znowu czuje się całkiem dobrze. On jest producentem, a może reżyserem? Zawsze mi się myli. Kochał ją od wczesnej młodości, ale wtedy niewiele znaczył. Teraz jest sławny, przynajmniej tak mi się zdaje. Zaraz, jak on się nazywa? Jason... Jason Jakośćtam... Jason Hudd, nie, Rudd, tak, na pewno. Kupili Gossington Hall, bo jest dobry dojazd do... — Zawahała się. — Elstree? — zaryzykowała.

Panna Marple pokręciła głową.

— Nie wydaje mi się. Elstree leży w północnym Londynie. — To takie nowe studio filmowe. O, już wiem Hellingforth.

Brzmi Jakby po fińsku, tak mi się zawsze wydawało. Jakieś sześć mil od Market Basing. Marina zamierza podobno zagrać w filmie o Elżbiecie Austriackiej.

— Skąd masz te wszystkie informacje? — zdumiała się panna Marple. — I to o prywatnym życiu filmowych gwiazd. Dowiedziałaś się tego w Kalifornii?

— Niezupełnie — odparła pani Bantry. — Z tych niesamowitych magazynów, które czytuję u fryzjera. Większości gwiazd nie znam nawet z nazwiska. Ale jak już mówiłam, ponieważ Marina Gregg i jej mąż kupili Gossington Hall, zainteresowałam się nimi. Doprawdy, co oni wypisują w tych czasopismach! Nie przypuszczam, żeby choć połowa z tego była prawdą. Pewnie nawet i ćwierć nie. Przecież to niemożliwe, żeby Marina Gregg była nimfomanką i nie sądzę też, by piła. A już na pewno nie zażywa narkotyków. Najprawdopodobniej wyjechała po prostu, żeby odpocząć, i wcale nie miała załamania nerwowego. Ale że się tu wprowadza to prawda.

— Podobno w przyszłym tygodniu — odezwała się panna Marple. — Tak szybko? Wiem, że dwudziestego trzeciego wypożycza

Gossington Hall na wielką imprezę dobroczynną, by zebrać fundusze dla St John Ambulance. Przypuszczam, że bardzo zmienili sam dom.

— Właściwie przerobili wszystko — odparła panna Marple. — Doprawdy byłoby o wiele łatwiej, a pewnie i taniej, gdyby rozebrali mury i zbudowali nowy.

— Pewnie łazienki?

— Sześć nowych, jak słyszałam. I palmiarnia. I basen. I to, co nazywają chyba oknami widokowymi. Zburzyli ścianę pomiędzy pracownią twojego męża i biblioteką, żeby zrobić pokój muzyczny.

— Arthur przewraca się w grobie. Wiesz, że nie znosił muzyki. Nie miał słuchu, biedaczek. Pamiętam jego minę, gdy jakiś znajomy zapraszał nas do opery! Pewnie wróci z zaświatów i będzie ich straszyl. — Przerwała nagle i zapytała szybko. — Czy ktokolwiek wspominał kiedyś, że Gossington Hall jest nawiedzony?

Panna Marple potrząsnęła głową.

— Nie jest — stwierdziła pewnym tonem.

— To nie przeszkadza ludziom powtarzać, że jest — zauważyła pani Bantry.

— Nikt nigdy wprost nie powiedział. — Panna Marple zawahała się, po czym dodała. — Tak naprawdę, to ludzie nie są głupcami. Nie w małych miasteczkach.

Pani Bantry spojrzała na nią szybko.

— Zawsze to powtarzasz, Jane. I trudno powiedzieć, żebyś nie miała racji.

Uśmiechnęła się nagle.

— Marina Gregg pytała mnie bardzo uprzejmie i delikatnie, czy nie będę cierpieć, widząc jak obcy zajmują mój dom. Zapewniłam ją, że wcale mi to nie przeszkadza. Chyba nie całkiem uwierzyła. Ale w końcu sama wiesz, Jane, że Gossington Hall to nie był nasz dom. Nie mieszkaliśmy tu z dziećmi, a przecież tylko to się liczy. To po prostu dom z kawałkiem ziemi, na której można było polować i łowić ryby. Kupiliśmy go, kiedy Arthur przeszedł na emeryturę. Wyobrażałam sobie, że prowadzić taki dom jest miło i przyjemnie. Trudno sobie wyobrazić, jak mogło mi coś takiego przyjść do głowy. Wszystkie te przejścia, schody i tylko czterech służących! Tylko! To były czasy, ha ha. — I nagle dodała. — Słyszałam, że się przewróciłaś. Ta Knight nie powinna wypuszczać de samej.

— To nie była wina biednej panny Knight. Zleciłam jej dużo zakupów, a wtedy...

— Specjalnie wypuściłaś ją na dłużej. Rozumiem. No cóż, nie powinnaś tego robić, Jane. Nie w twoim wieku.

— A skąd słyszałaś?

Pani Bantry uśmiechnęła się.

— W St Mary Mead niczego nie da się utrzymać w tajemnicy. Sama to mówiłaś. Pani Meavy mi powiedziała.

— Pani Meavy? — powtórzyła osłupiała panna Marple.

— Przychodzi codziennie. Jest z Osiedla.

— Ach, z Osiedla. — Nastąpiła typowa pauza.

— A co ty robiłaś na Osiedlu? — podjęła zaciekawiona pani Bantry.

— Chciałam się rozejrzeć. Zobaczyć, jacy tam są ludzie.

— I co o nich myślisz?

— Są tacy sami, jak wszędzie. Sama nie wiem, czy to rozczarowanie, czy pociecha.

— Sądzę, że rozczarowanie.

— Nie, myślę, że jednak pocieszenie. Możesz, jakby to powiedzieć, możesz rozpoznawać pewne typy. Kiedy coś się zdarzy, da się zrozumieć dlaczego i z jakich powodów.

— Chcesz powiedzieć „morderstwo”? Panna Marple spojrzała zaszokowana.

— Nie wiem skąd przyszło ci do głowy, że przez cały czas myślę o morderstwach.

— Daj spokój, Jane. Dlaczego nie postawisz sprawy jasno i nie nazwiesz siebie kryminologiem?

— Ponieważ nikim takim nie jestem — zapewniła z zapałem panna Marple. — Dysponuję po prostu pewną wiedzą o ludzkiej naturze, co zresztą jest naturalne, skoro przez całe życie mieszkałam w małym miasteczku.

— Chyba coś w tym jest — przyznała pani Bantry. — Choć, naturalnie, większość ludzi by się z tobą nie zgodziła. Twój siostrzeniec Raymond zawsze mawiał, że to miejsce to kompletna dziura.

— Kochany Raymond — westchnęła panna Marple. — Zawsze taki miły. Wiesz, to on płaci pannie Knight.

Wspomnienie panny Knight wprowadziło jej myśli na nowy tor. Panna Marple wstała.

— Lepiej już pójdę.

— Nie przyszłaś tu chyba na piechotę?

— Oczywiście, że nie. Przyjechałam w Inchu.

To nieco tajemnicze stwierdzenie zostało przyjęte z całkowitym zrozumieniem. W czasach już bardzo odległych pan Inch był właścicielem dwóch powozów, które wyjeżdżały na stację do pociągów. Wynajmowały je także miejscowe damy, by pojechać z wizytą, na herbatkę lub czasem z córkami na takie frywolne rozrywki, jak tańce. W swoim czasie Inch, wesoły, rumiany mężczyzna w wieku siedemdziesięciu lat, ustąpił miejsca synowi zwanemu „młodym Inchem” (wtedy czterdziestopięcioletniemu). Stary Inch nadal sam woził miejscowe damy, uznając, że syn jest zbyt młody i nieodpowiedzialny. By dotrzymać kroku postępowi, młody Inch wymienił konne powozy na samochody. Niezbyt dobrze radził sobie z maszynami, więc po kilku latach firmę przejął niejaki pan Bardwell. Jednak nazwa „Inch” przetrwała. Pan Bardwell po pewnym czasie sprzedał przedsiębiorstwo panu Robertsowi, lecz w książce telefonicznej firma figurowała wciąż pod oficjalną nazwą „Przedsiębiorstwo Taksówkowe Incha”. Starsze damy z miejscowego towarzystwa nadal mówiły, że jadą gdzieś „w Inchu”, jakby były Jonaszem, a Inch wielorybem.

— Dzwonił doktor Haydock — oznajmiła z wyrzutem panna Knight. — Powiedziałam, że wyszła pani na herbatkę do pani Bantry. Obiecał, że zadzwoni jutro. Pomogła pannie Marple zdjąć płaszcz.

— A teraz pewnie jesteśmy zmęczone — dodała oskarżycielskim tonem.

— Pani być może — odparła panna Marple. — Ja nie.

— Niech pani odpocznie chwilę przy kominku — zaproponowała panna Knight, jak zwykle nie zwracając uwagi na odpowiedź. (Nie trzeba specjalnie zważać na to, co mówią te kochane staruszki. Ja po prostu im ustępuję.) — A jak by nam smakowała filiżanka Ovaltyny? A może dla odmiany Horlicksa?

Panna Marple podziękowała, wyjaśniając, że wolałaby mały kieliszek wytrawnej sherry. Panna Knight spojrzała z dezaprobatą.

— Nie wiem, co powiedziałby na to doktor — oświadczyła wracając z kieliszkiem.

— Będziemy pamiętać, żeby go jutro o to zapytać — zapewniła panna Marple.

Następnego ranka panna Knight spotkała doktora Haydocka w przedpokoju i szeptała mu coś z podnieceniem.

Starszy lekarz wszedł do pokoju rozcierając ręce, gdyż rano było bardzo chłodny.

— Nasz pan doktor przyszedł nas zbadać — zawołała wesoło panna Knight. — Wezmę pana rękawiczki, panie doktorze.

— Mogą zostać tutaj — odparł Haydock rzucając je niedbale na stół. — Mroźny poranek.

— Może kieliszek sherry? — zaproponowała panna Marple.

— Słyszałem, że wczoraj piłaś. Pamiętaj, nigdy nie powinnaś robić tego sama.

Karafka i kieliszki stały już na stoliczku obok panny Marple.

Panna Knight wyszła z pokoju.

Doktor Haydock był bardzo starym przyjacielem. Właściwie przeszedł już na emeryturę, lecz nadal zajmował się niektórymi dawnymi pacjentami.

— Powiedziano mi, że upadłaś — powiedział, odstawiając kieliszek. — To niedobrze, zwłaszcza w twoim wieku. Uprzedzam cię. I słyszałem też, że nie chciałaś posłać po Sandforda.

Sandford był współnikiem Haydocka.

— Ta cała panna Knight i tak po niego posłała. I całe szczęście.

— Miałam tylko siniaka i byłam troszkę oszołomiona. Doktor Sandford też tak powiedział. Mogłam spokojnie poczekać, aż wrócisz.

— Posłuchaj, moja droga. Nie mogę wiecznie pracować. A Sandford, zapewniam cię, ma o wiele lepsze kwalifikacje ode mnie. To lekarz pierwsza klasa.

— Ci młodzi lekarze są wszyscy tacy sami — westchnęła panna Marple. — Zbadają ciśnienie krwi, sprawdzą co ci dolega, dadzą jakieś produkowane masowo tabletki. Różowe, żółte, brązowe. Medycyna w dzisiejszych czasach jest jak supermarket: wszystko opakowane.

— Dobrze by ci zrobiło, gdybym zaordynował pijawki, wywar, albo natarł ci plecy spirytusem kamforowym.

— Sama to robię, kiedy mam kaszel — odparła panna Marple. — I bardzo pomaga.

— Nie lubimy się starzeć, oto w czym problem — zauważył łagodnie Haydock. — Ja tego nienawidzę.

— W porównaniu ze mną jesteś młodym człowiekiem. Zresztą nie przeszkadza mi starość. Nie sama w sobie. Chodzi o te pomniejsze uciążliwości.

— Chyba rozumiem w czym rzecz.

— Nigdy nie mogę być sama! Trudno mi wręcz wyjść na parę minut. I nawet robótki na drutach... zawsze mi pomagały i naprawdę dobrze sobie radzę. Teraz ciągle gubię oczka, a często nawet tego nie zauważam.

Haydock przyjrzał się jej w zadumie. Potem błysnęły mu oczy.

— Zawsze istnieje odwrotna możliwość.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Jeśli nie możesz robić na drutach, to zacznij pruć. Tak jak Penelopa.

— Moja sytuacja jest zupełnie inna.

— Ale lubisz rozplątywanie. To w twoim stylu. — Wstał. — Muszę już iść. Najchętniej przepisałbym ci ładne, soczyste morderstwo.

— To okropne, co mówisz!

— Prawda? Tym niemniej zawsze możesz zająć się badaniem głębokości, na jaką zapada się pietruszka w masło w słoneczny dzień. Zawsze mnie to zastanawiało. Dobry, stary Holmes. Teraz to już historia. Ale nigdy nie będzie zapomniany.

Panna Knight wpadła do pokoju zaraz po wyjściu doktora. — I co? Wyglądamy o wiele lepiej. Czy doktor doradził coś na wzmocnienie?

— Doradził zainteresować się morderstwem.

— Jakimś przyjemnym kryminałem?

— Nie — odparła panna Marple. — Czymś prawdziwym.

— O Boże! — wykrzyknęła panna Knight. — Ale w takim miłym miejscu morderstwo chyba się nie zdarzy.

— Morderstwo — oświadczyła panna Marple — może zdarzyć się wszędzie. I zdarza się.

— Chyba że w Osiedlu — zastanawiała się panna Knight. — Wielu z tych młodych chłopców nosi noże.

Ale to morderstwo nie wydarzyło się w Osiedlu.

IV

Pani Bantry cofnęła się o krok, przestudiowała swoje odbicie w lustrze i lekko poprawiła kapelusz (nie była przyzwyczajona do kapeluszy). Włożyła jeszcze parę porządnych, skórzanych rękawiczek i starannie zamykając za sobą drzwi wyszła z myśliwskiego domku. Od rozmowy z panną Marple minęły mniej więcej trzy tygodnie. Marina Gregg z mężem przybyli do Gossington Hall i jakoś się tam urządzili.

Na to właśnie popołudnie zaprosili osoby zaangażowane w organizację przyjęcia dobroczynnego dla St John Ambulance. Pani Bantry nie należała do komitetu, ale Marina Gregg przygotowała herbatkę przed spotkaniem. Marina przypominała, że poznały się Już w Kalifornii i dodała: „Z serdecznymi pozdrowieniami. Marina Gregg”. Kartka była pisana ręcznie. Nie można zaprzeczyć, że zaproszenie schlebilo pani Bantry. W końcu gwiazda filmowa to jednak gwiazda filmowa, a starsze damy, choć być może znane w okolicy, nie mają żadnego znaczenia w wielkim świecie. Dlatego pani Bantry doznawała miłego uczucia — niczym dziecko, dla którego specjalnie zorganizowano przyjęcie.

Po drodze bystre oczy starszej pani rejestrowały coraz to nowe zmiany. Posiadłość była teraz bardziej szykowna niż w czasach, gdy przechodziła z rąk do rąk.

— Nie liczą się z kosztami — mruknęła do siebie pani Bantry, z aprobatą kiwając głową.

Z podjazdu nie widać było kwiatowego ogrodu, co także się jej spodobało. Kwiatowy ogród i otaczający go piękny trawnik sprawiały jej radość w tych odległych dniach, gdy sama mieszkała w Gossington Hall. Z żalem i nostalgią wspominała swoje irysy. Najpiękniejsze irysy w hrabstwie, pomyślała z dumą.

Stanąła przed błyszczącymi świeżą farbą frontowymi drzwiami i przycisnęła dzwonek. Po satysfakcjonującej krótkiej chwili otworzył jej mężczyzna, będący bez wątpienia włoskim lokajem. Wprowadził ją prosto do pokoju, który kiedyś był biblioteką pułkownika Bantry. Jak już słyszała, połączono ją z pracownią. Rezultat robił wrażenie. Ściany wyłożono boazerią, a podłogę parkietem. W jednym końcu stał fortepian, sąsiadował z nim najwyższej klasy gramofon. Na drugim końcu pokoju mieściło się coś, co można by nazwać małą wysepką, wyposażoną w perskie dywany, stoliczki i krzesła. Przy stoliku siedziała Marina Gregg. Obok, wsparty o kominek, stał człowiek, którego pani Bantry uznała za najbrzydszego mężczyznę, jakiego widziała w życiu.

Kilka chwil wcześniej, właśnie gdy dłoń pani Bantry sięgała do przycisku dzwonka, Marina Gregg zwróciła się do męża łagodnym, choć pełnym entuzjazmu głosem.

— To miejsce jest cudowne, Jinks, po prostu cudowne. Coś, czego zawsze pragnęłam. Cisza. Angielski spokój, angielski krajobraz. Mogę sobie wyobrazić, że jeśli będzie trzeba, spędzę tutaj nawet całe życie. Poznamy angielski styl. Każdego popołudnia będziemy pili chińską herbatę z mojego ślicznego serwisu w stylu króla Jerzego. I wyglądali przez okno na te przepiękne angielskie

trawniki. Czuję się tak, jakbym w końcu wróciła do domu. Chyba mogłabym tu osiąść, być spokojna i szczęśliwa. To miejsce stanie się moim domem. Tak czuję. Dom.

Jason Rudd (dla swojej żony Jinks) uśmiechnął się. Był to uśmiech przychylny i pobłażliwy, choć nie pozbawiony pewnej rezerwy. Jason już wiele razy słyszał podobne słowa. Być może tym razem okaże się to prawdą. Może tutaj Marina Gregg poczuje, że jest w domu., Jednak zbyt dobrze znał te wybuchy entuzjazmu. Zawsze była tak pewna, że znalazła w końcu to, do czego dążyła.

— Jest wspaniały, skarbie — przyznał. Jego głos miał miłe, dźwięczne brzmienie. — Naprawdę wspaniały. Cieszy mnie, że ci się podoba.

— Podoba? Jestem zachwycona. A ty nie?

— Oczywiście — zapewnił Jason. — Oczywiście.

Dom nie jest taki zły, pomyślał. Dobry, porządnie zbudowany, w dość brzydkim wiktoriańskim stylu. Musiał przyznać, że robił solidne i bezpieczne wrażenie. Teraz, kiedy te najgorsze z niewyobrażalnych wręcz braków zostały uzupełnione, można tu mieszkać w miarę wygodnie. Odpowiednie miejsce, by wracać od czasu do czasu. Przy odrobinie szczęścia, pomyślał, Marina nie zniechęci się przez jakieś dwa, dwa i pół roku.

Westchnęła cicho.

— Jak cudownie znów czuć się dobrze. Znowu być zdrową i silną. Radzić sobie ze światem.

A on powtórzył:

— Oczywiście, kochanie. Oczywiście.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i włoski lokaj wprowadził panią Bantry.

Marina Gregg zachowała się czarująco. Wyszła na spotkanie, wyciągając ręce i powtarzając, jak miło jest znowu widzieć panią Bantry. I cóż za przypadek, że po spotkaniu w San Francisco przed dwoma laty, ona i Jinks kupili właśnie ten dom. I ma nadzieję, naprawdę ma nadzieję, że pani Bantry nie przeszkadza to przemeblowanie i wszystkie zmiany. I że pani Bantry nie traktuje ich jak intruzów.

— Wasz przyjazd to jedno z najbardziej ekscytujących wydarzeń, jakie tu miały miejsce — oświadczyła pani Bantry uprzejmie i rzuciła okiem w stronę kominka.

Marina Gregg jakby dopiero teraz sobie o tym przypomniała.

— Nie zna pani mojego męża, prawda? — powiedziała. — Jasonie, to jest pani Bantry.

Pani Bantry spojrzała z zaciekawieniem. Pierwsze wrażenie, że Jason Rudd jest najbrzydszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, zostało nieco złagodzone. Miał interesujące oczy, wyjątkowo głęboko osadzone. Przepastne i spokojne jeziorka, pomyślała pani Bantry i poczuła się niczym autorka romansów. Reszta twarzy była wyraźnie kanciasta, niemal śmiesznie

nieproporcjonalna. Nos sterczał w górę, a odrobina czerwonej farby bez trudu zmieniały go w nos kłowna. Usta też były duże i smutne, jak u kłowna. Pani Bantry nie wiedziała, czy był właśnie w tej chwili wściekły, czy zawsze tak wyglądał. Kiedy przemówił, głos miał nieoczekiwanie przyjemny, głęboki i powolny.

— O mężu — powiedział — nie należy zapominać. Ale zapewniam panią, że żona bardzo się cieszy, mogąc panią gościć. Mam tylko nadzieję, że w pani przekonaniu nie powinno być odwrotnie.

— Musicie wybić sobie z głowy takie pomysły — oświadczyła pani Bantry. — Nie zostałam wypędzona z mojego domu. To nigdy nie był mój dom. Gratulowałam sobie w dniu, kiedy udało mi się go sprzedać. Jego prowadzenie było wyjątkowo kłopotliwe. Lubiłam ogród, ale dom to prawdziwa udręka. Od kiedy stąd odeszłam, prowadzę naprawdę ciekawe życie. Jeżdżę za granicę i odwiedzam moje zamężne córki, wnuki oraz przyjaciół we wszystkich częściach świata.

— Córki — powtórzyła Marina Gregg. — Ma pani córki i synów?

— Dwóch synów i dwie córki — odparła pani Bantry. — I każde w innej części świata. Jeden w Kenii, jeden w Południowej Afryce. Jedna gdzieś w Teksasie, a druga, dzięki Bogu, w Londynie.

— Czwooro — powiedziała Marina Gregg. — A wnuki?

— Do tej pory dziewiątka. Być babcią to świetna zabawa. Nie trzeba się martwić rodzicielską odpowiedzialnością. Można rozpuszczać dzieci bez żadnych ograniczeń...

Jason Rudd przerwał jej.

— Obawiam się, że słońce świeci pani w oczy. — Podeszedł do okna i poprawił żaluzje. — Musi nam pani opowiedzieć o tym prześlicznym miasteczku — dodał wracając.

Podał jej filiżankę herbaty.

— Może ma pani ochotę na ciepłą bułeczkę, kanapkę lub kawałek ciasta? Mamy włoską kucharkę, która robi całkiem niezłe ciasto. Jak pani widzi, przejeśliśmy już wasz zwyczaj picia herbaty.

— Znakomita — pochwaliła pani Bantry, sącząc wonny napój.

Marina Gregg uśmiechnęła się z zadowoleniem. Zniknęło nerwowe drżenie palców, które minutę czy dwie wcześniej zaniepokoiło Jasona. Pani Bantry spoglądała na gospodynię z podziwem. Najlepsze dni Mariny Gregg minęły, zanim w prasie zapanowała moda na statystyki. Ale nawet wtedy nikt nie mógł jej nazwać „Wcieleniem seksu”, albo „Najwspanialszym biustem” czy „Pięknym torsem”. Była wysoka, szczupła i wiotka. Jej twarz miała to niezwykle piękno, kojarzone zazwyczaj z Gretą Garbo. Do swoich filmów wprowadzała raczej osobowość niż seks. Nagły ruch głowy, otwarcie przepastnych, głębokich oczu, lekkie drżenie ust... wszystko to zapierało widzom dech w piersi, robiło wrażenie urody, która nie bierze się z regularności rysów, a raczej jest odbiciem niezwyklej osobowości. Wciąż miała to coś, choć może już nie tak widoczne. Posiadała rzadką umiejętność wyłączania osobowości. Potrafiła zamknąć się w sobie i spokojna, uprzejma, wręcz chłodna zniechęcić natrętnego wielbiciela. A potem nagły obrót głowy, ruch ręki, uśmiech — i magia

powracała.

Jednym z jej najsłynniejszych filmów był „Maria, królowa Szkotów” i on właśnie przypomniał się pani Bantry, gdy przyglądała się aktorce. Potem spojrzała na męża, który także obserwował Marinę. Odkrył się, twarz wyraźnie zdradzała jego uczucia. O Boże, pomyślała pani Bantry. Ten człowiek ją uwielbia.

Sama nie wiedziała, dlaczego jest tym zaskoczona. Gwiazdy filmowe i ich romanse były tak często opisywane w prasie, że człowiek nie spodziewał się, by kiedyś zobaczył to na własne oczy. Pod wpływem impulsu powiedziała:

— Mam nadzieję, że będzie się wam tu podobać i zostanieie przez jakiś czas. Czy na długo zamierzają państwo zatrzymać ten dom?

Marina szeroko otworzyła oczy.

— Chcę tu zostać na zawsze — odparła. — Och, to nie znaczy, że nie będę musiała często wyjeżdżać. Oczywiście, że tak. W przyszłym roku mamy kręcić film w północnej Afryce, choć jeszcze nic nie jest ustalone. Ale tu będzie mój dom. Tutaj będę wracała. Zawsze będę mogła wrócić. — Westchnęła. — I to właśnie jest takie cudowne. Wreszcie znalazłam dom.

— Rozumiem — powiedziała pani Bantry, a równocześnie pomyślała: „Ani przez chwilę w to nie wierzę. Nie wierzę, że należysz do ludzi, którzy potrafią gdzieś osiąść na stałe”.

Raz jeszcze ukradkowo obrzuciła wzrokiem Jasona Rudda. Nie był teraz nachmurzony. Uśmiechnął się nieoczekiwanie, ciepłym i smutnym uśmiechem.

On też o tym wie, pomyślała pani Bantry.

Drzwi otworzyły się i weszła jakaś kobieta.

— Telefon od Bartlettsów, Jasonie — oznajmiła.

— Powiedz im, żeby zadzwonili później.

— Mówią, że to pilne. Wstał z westchnieniem.

— Pozwól, że przedstawię cię pani Bantry — powiedział. — Ella Zielinsky, moja sekretarka.

— Może napijesz się herbaty, Ello — zaproponowała Marina, gdy Ella Zielinsky pochyliła głowę i rzuciła z uśmiechem: „miło mi panią poznać”

— Zjem kanapkę — odparła Ella. — Nie lubię chińskiej herbaty.

Ella Zielinsky wyglądała na trzydzieści pięć lat. Nosila dobrze skrojoną garsonkę, bluzkę z żabotem i zdawało się, że wręcz oddycha pewnością siebie. Miała krótko ścięte czarne włosy i szerokie czoło.

— Podobno pani kiedyś tu mieszkała? — zwróciła się do pani Bantry.

— To było sporo lat temu. Kiedy umarł mój mąż, sprzedałam dom. Od tego czasu zmienił kilku właścicieli.

— Pani Bantry twierdzi, że nie denerwują jej zmiany, jakie tu wprowadziliśmy.

— Byłabym strasznie rozczarowana, gdybyście zostawili wszystko po staremu — zapewniła pani Bantry. — Muszę przyznać, że pożerała mnie ciekawość. Niesamowite plotki krążyły po miasteczku.

— Nie zdawałam sobie sprawy, jak trudno jest w tym kraju o hydraulików — stwierdziła panna Zielinsky wgrzyzając się w kanapkę. — Nie twierdzę, że znalezienie ich należało do moich obowiązków.

— Wszystko należy do twoich obowiązków — powiedziała Marina. — I sama o tym wiesz. Sprawy domowe, hydraulicy i kłótnie z murarzami.

— Jakby w tym kraju nigdy nie słyszeli o oknach widokowych — Ella spojrzała w stronę okna. — Muszę przyznać, że stąd jest ładny widok.

— Piękna, staromodna, sielankowa angielska sceneria — stwierdziła Marina. — Ten dom ma atmosferę.

— Nie byłaby taka sielankowa, gdyby nie drzewa — zauważyła Ella. — To osiedle domków rośnie w oczach.

— Nie było go za moich czasów — zaznaczyła pani Bantry.

— To znaczy, że kiedy pani tu mieszkała, było tylko miasteczko. Pani Bantry skinęła głową.

— Pewnie trudno było robić zakupy.

— Nic podobnego. Moim zdaniem to całkiem prosta sprawa.

— Rozumiem kwiatowe ogrody — zaczęła Ella Zielinsky — ale wy tutaj hodujecie chyba wszystkie jarzyny. Czy nie prościej byłoby je kupować? Jest przecież supermarket.

— Chyba do tego dojdzie — westchnęła pani Bantry. — Ale kupne nie smakują tak dobrze.

— Nie psuj atmosfery, Ello — poprosiła Marina. Jason zajrzał przez drzwi.

— Kochanie — powiedział do Mariny. — Nie chciałbym ci przeszkadzać, ale pozwól na moment. Woleliby usłyszeć twoją opinię.

Marina westchnęła wstając. Podeszła wolno do drzwi.

— Zawsze coś — wymruczała. — Tak mi przykro, pani Bantry. To potrwa najwyżej minutę, może

dwie.

— Atmosfera — powtórzyła Ella, gdy Marina zniknęła za drzwiami. — Sądzi pani, że ten dom rzeczywiście ma atmosferę?

— Nigdy o tym nie myślałam. To był po prostu dom. Z pewnych względów trochę niewygodny, z innych bardzo miły i przytulny.

— Tak właśnie sądziłam. — Ella Zielinsky spojrzała w oczy pani Bantry. — Mówiąc o atmosferze, kiedy zdarzyło się to morderstwo?

— Tu nie było żadnego morderstwa — zapewniła pani Bantry.

— No proszę. Słyszałam różne plotki. Zawsze jakieś krążą, pani Bantry. Ciało znaleziono przed kominkiem, tutaj, prawda?

— Tak — przyznała pani Bantry. — Właśnie w tym miejscu.

— A więc morderstwo zdarzyło się? Pani Bantry pokręciła głową.

— Ale nie tutaj. Zabitą dziewczynę przyniesiono i ułożono w tym pokoju. Nie miała z nami nic wspólnego. Panna Zielinsky spoglądała z zaciekawieniem.

— Pewnie trudno było przekonać ludzi, by w to uwierzyli — zauważyła.

— To prawda.

— Kiedy ją znaleziono?

— Rano weszła tu pokojówka z herbatą. Wtedy mieliśmy pokojówki, wie pani.

— Wiem — stwierdziła panna Zielinsky. — W takich szeleszczących sukienkach.

— Co do sukienek, nie jestem pewna. Może miały fartuchy. W każdym razie wpadła do nas i powiedziała, że w bibliotece leży ciało. Powiedziałam „nonsens”, a potem obudziłam męża i zeszliśmy na dół.

— I rzeczywiście było — powiedziała panna Zielinsky. — Ojej, jakie rzeczy zdarzają się człowiekowi. — Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę drzwi. — Proszę tylko nie wspominać o tym pani Gregg. Nie powinna słuchać takich rzeczy.

— Oczywiście. Nie powiem ani słowa — obiecała pani Bantry. — Właściwie nigdy o tym nie mówię. To zdarzyło się tak dawno. Ale czy ona, to znaczy pani Gregg, i tak się nie dowie?

— Nieczęsto ma kontakt z rzeczywistością. Gwiazdy filmowe prowadzą dość odizolowany tryb życia. Szczerze mówiąc, często trzeba ich pilnować. Marinę niepokoją różne rzeczy. Wie pani, że przez ostatnie dwa lata była bardzo poważnie chora. Dopiero przed rokiem wróciła na scenę.

— Wydaje się, że lubi ten dom i wierzy, że będzie tu szczęśliwa.

— Przypuszczam, że potrwa to rok czy dwa — stwierdziła Ella Zielinsky.

— Nie dłużej?

— Raczej wątpię. Marina należy do ludzi, którzy zawsze myślą, że odnaleźli marzenie swego serca. Ale życie nie jest przecież takie proste.

— Nie — przyznała z mocą pani Bantry. — Nie jest.

— Dla niego to bardzo ważne, by była tu szczęśliwa — stwierdziła panna Zielinsky. Zjadła jeszcze dwie kanapki, z roztargnieniem, ale dość łapczywie, jak ktoś, kto wpycha w siebie jedzenie, bo śpieszy się, by zdążyć na pociąg. — On jest geniuszem. Widziała pani jakieś jego filmy?

Pani Bantry poczuła się lekko zakłopotana. Zawsze chodziła do kina wyłącznie dla filmu. Nie zwracała uwagi na długą listę aktorów, producentów, reżyserów, operatorów i całej reszty. Bardzo często nie zauważała nawet nazwisk gwiazd. Nie miała jednak ochoty przyznawać się do tego.

— Mieszają mi się — odparła.

— Oczywiście ma wiele zmartwień — mówiła Ella Zielinsky. — A prócz tego wszystkiego ma ją, a ona nie jest łatwa. Trzeba ją uszczęśliwić, widzi pani. A nie tak łatwo uszczęśliwić ludzi. Chyba że są... że są...

— Chyba że są z takiego szczęśliwego rodzaju — odpowiedziała pani Bantry. — Chociaż niektórzy... — dodała po namyśle — lubią być nieszczęśliwi.

— Och, Marina taka nie jest. — Ella Zielinsky pokręciła głową.

— Tyle że jej euforie i załamania są bardzo gwałtowne. Wie pani, w jednej chwili jest aż nazbyt szczęśliwa, za bardzo zadowolona ze wszystkiego, zachwycona tym, jak wspaniale się czuje. A potem zdarza się jakiś drobiazg i spada na samo dno.

— Przypuszczam, że to temperament — zauważyła dość ogólnikowo pani Bantry.

— Zgadza się — przyznała Ella. — Temperament. W większym czy mniejszym stopniu mają go wszyscy. Ale Marina Gregg ma go więcej. Wiemy o tym dobrze! Mogłabym pani poopowiadać. — Zjadła ostatnią kanapkę. — Dzięki Bogu, że jestem tylko sekretarką.

V

Na bankiet dobroczynny w posiadłości Gossington Hall, podczas którego zbierano fundusze dla Towarzystwa St John Ambulance, przybyła niespotykana liczba gości. Wstęp kosztował szylinga, co w sumie dało bardzo zadowalającą kwotę. Pogoda sprzyjała, był bezchmurny, słoneczny dzień. Lecz główną atrakcją stanowili niewątpliwie ci „Judzie filmu” i to, co zrobili z Gossington Hall. Krążyły najbardziej niesamowite przypuszczenia. Najbardziej podniecała wizja basenu. Większość ludzi wyobrażała sobie gwiazdy Hollywoodu opalające się w egzotycznym otoczeniu i w egzotycznym towarzystwie. To, że klimat Hollywood jest bardziej odpowiedni dla basenów niż klimat St Mary Mead, jakoś nikomu nie przyszło do głowy. Przecież w Anglii zawsze jednak trafia się latem przynajmniej jeden gorący tydzień i chociaż raz niedzielne wydania gazet drukują artykuły „Jak unikać upału”, „Jak przyrządzać chłodne kolacje”, „Jak przygotowywać zimne drinki”. Basen wyglądał niemal dokładnie tak, jak go sobie wszyscy wyobrażali. Był duży, wypełniony błękitną wodą, obok stało coś w rodzaju egzotycznej altany, a wokół sztucznie wyglądający żywopłot i krzewy. Reakcja tłumu była właśnie taka, jak można by oczekiwać. Co chwila rozlegały się okrzyki.

— Och, czy to nie śliczne?

— Można się nieźle wypluskać!

— Przypomina mi obóz, na którym kiedyś byłem.

— Grzeszne luksusy, tak to nazywani. Nie powinno się na to pozwalać.

— Spójrzcie na te wszystkie marmury. Musieli wydać na nie bająnskie sumy!

— Nie rozumiem, czemu ci ludzie uważają, że mogą tu sobie przyjeżdżać i wydawać tyle pieniędzy.

— Może pokażą to w telewizji. Byłoby zabawnie.

Nawet najstarszy mieszkaniec St Mary Mead, pan Sampson, który przechwalał się, że ma dziewięćdziesiąt sześć lat, choć jego krewni twierdzili, że zaledwie osiemdziesiąt sześć, przydreptał na reumatycznych nogach wspierając się na lasce. Obejrzał wszystkie sensacje i wygłosił najwyższą pochwałę:

— O, będzie tu mnóstwo zepsucia, to pewne. Mężczyźni i kobiety na golasa będą pić i palić to, co w gazetach nazywają trawką. Już to widzę. O tak — powtórzył pan Sampson z satysfakcją. — Będzie tu mnóstwo zepsucia.

Uznano, że dzięki temu impreza uzyskała ostateczną akceptację. Za dodatkowego szylinga goście mogli wejść do domu, obejrzeć nowy pokój muzyczny, salon i zupełnie odmienioną jadalnię — urządzoną w ciemnym dębie i skórze, a także kilka innych ciekawostek.

— Trudno uwierzyć, że to stary Gossington Hall — zauważyła synowa pana Sampsona.

Pani Bantry zjawiła się dość późno i z przyjemnością dostrzegła, że pieniądze spływają jak należy i że gości jest więcej niż się spodziewano.

Wielki namiot, gdzie podawano herbatę, wypełniony był ludźmi. Pani Bantry miała nadzieję, że znajdą się też słodkie bułeczki. Całością kierowało kilka bardzo kompetentnych kobiet. Pani Bantry ruszyła w stronę okalającego ogród trawnika i obejrzała go z satysfakcją. Nie żałowano pieniędzy. Wyglądał jak należy, zaplanowany i obsadzony kosztownymi roślinami. Była pewna, że nikt z mieszkańców nie włożył w to odrobiny pracy. Wszystko zlecono jakiejś renomowanej firmie ogrodniczej, która — trzeba to przyznać, dzięki *carte blanche* i pogodzie spisała się znakomicie.

Rozglądając się, odniosła wrażenie, że cała sceneria ma delikatny posmak garden party w Pałacu Buckingham. Każdy wyciągał szyję, by zobaczyć wszystko, co było do zobaczenia, a od czasu do czasu garstkę wybrańców wprowadzano w bardziej niedostępne zakamarki domu. Właśnie zbliżył się do niej szczupły, młody człowiek z długimi falistymi włosami.

— Pani Bantry? To pani, prawda? — Tak, to ja.

— Hailey Preston. — Uścisnął jej dłoń. — Pracuję dla pana Rudda. Zechce pani przejść ze mną na piętro. Pan i pani Rudd zaprosili tam kilkoro wybranych gości.

Pani Bantry, doceniając wagę zaszczytu, zadowolona ruszyła za nim. Przeszli przez to, co za jej czasów nazywano drzwiami do ogrodu. Czerwony sznur zagradał drogę na główne schody, lecz Hailey Preston odczepił go i mogła iść dalej. Tuż przed sobą pani Bantry dostrzegła radcę z panią Allock. Ta ostatnia była dość tęga i oddychała ciężko.

— Pięknie tu urządzili, pani Bantry, prawda? — wysapała. — Muszę przyznać, że chętnie zajrzałabym do łazienek, ale podejrzewam, że to nie wypada. — W jej głosie zabrzmiał żal.

Na szczycie schodów Marina Gregg i Jason Rudd witali wybrańców. To, co kiedyś było sypialnią dla gości, teraz połączono z podestem, uzyskując rodzaj przestronnego salonu. Lokaj Giuseppe podawał napoje.

Tęgi mężczyzna w liberii anonsował gości.

— Radca Allock z małżonką — zawołał.

Marina Gregg zachowywała się tak, jak pani Bantry opisała to pannie Marple — całkiem naturalnie i czarująco. Już teraz pani Bantry słyszała głos pani Allock: „...I zupełnie nie zepsuta, choć taka sławna”.

— Jak to miło, że zechcieli państwo przyjść. Mam nadzieję, że dobrze się państwo bawią.

— Jasonie, proszę, zajmij się panią Allock.

Radca i pani Allock przeszli do Jasona, który nalewał drinki.

— Och, pani Bantry, jak miło, że pani przyszła.

— Za skarby świata nie przepuściłabym takiej okazji — oświadczyła pani Bantry i strategicznie ruszyła w stronę martłni.

Młody człowiek nazwiskiem Hailey Preston elegancko podał jej kieliszek, a potem odszedł, spoglądając na niewielką listę. Z pewnością, aby odszukać kolejnych Dopuszczonych Przed Oblicze. Wszystko jest świetnie zorganizowane, pomyślała pani Bantry, obracając w dłoni kieliszek martini i przyglądając się kolejnym gościom. Pastor, szczupły ascetyczny mężczyzna, wydawał się lekko oszołomiony.

— To bardzo miło, że mnie pani zaprosiła — powiedział. — Obawiam się, wie pani... nie mam telewizora — wyznał szczerze. — Ale oczywiście ja... ee... no więc młodzi ludzie informują mnie o wszystkim.

Nikt dokładnie nie wiedział, co to miało znaczyć. Panna Zielinsky, która także była na stanowisku, z uprzejmym uśmiechem podała mu lemoniadę. Jako następni przybyli państwo Badcock. Zarumieniona i triumfująca Heather kroczyła przed mężem.

— Pan i pani Badcock — zaanonsował człowiek w liberii.

— Pani Badcock — powtórzył pastor, oglądając się. — Nieujarzmiona sekretarz towarzystwa. To jedna z naszych najlepszych pracownic. Szczerze mówiąc nie wiem, co St John zrobiłoby bez niej.

— Z pewnością jest nieoceniona — zgodziła się skwapliwie Marina.

— Pani mnie nie pamięta? — spytała wesoło Heather. — Oczywiście, przy tych setkach ludzi, jakich pani spotyka. Zresztą to było całe lata temu. Na Bermudach, proszę sobie wyobrazić. Byłam tam z jednostką sanitarną. Och, to już tak dawno.

— Oczywiście — powiedziała Marina Gregg z czarującym uśmiechem.

— Ja pamiętam doskonale — nie dała sobie przerwać pani Badcock. — Wie pani, byłam taka podekscytowana. Dla młodej dziewczyny sama myśl o tym, że może zobaczyć żywą Marinę Gregg była wprost oszałamiająca. Och! Zawsze panią uwielbiałam.

— To bardzo miłe, naprawdę bardzo miłe z pani strony — odparła Marina słodko, a jej spojrzenie kierowało się ponad ramieniem Heather ku następnym gościom.

— Nie chcę zajmować pani czasu — powiedziała Heather — ale muszę...

— Biedna Marina Gregg — westchnęła pani Bantry. — Przypuszczam, że takie rzeczy wciąż się jej zdarzają. Trzeba mieć wiele cierpliwości.

Heather mówiła dalej, zdecydowana dokończyć swoją opowieść.

Pani Allock dyszała ciężko w ramię pani Bantry.

— Wszystko tu zmienili! Trudno wprost uwierzyć. Ile to musiało kosztować...

— Nie czułam się naprawdę chora i pomyślałam, że muszę... — To jest wódka. — Pani Allock spoglądała podejrzliwie na swój kieliszek. — Pan Rudd zapytał, czy chciałabym spróbować. Bardzo rosyjska nazwa. Nie sądzę, żeby mi smakowała...

— Powiedziałam sobie: Nie poddam się! Umalowałam się mocno...

— Przypuszczam, że byłoby nietaktem, gdybym to gdzieś odstawiła. — Pani Allock wpatrywała się w kieliszek zrozpaczonym wzrokiem.

Pani Bantry pocieszyła ją delikatnie.

— Wcale nie. Wódkę powinno się właściwie wlewać prosto do gardła. — Pani Allock spojrzała na nią zaskoczona. — Ale to wymaga praktyki. Niech pani postawi kieliszek na stole i weźmie sobie martini z tej tacy, którą niesie lokaj.

Odwróciła się, by posłuchać triumfalnej oracji Heather Badcock.

— Nigdy nie zapomniałam, jak pięknie pani wyglądała tego dnia. Po stokroć warto było przyjść.

Tym razem odpowiedź Mariny nie była tak automatyczna. Jej wzrok, spoglądający ponad ramieniem Heather Badcock, zdawał się skupiać gdzieś na ścianie w połowie schodów. Patrzyła, a w wyrazie jej twarzy było coś tak upiornego, że pani Bantry odruchowo podążyła za jej wzrokiem. Co dostrzegła, że spoglądała tak wściekle? Zanim jednak była właścicielka domu zdecydowała się podejść z pomocą, Marina Gregg opanowała się. Zwróciła rozbiegane, zamglone oczy na Heather i znów uruchomiła czarującą, choć nieco mechaniczną uprzejmość.

— To przemiła historia. A teraz czego się pani napije? Jasonie! Może koktajl?

— Szczerze mówiąc, zwykle piję lemoniadę lub sok pomarańczowy.

— Tym razem musi pani spróbować coś lepszego — oznajmiła Marina. — To wyjątkowy dzień.

— Może namówię panią na amerykańskie daiquiri — wtrącił Jason, podchodząc ze szklankami w dłoniach. — To ulubiony koktajl Mariny.

Podał jedną żonie.

— Nie powinnam więcej pić — odparła Marina. — To byłby czwarty. — Ale przyjęła szklankę.

Heather również wzięła od Jasona drinka. Marina odwróciła się, by przywitać następną osobę.

Pani Bantry szepnęła do pani Allock:

— Chodźmy, obejrzymy sobie łazienki.

— Myśli pani, że to wypada? Czy to nie będzie niegrzeczne?

— Na pewno nie — zapewniła pani Bantry i zwróciła się do Jasona Rudda. — Chciałybyśmy zobaczyć wasze cudowne nowe łazienki, panie Rudd. Czy możemy zaspokoić naszą czysto kobiecą ciekawość?

— Oczywiście — odparł z uśmiechem Jason. — Bawcie się dobrze, dziewczęta. Jeśli macie ochotę, możecie wziąć kąpiel.

Pani Allock ruszyła korytarzem za panią Bantry.

— Bardzo pani odważna. Ja bym się chyba nie ośmieliła. — Trzeba zdobyć się na trochę odwagi, jeśli chce się cokolwiek osiągnąć.

Szły korytarzem, otwierając kolejne drzwi. Pani Allock i jeszcze dwie kobiety, które dołączyły do ekspedycji, wykrzykiwały głośne „ochy” i „achy”.

— Podoba mi się ta różowa — orzekła pani Allock. — Bardzo lubię róż.

— A mnie ta z kafelkami w delfiny — stwierdziła jedna z kobiet. Pani Bantry z dumą grała rolę gospodyni. Przez chwilę niemal zapomniała, że dom już do niej nie należy.

— I te prysznice! — wykrzyknęła z zachwytem pani Allock. — Nie, żebym specjalnie lubiła prysznice. Zawsze muszę sobie zamoczyć głowę.

— Przyjemnie by było zajrzeć do którejs z sypialń — zauważyła jedna z kobiet — Ale przypuszczam, że to już przesada. Jak panie sądzą?

— Och, chyba nie powinnyśmy — westchnęła pani Allock i obie spojrzały z nadzieją na panią Bantry.

— No więc... — mruknęła pani Bantry. — Nie, raczej nie powinnyśmy. — Zlitowała się jednak. — Ale chyba nikt się nie dowie, jeśli tylko zajrzemy. — Chwyciła za klamkę.

Niestety, przewidziano to. Sypialnie były zamknięte na klucz. Kobiety były gorzko rozczarowane.

— Muszą mieć odrobinę prywatności — broniła gospodarzy pani Bantry.

Ruszyły z powrotem. Pani Bantry wyjrzała przez okno. W dole dostrzegła swoją panią Meavy z Osiedla — wyglądała bardzo elegancko w marszczoną organdy nową sukni. Obok pani Meavy stała Cherry od panny Marple; pani Bantry nie mogła zapamiętać jej nazwiska. Obie wyraźnie dobrze się bawiły.

Nagle dom wydał się pani Bantry stary, podniszczony i dziwnie sztuczny. Mimo świeżej błyszczącej farby i zmian, był w istocie tylko starą, zmęczoną wiktoriańską rezydencją. Dobrze zrobiłam, że stąd odeszłam, pomyślała. Domy są jak wszystko inne. Nadchodzi taki dzień, że ich czas mija. Dla tego domu już minął. Podmalowali go trochę, ale to niewiele pomogło.

Nagle usłyszała nieco głośniejszy szum rozmów. Dwie kobiety obok niej przyspieszyły kroku.

— Co się dzieje? — spytała jedna. — Chyba coś się wydarzyło. Ruszyły korytarzem w stronę schodów. Ella Zielinsky wyszła im naprzeciw. Sprawdziła drzwi sypialni.

— Do licha. Że też je pozamykali!

— Czy coś się stało? — spytała pani Bantry.

— Ktoś zachorował — odparła krótko panna Ella Zielinsky.

— Ojej, tak mi przykro. Czy mogę w czymś pomóc?

— Czy gdzieś tu jest lekarz?

— Nie widziałam żadnego z naszych doktorów — zmartwiła się pani Bantry. — Ale z pewnością któryś przyszedł.

— Jason już dzwoni — oznajmiła Ella Zielinsky.

— Ale z nią nie jest dobrze.

— Z kim?

— Z panią Badcock... tak się chyba nazywa.

— Heather Badcock? Przed chwilą wyglądała świetnie.

— Miała jakiś atak czy coś takiego — odparła niecierpliwie Ella. — Nie wie pani, czy miała kiedyś kłopoty z sercem?

— Właściwie nic o niej nie wiem. Jest tu nowa. Mieszka na Osiedlu.

— Na Osiedlu? Ach, ma pani na myśli te nowe domy. Nie wiem nawet, gdzie jest jej mąż, ani jak wygląda.

— W średnim wieku, jasne włosy, dość niepozorny. Przyszli razem, więc musi gdzieś tu być.

Ella Zielinsky zajrzała do łazienki.

— Właściwie nie wiem, co jej dać — stwierdziła z wahaniem. — Sole trzeźwiące albo coś w tym rodzaju... Jak pani myśli?

— Zemdląca? — spytała pani Bantry.

— Chyba coś gorszego.

— Zobaczę, czy zdołam jakoś pomóc.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła szybko w stronę schodów. Na zakręcie zderzyła się z Jasonem

Ruddem.

— Widziała pani Ellę? — zapytał. — Ellę Zielinsky?

— Przeszła tędy i jest w którejś z łazienek. Szuka jakiegoś leku. Soli trzeźwiących albo czegoś w tym rodzaju.

— To już niepotrzebne — oznajmił.

Coś w tonie jego głosu uderzyło panią Bantry. Spojrzała na Rudda uważnie.

— Stało się coś złego? — spytała. — Naprawdę złego?

— Można to tak określić — przyznał — Ta biedna kobieta nie żyje.

— Nie żyje! — Pani Bantry była zaszokowana:— I powtórzyła: — Jeszcze przed chwilą wyglądała zupełnie dobrze.

— Wiem, wiem — westchnął Jason i zmarszczył czoło. — Że też coś takiego musiało się zdarzyć!

VI

— Już jesteśmy. — Panna Knight ustawiła na stolyczku tacę ze śniadaniem. — Jak się dzisiaj czujemy? Widzę, że odsunęliśmy zasłony — dodała z nutą dezaprobaty w głosie.

— Wcześniej się budzę — odparła panna Marple. — Panią też to czeka, gdy będzie pani w moim wieku.

— Dzwoniła pani Bantry — poinformowała panna Knight. — Mniej więcej pół godziny temu. Chciała z panią rozmawiać, ale powiedziałam, żeby lepiej zadzwoniła po śniadaniu. Nie chciałam pani niepokoić tak wcześnie, jeszcze przed filiżanką herbaty czy śniadaniem.

— Kiedy dzwonią moi przyjaciele — oświadczyła stanowczo panna Marple — wolę, by mi o tym mówiono.

— Przykro mi, ale wydało mi się to bardzo nierozważne. Kiedy napije się pani gorącej herbatki, zje jajko i grzankę, wtedy zobaczymy.

— Pół godziny temu — mruknęła w zamyśleniu panna Marple. — To musiało być, niech się zastanowię, około ósmej.

— O wiele za wcześnie — stwierdziła panna Knight.

— Nie wierzę, by pani Bantry zadzwoniła do mnie o tej porze bez ważkiego powodu. Nie telefonuje nigdy tak rano.

— Och, złociutka, niech się pani tym nie przejmuje — rzuciła uspokajająco panna Knight. — Na pewno za chwilę zadzwoni znowu. A może ja mam do niej zadzwonić?

— Nie, dziękuję — powiedziała panna Marple. — Nie chcę, żeby i śniadanie wystygło.

— Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałam — dodała jeszcze panna Knight.

Ale nic nie zostało zapomniane. Herbata, zaparzona jak należy wrzącą wodą, jajko gotowane dokładnie trzy minuty i czterdzieści pięć sekund, grzanka równo zarumieniona, kawałek masła, a obok mały słoiczek miodu. Panna Knight pod wieloma względami była prawdziwym skarbem. Panna Marple z rozkoszą zjadła śniadanie. Nagle usłyszała warkot odkurzacza na dole. To oznaczało przybycie Cherry.

Współzawodnicząc z szumem silnika brzmiał świeży, dźwięczny głos śpiewający jedną z popularnych ostatnio piosenek. Panna Knight wróciła po tacę i pokręciła głową.

— Naprawdę uważam, że ta młoda kobieta nie powinna tak śpiewać na cały dom. Nie nazwałabym tego okazywaniem szacunku.

Panna Marple uśmiechnęła się lekko.

— Cherry nigdy nie przyszłoby do głowy, że powinna okazywać szacunek. Dlaczego miałyby to robić?

Panna Knight parsknęła niechętnie.

— Kiedyś bywało inaczej.

— Naturalnie — stwierdziła panna Marple. — Czasy się zmieniają. I musimy się z tym pogodzić. — I dodała: — Może zadzwoni pani do pani Bantry i sprawdzi, o co chodziło.

Panna Knight wybiegła z sypialni. Minutę czy dwie później ktoś zapukał i do pokoju weszła Cherry. Była promienna, podekscytowana i wyjątkowo ładna. Na ciemnoniebieskiej sukience zawiązała plastikowy fartuch ozdobiony wizerunkami zawadiackich marynarzy i bander.

— Masz ładną fryzurę — zauważyła panna Marple.

— Wczoraj zrobiłam trwałą — odparła Cherry. — Włosy są Jeszcze trochę sztywne, ale niedługo wrócą do normy. Wpadłam spytać, czy słyszała pani najnowsze wieści.

— Jakie wieści? — zdziwiła się panna Marple.

— O rym, co zdarzyło się wczoraj w Gossington Hall. Wie pani, było tam wielkie przyjęcie dla St John Ambulance.

Panna Marple skinęła głową. — I co się stało? — spytała.

— Ktoś tam umarł. Pani Badcock. Mieszka zaraz za rogiem niedaleko nas. Nie znała jej pani.

— Pani Badcock? — zaciekawiła się panna Marple. — Ależ znałam. Chyba tak właśnie się nazywała. Zabrała mnie do domu pewnego dnia, kiedy upadłam. Była bardzo miła.

— O tak, Heather Badcock jest uprzejma, to prawda. Niektórzy mówią, że aż nadto. Nazywają to wścibstwem. W każdym razie wzięła i umarła. Tak po prostu.

— Umarła! Ale na co?

— Nie mam pojęcia. Zaprosili ją do domu jako sekretarza Towarzystwa St John Ambulance. Ją, burmistrza i jeszcze sporo innych osób. Jak słyszałam, wypila coś, po pięciu minutach źle się poczuła i umarła zanim ktokolwiek zdążył choćby pstryknąć palcami.

— Zadziwiający przypadek — stwierdziła panna Marple. — Jakies kłopoty z sercem?

— Miała serce jak dzwon, jak to mówią. Lecz oczywiście nigdy tak naprawdę nie wiadomo. Pewnie można być chorym na serce i nic o tym nie wiedzieć. W każdym razie jedno jest pewne: nie odesłali jej do domu.

Panna Marple była zaskoczona.

— Co to znaczy, że nie odesłali jej do domu?

— Ciała — wyjaśniła pogodnie Cherry. — Doktor powiedział, że musi zrobić sekcję, czy jak to tam nazywają. Mówił, że na nic się nie leczyła i nic nie wskazuje na przyczynę śmierci. Dla mnie to zabawne — dodała.

— Co to znaczy zabawne? — zdziwiła się panna Marple.

— No — zastanowiła się Cherry. — Zabawne. Jakby coś się za tym kryło.

— Czy jej mąż jest bardzo zdenerwowany?

— Był biały jak prześcieradło. Jeszcze nie widziałam tak zszokowanego.

Uszy panny Marple, od dawna dostrojone do delikatnych niuansów tonu, sprawiły, że pochyliła głowę niczym zaciekawiony ptaszek.

— Czy był jej bardzo oddany?

— Robił, co mu kazała i ustępował we wszystkim — odparła Cherry. — Ale to nie zawsze oznacza oddanie, prawda? Może raczej nie miał dość odwagi, by postawić na swoim.

— Nie lubiłaś jej? — zauważyła panna Marple.

— Właściwie jej nie znałam. To znaczy, znałam, i nawet nie to, że jej nie lubiłam. Po prostu nie była w moim typie. Za bardzo się wtrącała.

— Chcesz powiedzieć, że była wścibska?

— Nie, niezupełnie. Była bardzo uprzejmą kobietą i zawsze pomagała ludziom. I zawsze była pewna, że wie, co jest dla nich i najlepsze. Nie obchodziło ją, co sami myśleli. Miałam kiedyś taką ciotkę. Bardzo lubiła placek z kminkiem, więc piekła te placki, nosiła znajomym i nigdy nawet nie pomyślała, żeby zapytać, czy smakuje im takie ciasto. Są ludzie, którzy nie znoszą kminku. Heather Badcock była do niej trochę podobna.

— Tak — zamyśliła się panna Marple. — Pewnie taka była. Znałam kiedyś podobną osobę. Takim ludziom — dodała — stale zagraża niebezpieczeństwo, choć sami o tym nie wiedzą.

Cherry spojrzała na nią.

— To śmieszne, co pani mówi. Nie bardzo rozumiem.

Wbiegła panna Knight.

— Pani Bantry chyba gdzieś wyszła. Nie powiedziała dokąd.

— Domyślam się, gdzie poszła — stwierdziła panna Marple. — Idzie tutaj. Teraz już wstanę — dodała.

Panna Marple właśnie zaszyła się w swoim ulubionym fotelu przy oknie, gdy przybyła pani Bantry. Była trochę zdyszana.

— Mam ci mnóstwo do opowiedzenia, Jane — oznajmiła.

— O przyjęciu? — spytała panna Knight. — Była pani na przyjęciu, prawda? Sama też wpadłam tam na chwilę po południu. Straszny był tłok w namiocie z herbatą. Przyszło mnóstwo ludzi. Nie widziałam wcale Mariny Gregg, co mnie trochę rozczarowało. — Starła ze stolika ślad kurzu i dodała wesoło: — Jestem pewna, że chcecie panie teraz odrobinę porozmawiać. — I wyszła.

— Ona chyba nic o tym nie wie — powiedziała pani Bantry. Spojrzała czujnie na przyjaciółkę. — Jane, wydaje mi się, że ty wiesz.

— O tej wczorajszej śmierci?

— Ty zawsze wszystko wiesz — westchnęła pani Bantry. — Nie mam pojęcia skąd.

— Stąd, skąd człowiek zawsze się dowiaduje. Moja pomoc. Cherry Baker, przybiegła z tą wiadomością. Spodziewam się, że w tej chwili rzeźnik opowiada o tym pannie Knight.

— I co o tym myślisz?

— Co o czym myślę?

— Nie bądź niezdolna, Jane. Dokładnie wiesz o co mi chodzi.

Ta kobieta, jak ona się nazywała...

— Heather Badcock — podpowiedziała panna Marple.

— Zjawia się pełna życia i zapału. Byłam tam, kiedy weszła. A mniej więcej kwadrans później siada w fotelu, mówi, że nie czuje się dobrze, oddycha z trudem i umiera. O tym co myślisz?

— Nie należy wyciągać pochopnych wniosków — stwierdziła panna Marple. — Problem w tym, co myśli lekarz.

Pani Bantry skinęła głową.

— Ma być śledztwo i sekcja. To jasne, co o tym myślą, prawda?

— Niekoniecznie — powiedziała panna Marple. — Każdy może zachorować i niespodziewanie umrzeć, a oni muszą znaleźć przyczynę.

— To coś więcej.

— Skąd wiesz?

— Doktor Sandford wrócił do domu i zadzwonił po policję.

— Kto ci o tym powiedział? — zaciekała się panna Marple.

— Staiy Briggs — odparta pani Bantry. — Chociaż właściwie nie on. Wiesz, że wieczorami dogląda ogrodu doktora Sandforda. Więc przycinał coś pod oknem gabinetu i słyszał, jak doktor dzwoni na komisariat w Much Benham. Briggs powiedział to córce, ona listonoszce, a listonoszka mnie.

Panna Marple uśmiechnęła się.

— Widzę — stwierdziła — że St Mary Mead nic się nie zmieniło.

— Plotki rozchodzą się tą samą drogą — zgodziła się pani Bantry. — No, Jane, powiesz mi, co o tym myślisz?

— Oczywiście od razu przychodzi do głowy mąż — zamyśliła się panna Marple. — Był tam?

— Tak. Nie sądzisz chyba, że to samobójstwo.

— Na pewno nie samobójstwo — odparła stanowczo panna Marple. — To nie ten typ kobiety.

— Jak ją spotkałaś, Jane?

— W dniu, kiedy wyszłam na spacer po Osiedlu i upadłam. Akurat przed jej domem. Była wcieleniem uprzejmości. Bardzo miła kobieta.

— Widziałaś jej męża? Czy wyglądał, jakby miał zamiar ją otruć? Och, wiesz o co mi chodzi — rzekła pani Bantry, dostrzegając u przyjaciółki pewne oznaki sprzeciwu. — Czy nie przypominał ci majora Smitha albo Bertie Jonesa, czy kogoś, kogo znałaś dawno temu, a kto otruł żonę lub przynajmniej próbował.

— Nie. Nikogo mi nie przypominał. Ale ona tak.

— Kto? Pani Badcock?

— Tak. Przypominała mi się Alison Wilde. — I jaka była ta Alison Wilde?

— Nie miała pojęcia o świecie — odparta panna Marple. — Nie wiedziała, jacy są ludzie. Nigdy o nich nie myślała. I dlatego, widzisz, nie potrafiła bronić się przed tym, co się jej przytrafiało.

— Mam wrażenie, że nie rozumiałam ani słowa z tego, co mówiłaś.

— To bardzo trudno wytłumaczyć — powiedziała przepaszająco panna Marple. — Bo wynika z egocentryzmu... i nie mam tu na myśli egoizmu — dodała. — Możesz być miła i uczynna, i nawet

troskliwa. Ale, jeśli jesteś podobna do Alison Wilde, nigdy naprawdę nie wiesz, co powinnaś zrobić. I dlatego nigdy nie wiesz, co może ci się przydarzyć.

— Nie dałoby się tego wyrazić jaśniej?

— Spróbuję podać ci pewien przykład. To nigdy się naprawdę nie zdarzyło. Po prostu go wymyśliłam.

— Mów — poprosiła pani Bantry.

— Przypuśćmy, że idziesz do sklepu i wiesz, że właścicielka ma syna, który był spekulantem i młodocianym przestępcą. I on tam stoi i słucha, jak opowiadasz matce, że masz w domu jakieś pieniądze, srebra albo jakąś biżuterię. Coś o czym myślisz, jesteś z tego zadowolona i chcesz się pochwalić. Napomykasz też, którego wieczora wyjdiesz z domu, a na dodatek mówisz, że nigdy nie zamykasz drzwi na klucz. Interesuje cię tylko to, o czym opowiadasz. A potem, powiedzmy tego szczególnego wieczoru, wracasz do domu, bo zapomniałaś czegoś, a tam jest ten okropny chłopak, schwytyany na gorącym uczynku, więc rzuca się na ciebie i zabija.

— W dzisiejszych czasach może się to zdarzyć każdemu — westchnęła pani Bantry.

— Niezupełnie. Większość ludzi broni się odruchowo. Nie każdemu zwierzysz się ze swych sekretów. To, co mówisz, zależy od osoby, z którą rozmawiasz. Ale, jak już mówiłam, Alison Wilde nigdy nie myślała o nikim prócz siebie. Była taką osobą, która mówi ci, co robiła, widziała, czuła czy słyszała. Nigdy nie wspominała, co zrobili czy powiedzieli inni ludzie. Życie to dla niej rodzaj jednokierunkowej ulicy. Liczy się tylko jej ruch. Inni są jak... czy ja wiem, tapeta na ścianach. — Przerwała na chwilę i dodała: — Wydaje mi się, że Heather Badcock była również właśnie taką osobą.

— Była osobą, która mogła się w coś wplątać, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi?

— I nie zdając sobie sprawy, że to niebezpieczne — uzupełniła panna Marple. — To jedyny motyw zabójstwa, jaki przychodzi mi do głowy. Jeśli, naturalnie, słusznie zakładamy, że popełniono morderstwo.

— Nie myślisz chyba, że kogoś szantażowała? — zasugerowała pani Bantry.

— Och, nie — zapewniła ją panna Marple. — To była miła, dobra kobieta. Nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. — I dodała z irytacją: — Cała ta sprawa wydaje mi się nieprawdopodobna. Nie sądzę, by to było...

— Co? — ponagliła pani Bantry.

— Zastanawiałam się czy mogłoby to być omyłkowe morderstwo — stwierdziła z namysłem panna Marple.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł doktor Haydock. Za nim dreptała panna Knight.

— Już o tym mówicie, jak widzę — powiedział doktor Haydock, spoglądając na obie damy. — Wpadłem zobaczyć, jak się czujesz, ale nie muszę pytać. Widzę, że zaczęłaś kurację, którą ci proponowałem.

— Kurację, doktorze?

Doktor Haydock wskazał leżącą na stoliku robótkę.

— Rozplątywanie — wyjaśnił. — Mam rację, prawda?

Panna Marple mrugnęła lekko w dyskretny, staromodny sposób.

— Możesz sobie żartować — powiedziała.

— Szanowna pani nie zamydli mi oczu. Za długo się znamy. Nagły zgon w Gossington Hall i już idą w ruch wszystkie języki w St Mary Mead. Mam rację? Sugestia morderstwa pojawia się na długo przed wynikami śledztwa.

— Kiedy odbędą się przesłuchania? — chciała wiedzieć panna Marple.

— Pojutrze. A do tego czasu — dodał — wy, drogie panie, przemyślcie całą historię, wydacie wyrok, a także wyjaśnicie parę innych kwestii. No cóż, nie warto tracić czasu na pacjentkę, która nie potrzebuje opieki. Policzki masz zarumienione, oczy ci błyszczą, najwidoczniej dobrze się bawisz. Nie ma nic lepszego niż zainteresowanie życiem. No, muszę iść. — I wyszedł.

— Wolę go stokroć bardziej od Sandforda — stwierdziła pani Bantry.

— Ja też — zgodziła się z nią panna Marple. — Jest dobrym przyjacielem — dodała z namysłem. — Myślę, że przyszedł, by mnie zachęcić do działania.

— Więc to było morderstwo — orzekła pani Bantry. Spojrzały po sobie. — W każdym razie tak sądzą lekarze.

Panna Knight wniosła filiżanki z kawą. Obie panie były tak zaaferowane, że nie zdobyły się nawet na podziękowanie. Gdy panna Knight wyszła, panna Marple zaczęła natychmiast.

— No więc, Doiły, byłaś na miejscu...

— Prawie widziałam, jak to się stało — przerwała pani Bantry z lekką dumą.

— Wspaniale. To znaczy, no wiesz o co mi chodzi. Opowiedz mi dokładnie, co się działo od chwili, kiedy weszła.

— Zaproszono mnie do środka — rzekła pani Bantry. — Status snoba.

— Kto cię wprowadził?

— Och, taki smukły młody człowiek. Sądzę, że jest sekretarzem Mariny Gregg, albo kimś w tym rodzaju. Wprowadził mnie na górę. Na podeście czekał komitet powitalny.

— Na podeście? — spytała zaskoczona panna Marple.

— Och, przebudowali dom. Usunęli ściany z garderoby i sypialni tak, że jest tam teraz taka duża nisza, właściwie pokój. Bardzo ładnie wygląda.

— Rozumiem. I kto tam był?

— Marina Gregg, jak zwykle naturalna i czarująca. Ślicznie wyglądała w takiej wąskiej, szarozielonej sukni. Jej mąż, oczywiście, i ta kobieta, Ella Zielinsky, o której ci mówiłam. To ich sekretarka. I jeszcze jakieś osiem czy dziesięć osób. Niektórych znałam, innych nie. Część pewnie ze studia i tych widziałam pierwszy raz w życiu. Był pastor i żona doktora Sandforda. On sam przyszedł później. Był pułkownik Clittering z żoną i szeryf. I jeszcze chyba ktoś z prasy. Taka młoda kobieta robiła zdjęcia wielkim aparatem fotograficznym. Panna Marple kiwnęła głową.

— Mów dalej.

— Heather Badcock i jej mąż zjawili się już po mnie. Marina Gregg powiedziała mi na powitanie kilka miłych słów, potem komuś innemu, a tak, pastorowi... i wtedy oni przyszli. Wiesz, ta Badcock była sekretarzem Towarzystwa St John Ambulance. Ktoś powiedział, że tak ciężko pracuje i jak cenna jest jej pomoc. Marina Gregg przywitała ich uprzejmie, a potem pani Badcock, która sprawiła na mnie, muszę ci wyznać, Jane, wrażenie kobiety dość męczącej, zaczęła długą opowieść o tym, jak to całe lata temu spotkała gdzieś Marinę Gregg. Nie była zbyt taktowna: dokładnie określiła, jak dawno to się zdarzyło, w którym roku i tak dalej. Jestem pewna, że aktorki i gwiazdy filmowe nie lubią, gdy im się przypomina o wieku. Chociaż jej to pewnie nie przyszło do głowy.

— Nie — przyznała panna Marple. — Ona nawet nie pomyślałaby o czymś takim. I co dalej?

— Nic specjalnego się nie działo, tyle że Marina Gregg nie zachowywała się tak jak zwykle.

— To znaczy była zdenerwowana?

— Nie, nie. Szczerze mówiąc, nie jestem pewna czy słyszała choć słowo z tej całej historii. Zapatrzyła się ponad ramieniem pani Badcock. A ta ciągnęła swoją dość głupawą historyjkę, jak to była chora, ale zerwała się z łóżka i wyniknęła z domu, by spotkać Marinę Gregg i poprosić o autograf. Kiedy skończyła, zapadła taka dziwna, głęboka cisza. Wtedy zauważyłam jej twarz.

— Czyją twarz? Pani Badcock?

— Nie. Mariny Gregg. Jakby zupełnie nie słuchała, co mówiła ta Badcock. Patrzyła ponad jej ramieniem prosto w ścianę naprzeciwko. Patrzyła z... Nie umiem ci tego wytłumaczyć.

— Ale spróbuj, Dolly — poprosiła panna Marple. — To może być ważne.

— Miała taki kamienny wzrok. — Pani Bantry szukała właściwych słów. — Jakby zobaczyła coś,

co... ojej jak ciężko to opisać. Pamiętasz „Panią z Shalott”?

Zwierciadło pęka w odłamków stos;

„Zguba nade mną”, krzyczy w głos

Pani z Shalott.

No więc tak właśnie wyglądała. Ludzie śmieją się dziś z Tennysona, ale „Pani z Shalott” zawsze robiła na mnie wrażenie: kiedy byłam jeszcze młoda i dzisiaj też.

— Więc miała kamienne spojrzenie — powtórzyła zamyślona panna Marple. — I patrzyła na ścianę ponad ramieniem pani Badcock... Co było na tej ścianie?

— Och! Chyba jakiś obraz, tak sędzę. No wiesz, włoski. Wydaje mi się, że kopia Madonny Belliniego, ale nie jestem pewna. Dziewica trzymająca roześmiane dziecko.

Panna Marple zmarszczyła czoło.

— Nie sędzę, by ten obraz wywołał taki wyraz na jej twarzy.

— Zwłaszcza że musi go widzieć codziennie — zgodziła się pani Bantry.

— Po schodach wchodzili pewnie następni goście?

— A tak, wchodzili.

— Pamiętasz kto to był?

— Myślisz, że patrzyła na kogoś z gości?

— To przecież możliwe, prawda?

— Tak, oczywiście. Czekaj, niech pomyślę. To był burmistrz, w galowym stroju, z łańcuchem i wszystkim. Jego żona, i jakiś mężczyzna z długimi włosami i taką śmieszna brodą, jakie się teraz nosi. Całkiem młody. I jeszcze ta dziewczyna z aparatem fotograficznym. Zajęła stanowisko na schodach, jakby chciała robić zdjęcia gościom, którym Marina Gregg podaje rękę. I... czekaj, kto jeszcze... dwoje ludzi, których nie znam. Pewnie ze studia. I Grice’owie z Lower Farm. Mogli być inni, ale nie mogę sobie przypomnieć.

— Nie brzmi to zbyt obiecująco — westchnęła panna Marple. — ; Co było potem?

— Jason Rudd chyba ją szturchnął albo coś takiego, bo nagle jakby zebrała się w sobie,

uśmiechnęła do pani Badcock i zaczęła mówić to, co zwykle. No wiesz, taka słodka, nie zepsuta, naturalna, czarująca... typowe sztuczki.

— A potem?

— Potem Jason Rudd podał drinki.

— Jakie drinki?

— Chyba daiquiri. Powiedział, że to ulubiony koktajl jego żony. Jeden dał Marinie, a drugi tej Badcock.

— Bardzo ciekawe — stwierdziła panna Marple. — A co zdarzyło się potem?

— Nie wiem, ponieważ zabrałam kilka pań, by obejrzeć łazienki. A później przybiegła ta sekretarka i powiedziała, że ktoś zachorował.

VII

Przesłuchania trwały krótko i niczego nie wyjaśniły. Mąż zmarłej zidentyfikował zwłoki; wszelkie inne dowody były medycznej natury. Śmierć Heather Badcock spowodowało ćwierć grama haetylodexylobarbikwindelorytatu — albo czegoś w tym rodzaju. Nie ustalono, w jaki sposób środek został jej podany.

Przesłuchania odroczone na dwa tygodnie.

Detektyw inspektor Frank Cornish podszedł do Badcocka.

— Czy mogę zamienić z panem kilka słów, panie Badcock?

— Naturalnie, naturalnie.

Arthur Badcock bardziej niż kiedykolwiek przypominał przeżuty kawałek sznurówki.

— Nie mogę tego pojąć — mruknął. — Po prostu nie mogę pojąć.

— Mam tu samochód — powiedział Cornish. — Podjedziemy do pana, dobrze? Będzie spokojniej i ciszej.

— Dziękuję panu. Tak, tak, z pewnością będzie o wiele wygodniej.

Zatrzymali się przy nowej, niebieskiej furtce z numerem trzecim w Zaułku Arlington. Arthur Badcock szedł pierwszy. Wyjął klucz, lecz nim wsunął go do dziurki, ktoś otworzył drzwi od środka. Stojąca w progu kobieta wydawała się lekko zakłopotana. Badcock spojrział zaskoczony.

— Mary — powiedział.

— Waśnie zaparzyłam ci herbatę. Pomyślałam, że po przesłuchaniach chętnie się napijesz.

— To miło z twojej strony — odparł z wdzięcznością Badcock. — Ee... — zawahał się. — To inspektor Cornish. Pani Bain, moja sąsiadka.

— Miło mi — rzucił inspektor.

— Przyniosę drugą filiżankę — zaproponowała pani Bain.

Arthur Badcock z pewnym wahaniem wprowadził inspektora do jasnego salonu na prawo od wejścia.

— Jest bardzo serdeczna — powiedział. — Zawsze taka była.

— Dawno pan ją zna?

— Och, nie. Dopiero odkąd się tutaj wprowadziła.

— Pan mieszka tu dwa lata, prawda? Czy może trzy?

— Już prawie trzy. Pani Bain przyjechała dopiero sześć miesięcy temu. Jej syn pracuje w pobliżu, więc zamieszkała z nim po śmierci męża.

Zjawiała się pani Bain z tacą. Była smagłą, energiczną kobietą w wieku około czterdziestu lat. Miała cygańską cerę, która dobrze współgrała z ciemnymi włosami i oczami. W tych oczach było coś dziwnego. Spoglądały z pewną ostrożnością. Postawiła tacę na stole, a inspektor Cornish powiedział coś miłego i obojętnego. Zawodowy instynkt nakazywał mu mieć się na baczności. To czujne spojrzenie w oczach kobiety, lekkie drgnienie, gdy Arthur go przedstawił, nie przeszły niezauważone. Znał dobrze ten niepokój, rodzaj naturalnego lęku i nieufności u ludzi, którzy mogli nieświadomie obrazić majestat prawa. Lecz istniało też inne źródło tej reakcji. Był pewien, że o to właśnie chodzi. Pani Bain, pomyślał, musiała mieć kiedyś kontakty z policją; coś, co budziło teraz jej czujność i niepokój. Zanotował w pamięci, że powinien dowiedzieć się czegoś więcej o Mary Bain.

Tymczasem kobieta postawiła tacę i wyszła. Nie chciała z nimi usiąść, tłumacząc, że musi wracać do domu.

— Wygląda na miłą osobę — zauważył inspektor Cornish.

— Tak, rzeczywiście. Jest bardzo miła. To dobra sąsiadka i sympatyczna kobieta — przyznał Arthur Badcock.

— Czy przyjaźniła się z pańską żoną?

— Nie, tego bym nie powiedział. Były w niezłych stosunkach. Nic poza tym.

— Rozumiem. A teraz, panie Badcock, chcemy uzyskać od pana możliwie jak najwięcej informacji. Rozumiem, że wynik przesłuchania był dla pana szokiem.

— O tak, inspektorze. Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że coś podejrzewacie. Ja właściwie też, bo Heather nigdy nie narzekała na zdrowie. Praktycznie rzecz biorąc, nie chorowała ani jednego dnia. Powiedziałem sobie: „Coś tu jest nie w porządku”. Ale to wydaje się wprost niewiarygodne, jeśli pan rozumie, co mam na myśli, inspektorze. Kompletnie nie do wiary. Co to jest bi-etyleks... — urwał niepewnie.

— Ten specyfik ma łatwiejszą nazwę. Sprzedawany jest jako Calmo. Spotkał pan go kiedyś?

Arthur Badcock ze zdziwieniem pokręcił głową.

— Częściej używany w Ameryce niż tutaj — dodał inspektor. — Jak słyszałem, przepisują go tam każdemu kto poprosi.

— Do czego służy?

— Wywołuje, tak mi powiedziano, stan zadowolenia i spokoju. Podaje się go osobom żyjącym w napięciu, cierpiącym na lęki, depresję, melancholię, bezsenność i kilka innych dolegliwości. We właściwych dawkach nie jest niebezpieczny, ale trzeba uważać, by nie przesadzić. Pańska żona przyjęła mniej więcej sześciokrotną dopuszczalną dawkę.

Badcock wytrzeszczył oczy.

— Heather nigdy w życiu nie brała czegoś takiego. Jestem pewien. W ogóle nie zażywała lekarstw. Nigdy się nie martwiła i nie popadała w depresję. To najbardziej pogodna osoba, jaką można sobie wyobrazić.

— Rozumiem. — Inspektor kiwnął głową. — I żaden lekarz nie przepisał jej nigdy czegoś takiego?

— Nie. Z pewnością nie. Jestem przekonany.

— Kto był jej lekarzem?

— Była zarejestrowana u doktora Sitna, ale nie sądzę, by od zamieszkania tutaj choć raz go odwiedziła.

— Więc raczej nie potrzebowała ani nie zażywała tego dość popularnego leku — stwierdził w zamyśleniu inspektor Cornish.

— Na pewno nie. Musiała to wziąć niechcący.

— Trudno sobie wyobrazić taką pomyłkę. Pamięta pan, co jadła lub piła tego wieczoru?

— Chwileczkę, niech pomyślę. Na obiad...

— Nie musimy wracać aż do obiadu. W takich ilościach lekarstwo działa szybko i bardzo gwałtownie. Herbata. Cofnijmy się do herbaty.

— No więc poszliśmy do tego namiotu. Był tam okropny ścisk, ale udało nam się dostać po bułeczki z rodzynkami i filiżance herbaty. Zjedliśmy to możliwie szybko, bo w namiocie panowała straszna duchota i wyszliśmy na powietrze.

— Nic więcej nie jadła? Tylko bułeczkę i filiżankę herbaty?

— Tak.

— Później weszli państwo do domu. Zgadza się?

— Owszem. Podeszła taka młoda dama i powiedziała, że panna Marina Gregg pragnęłaby poznać moją żonę, jeśli zechcemy przyjąć zaproszenie. Oczywiście żona była zachwycona. Od paru dni mówiła tylko o Marinie Gregg. Wszyscy bardzo się nią ekscytowali. Och, wie pan przecież, panie

inspektorze.

— Rzeczywiście — przyznał Cornish. — Moja żona też tak się zachowywała. Ludzie z całej okolicy płacili swoje szylingi, by wejść do środka, obejrzeć Gossington Hall i to, co z niego zrobiono. Wszyscy mieli też nadzieję, że zobaczą Marinę Gregg.

— Ta młoda dama wprowadziła nas do domu — kontynuował Badcock. — I na schody. Tam właśnie odbywało się przyjęcie. Na podeście, ale wyglądał zupełnie inaczej niż kiedyś. Tak słyszałem. Prawie jak pokój, rodzaj wielkiej sali z krzesłami, stołami i barkiem. Było tam może z dziesięć, dwanaście osób.

Inspektor Cornish kiwnął głową.

— Kto tam państwa powitał?

— Sama Marina Gregg. Był z nią mąż. Zapomniałem, jak się nazywa.

— Jason Rudd — odpowiedział inspektor.

— A tak. Chociaż z początku go nie zauważyłem. No więc pani Gregg przywitała się z Heather bardzo uprzejmie i wyglądała na zadowoloną ze spotkania. Heather opowiedziała pewną historię, jak to spotkała kiedyś panią Gregg, całe lata temu, w Indiach Zachodnich. I wszystko wydawało się czyste jak łąza.

— Wszystko wydawało się czyste jak łąza — powtórzył jak echo inspektor. — A potem?

— Potem Marina Gregg zapytała, czego byśmy się napili. A jej mąż, pan Rudd, dał Heather jakiś koktajl, to się nazywało dikery, czy coś takiego.

— Daiquiri.

— Zgadza się, proszę pana. Przyniósł dwa: jeden dla niej, a drugi dla żony.

— A co pan pił?

— Wziąłem sherry.

— Rozumiem. I staliście tam we trójkę?

— No, niezupełnie. Widzi pan, następni goście już zaczęli wchodzić po schodach. Burmistrz, na przykład, i jakiś amerykański dżentelmen, chyba też była jakaś dama... Więc odsunęliśmy się trochę.

— I wtedy pańska żona wypila daiquiri?

— No nie, nie wtedy.

— Jeśli wtedy nie wypila, to kiedy? Arthur Badcock zmarszczył czoło.

— Myślę, że odstawiała szklankę na stół. Zobaczyła jakichś znajomych. Chyba kogoś z Towarzystwa St John Ambulance, kto przyjechał z Much Benham, czy skądś. W każdym razie zaczęła z nimi rozmawiać.

— A kiedy wypła drinka?

Arthur znów zmarszczył czoło.

— Niedługo potem. Robiło się coraz bardziej tłoczno. Ktoś potrącił Heather w łokieć i rozlała swój koktajl.

— Jak to? — Inspektor Comish spojrzał ostro. — Rozlała?

— Tak, to pamiętam... Wypiła resztkę i zrobiła taką minę. Właściwie, wie pan, nie lubiła koktajli, ale nie zamierzała rezygnować. W każdym razie stała tam, gdy ktoś trącił ją w łokieć i wszystko wylało się jej na suknię... i trochę na suknię pani Gregg. Pani Gregg nie mogła zachować się uprzejmie. Powiedziała, że to drobiazg, że nie zostanie plama, i dała Heather swoją chusteczkę, by wytarła sobie sukienkę. A potem podała jej swojego drinka, mówiąc: „Proszę, jeszcze nie ruszałam”.

— Oddała jej swoją szklankę, tak? — zapytał inspektor. — Jest pan tego pewien?

Arthur Badcock zastanowił się przez chwilę.

— Tak, jestem zupełnie pewien.

— Pańska żona ją wzięła?

— No, z początku nie chciała. Powiedziała: „Ojej, nie mogę”, a pani Gregg roześmiała się i odparła: „Już i tak za wiele dzisiaj wypłam”.

— Więc pańska, żona wzięła szklankę i co z nią zrobiła?

— Odwróciła się trochę i wypła dość szybko. A potem przeszła kawałek korytarzem, oglądając obrazy i zasłony. Bardzo ładne zasłony, jeszcze takich nie widzieliśmy. Ja spotkałem znajomego, radcę Allcocka, i rozmawialiśmy trochę. Kiedy się obejrzałem, Heather siedziała na krześle i wyglądała nie najlepiej. Podszedłem i zapytałem co się stało. Odparła, że czuje się dość dziwnie.

— Na co się uskarżała?

— Nie wiem. Nie zdążyłem zapytać. Jej głos był taki gruby... Nagle nabrała tchu i głowa opadła jej do przodu. I była już martwa, proszę pana, martwa.

VIII

— St Mary Mead powiadasz? — Nadinspektor Dermot Craddock uniósł głowę.

Podkomisarz zdziwił się lekko.

— Tak. St Mary Mead. Dlaczego? Czyżby...

— Nic ważnego — mruknął Dermot Craddock.

— To dość mała miejscina, o ile wiem. Chociaż oczywiście sporo się tam teraz buduje. Właściwie na całej trasie od St Mary Mead do Much Benham. Podobno Studia Hellingforth są na drugim końcu St Mary Mead w stronę Market Basing. — Podkomisarz był nadal nieco zdziwiony.

Dermot Craddock uznał, że powinien coś wyjaśnić.

— Znam kogoś, kto tam mieszkał — rzekł. — W St Mary Mead. To starsza dama. Teraz już bardzo stara. Może nie żyje, nie wiem. Ale jeśli nie...

Podkomisarz zrozumiał, a przynajmniej zdawało mu się, że rozumie, o co chodzi podwładnemu.

— Tak — przyznał. — To da ci wejście. Zawsze przyda się trochę miejscowych plotek. Cała ta sprawa jest dość ciekawa.

— Czy miejscowa policja się do nas zwróciła? — spytał Dermot.

— Tak. Mam tu list od głównego konstabla. Uznali chyba, że to sprawa o szerszym zasięgu. Największa posiadłość w okolicy, Gossington Hall, została niedawno sprzedana Marinie Gregg, tej gwiazdzie filmowej, i jej mężowi. Ona występuje w jakimś nowym filmie, który kręcą w Studiu Hellingforth. W posiadłości odbywało się przyjęcie dobroczynne na rzecz Towarzystwa St John Ambulance. Ofiara, Heather Badcock, była sekretarzem Towarzystwa i jedną z organizatorek przyjęcia. Zdaje się, że to kompetentna i rozsądna osoba. Raczej lubiana w okolicy.

— Taki władczy typ? — zasugerował Craddock.

— Całkiem możliwe — przyznał podkomisarz. — Jednak, jak wynika z mojego doświadczenia, władcze kobiety rzadko bywają mordowane. Nie mam pojęcia dlaczego. Jak się tak człowiek zastanowi, to właściwie szkoda. W przyjęciu uczestniczyła rekordowa liczba gości, pogoda była niezła i wszystko szło zgodnie z planem. Marina Gregg z mężem urządzili coś w rodzaju prywatnego przyjęcia w samym domu. Zaprosili trzydzieści do czterdziestu osób: miejscowych notabli, różnych ludzi związanych z St John Ambulance, kilku przyjaciół Mariny Gregg i jeszcze parę osób ze studia. Wszystko bardzo spokojnie, miło i przyjemnie. Lecz, choć brzmi to fantastycznie i niewiarygodnie, właśnie na tym przyjęciu Heather Badcock została otruta.

— Dziwny wybór miejsca — mruknął zamyślony Craddock. — Tak pomyślał konstabl. Jeśli ktoś chciał otruć Heather Badcock, dlaczego wybrał akurat to popołudnie i takie okoliczności? Mógł to zrobić na setki prostszych sposobów. Przecież to szalone ryzyko, na oczach trzydziestu gości wrzucić do koktajlu śmiertelną dawkę trucizny. Ktoś powinien coś zauważyć.

— Na pewno to było w koktajlu?

— Z całą pewnością. Tu mam dane. Jedna z tych niesamowitych nazw, jakie uwielbiają lekarze, ale w Ameryce dość popularny lek.

— W Ameryce, rozumiem.

— Och, u nas również. Ale takie rzeczy częściej przepisuje się po drugiej stronie Atlantyku. W małych dawkach ma dobroczynne działanie.

— Jest w wolnej sprzedaży, czy tylko na recepty?

— Trzeba mieć receptę.

— Tak, to dziwne — stwierdził Dermot. — Czy Heather Badcock łączyło coś z tymi filmowcami?

— Nic.

— Czy ktoś z jej rodziny był na tym przyjęciu?

— Mąż.

— A, mąż — powtórzył Craddock w zamyśleniu.

— Mąż to zawsze pierwszy podejrzany — zgodził się jego zwierzchnik. — Ale miejscowy detektyw, Cornish, tak się chyba nazywa, nie wierzy, by mąż miał z tym jakiś związek. Choć złożył raport, że Badcock wydawał się niespokojny i nerwowy. Dodaje jednak, że uczciwi ludzie często właśnie tak się zachowują podczas przesłuchania. Wydaje się, że byli dosyć dobranym małżeństwem.

— Innymi słowy policja uważa, że to sprawa nie dla nich. To powinno być ciekawe. Rozumiem, że mam tam jechać.

— Tak. Im szybciej tym lepiej, Dermot. Kogo chcesz zabrać? Dermot zastanawiał się przez moment.

— Chyba Tiddlera — powiedział. — Jest niezły, a poza tym to gwiazda filmowa. Może tam się przydać.

Podkomisarz kiwnął głową.

— No to powodzenia.

— Coś podobnego! — wykrzyknęła panna Marple, rumieniąc się z wrażenia i zdumienia. — A to niespodzianka. Co słychać, drogi chłopcze? Choć teraz trudno nazywać cię chłopcem. Kim jesteś, nadinspektorem czy czymś nowym, co nazywają komendantem? Dermot wyjaśnił, jaki ma stopień.

— Nie muszę chyba pytać co tu robisz — oświadczyła panna Marple. — Nasze skromne morderstwo uznano za godne uwagi Scotland Yardu.

— Przekazali nam sprawę — odparł Dermot. — I oczywiście, jak tylko przyjechałem, przyszedłem prosto do sztabu.

— Masz na myśli... — panna Marple zakłopotana się nieco.

— Tak, ciociu — odparł Dermot bez krzty uszanowania. — Miałem na myśli ciebie.

— Obawiam się — odparta z żalem panna Marple — że ostatnio nie jestem najlepiej zorientowana. Niewiele wychodzę.

— Wychodzisz wystarczająco często, by upaść przed kobiety, która po dziesięciu dniach została zamordowana przypomniał Dermot Craddock.

Panna Marple wydała dźwięk, który w dawnych powieściach byłby opisany jako „ts- ts”.

— Nie wiem, gdzie o tym słyszałaś.

— A powinnaś wiedzieć — odparł Dermot. — Sama mówiłaś, że w takiej miejscinie wszyscy wszystko wiedzą. A tak na marginesie — dodał. — Czy przyszło ci do głowy, że zostanie zamordowana, gdy tylko na nią spojrzełaś?

— Oczywiście, że nie. No wiesz... — wykrzyknęła panna Marple. — Cóż za pomysł!

— Nie dostrzegłaś w oczach jej męża spojrzenia, które przypomniało ci Hany'ego Simpsona, Davida Jonesa lub kogoś, kogo znałaś przed laty, a kto później zepchnął swoją żonę w przepaść?

— Nie, nic nie dostrzegłam! — zapewniła panna Marple. — Jestem pewna, że pan Badcock nigdy nie zrobiłby nic takiego. A przynajmniej... — dodała z namysłem — ...prawie pewna.

— Ale ponieważ człowiek jest tylko człowiekiem... — mruknął złośliwie Craddock.

— Właśnie — zgodziła się panna Marple. — Mam wrażenie, że po pierwszym okresie naturalnej żałoby nie będzie za nią zbyt tęsknił.

— Dlaczego? Znęcała się nad nim?

— Och, nie. Ale nie wydaje mi się, by... ona była uważającą kobietą. Miła, owszem. Uważająca, nie. Lubiła go pewnie, doglądała go, opiekowała się, kiedy chorował, gotowała, była dobrą gospodynią. Lecz nie sądzę, by kiedykolwiek zainteresowała się tym, co on czuje lub co myśli. To dość samotne życie dla mężczyzny.

— Aha — mruknął Dermot. — A czy jego życie będzie w przyszłości mniej samotne?

— Przypuszczam, że znów się ożeni. Może nawet niedługo. Prawdopodobnie, a szkoda, z kobietą tego samego pokroju. To znaczy ożeni się z kimś, kto ma silniejszą od niego osobowość.

— Masz kogoś na oku? — zapytał Dermot.

— Nie, o nikim takim nie wiem — odparła panna Marple i dodała z żalem: — W ogóle wiem tak niewiele.

— A co myślisz? — chciał wiedzieć Craddock. — Nigdy nie miałaś kłopotów z myśleniem.

— Myślę — odparła nieoczekiwanie panna Marple — że powinieneś zobaczyć się z panią Bantry.

— Pani Bantry? A kto to jest? Ktoś z filmu?

— Nie. Mieszka w myśliwskim domku w Gossington. Była wtedy na przyjęciu. To dawna właścicielka rezydencji. Ona i jej mąż, pułkownik Bantry.

— Była na przyjęciu. I widziała coś?

— Sama musi ci powiedzieć, co widziała. Uznasz może, że to nieistotne dla sprawy, ale sądzę, że ma spore znaczenie. Powiedz, że to ja cię przysłałam. I jeszcze... tak, wspomnij może o „Pani z Shalott”.

Dermot przechylił lekko głowę.

— Pani z Shalott — powtórzył. — To takie hasło, prawda?

— Nie ujęłabym tego w ten sposób, lecz przypomni jej, o co mi chodzi.

Dermot Craddock wstał.

— Wrócę tu — uprzedził.

— To miło z twojej strony — zapewniła panna Marple. — Może znajdziesz chwilę czasu, by mnie odwiedzić i napić się herbaty. Jeśli wciąż jeszcze pijasz herbatę — dodała w zadumie. — Wiem, że wielu młodych ludzi w dzisiejszych czasach pija tylko drinki i takie tam. Uważają, że popołudniowa herbatka jest już staromodna.

— Nie jestem taki młody. Owszem, wpadnę do ciebie na herbatę. Na herbatę, plotki i rozmowy o miasteczku. Wiesz cokolwiek o gwiazdach filmowych lub o kimś ze studia?

— Nie, nic — odparta panna Marple. — Prócz tego, co słyszałam — dodała.

— Zwykle masz dobre wiadomości — rzekł Dermot Craddock. — Do widzenia. Bardzo miło było znowu cię zobaczyć.

— O, dzień dobry — powiedziała pani Bantry lekko zaskoczona, gdy Dermot Craddock przedstawił się i wyjaśnił kim jest. — To bardzo ekscytujące. Czy nie powinien pan przyjść z sierżantem?

— Owszem, przyjechał ze mną sierżant — odparł Craddock. — Ale w tej chwili jest zajęty.

— Rutynowe przesłuchania? — spytała z nadzieją pani Bantry.

— Coś w tym rodzaju — wyjaśnił z powagą Dermot.

— I Jane Marple przysłała pana do mnie — powiedziała, wprowadzając go do niewielkiego saloniku. — Właśnie układałam kwiaty — wyjaśniła. — To jeden z tych dni, kiedy kwiaty nie robią tego, czego człowiek od nich oczekuje. Wypadają, sterczą jak nie powinny, albo nie chcą się ułożyć tak, jak człowiek sobie zaplanował. Więc jestem wdzięczna za tę przerwę. Zwłaszcza tak emocjonującą. Więc to naprawdę było morderstwo, tak?

— A czy pani sądzi, że to morderstwo?

— No cóż, mógł to być wypadek — odparła pani Bantry. — Oficjalnie jeszcze nic nie ogłoszono. Tylko to dość bezsensowne oświadczenie, że nie ma dowodów przez kogo i w jaki sposób podano truciznę. Ale oczywiście wszyscy mówimy o tym jako o morderstwie.

— I o tym, kto go dokonał?

— Otóż nie. To jest najdziwniejsze — stwierdziła pani Bantry. — Naprawdę nie wiem, kto mógł to zrobić.

— Czy to znaczy, że nie wie pani, kto fizycznie mógł dokonać morderstwa?

— Nie, to nie to. Było dość trudne, ale nie niemożliwe. Chodzi mi o to, że nie widzę nikogo, kto chciałby to zrobić.

— Myśli pani, że nikt nie chciałby zabić Heather Badcock?

— Szczerze mówiąc nikt taki nie przychodzi mi do głowy. Kilka razy widziałam Heather Badcock na różnych miejscowych imprezach. Wie pan, obozy dla dziewcząt, Towarzystwo St John Ambulance, spotkania parafialne... Wydała mi się kobietą dość meczącą. Pełna entuzjazmu dla wszystkiego, skłonna do pewnej przesady i odrobinę zbyt wylewna. Ale za to nie morduje się ludzi. Jest taki typ kobiety... Wie pan, za dawnych czasów, widząc ją u drzwi zawołałabym pokojówkę (cóż to była jednak za użyteczna instytucja) i kazała powiedzieć, że państwa nie ma w domu.

— Rozumiem, że człowiek wolałby unikać pani Badcock, ale raczej nie chciałby usuwać jej na stałe.

— Bardzo trafnie powiedziane. — Pani Bantry z aprobatą skinęła głową.

— O jej majątku nie warto wspominać — zastanawiał się Dermot — więc nikt nie skorzystał na jej śmierci. Nikt nie żywił do niej antypatii. Nie przypuszczam, żeby kogoś szantażowała.

— Jestem pewna, że coś takiego nawet nie przyszłoby jej do głowy. Była osobą o wysokich zasadach moralnych.

— A jej mąż nie miał jakiegoś romansu?

— Chyba nie. Widziałam go tylko na przyjęciu. Wyglądał trochę jak przeżute sznurowadło: miękki i wilgotny.

— Niedużo tego, prawda? — zauważył Dermot Craddock. — Pozostaje więc przypuszczenie, że musiała coś wiedzieć.

— Co wiedzieć?

— Coś groźnego dla innej osoby. Pani Bantry pokręciła głową.

— Wątpię — powiedziała. — Bardzo wątpię. Sprawiała na mnie wrażenie kobiety, która nie mogłaby się powstrzymać i opowiedziała o wszystkim, co wie.

— Tak, to załatwia sprawę — westchnął Craddock. — Tak więc wracamy, jeśli pani pozwoli, do powodów dla których panią odwiedziłem. Panna Marple, dla której żywię najgłębszy podziw i szacunek, zasugerowała, bym powtórzył słowa: „Pani z Shalott”.

— Ach, to! — zawołała pani Bantry.

— Tak — odparł Craddock. — To! Choć przyznam, że nie rozumiem o co chodzi.

— Ludzie ostatnio prawie nie czytują Tennysona — zauważyła pani Bantry.

— Coś sobie przypominam — powiedział Craddock. — Spoglądała na Camelot, prawda?

Zerwana nić jak cienki włos.

Zwierciadło pęka w odłamków stos;

„Klątwa nade mną”, krzyczy w głos

Pani z Shalott

— Właśnie — potwierdziła pani Bantry. — Tak z nią było.

— Przepraszam bardzo. Z kim? Co było?

— Tak wyglądała.

— Kto wyglądał?

— Marina Gregg.

— Ach, Marina Gregg. A kiedy?

— Jane Marple panu nie mówiła?

— Nic mi nie mówiła. Przysłała mnie do pani.

— To nieładnie z jej strony — stwierdziła pani Bantry. — Zawsze potrafiła opowiadać lepiej ode mnie. Mój mąż powtarzał, że jestem zbyt gwałtowna i że nigdy właściwie nie wiem o czym mówię. Zresztą mogło mi się tylko wydawać. Ale kiedy zobaczy pan kogoś, kto tak wygląda, niełatwo to zapomnieć.

— Niech pani opowie — poprosił Dermot Craddock.

— No wiec, to było na przyjęciu. Nazywam to przyjęciem, bo nie bardzo wiem, jak to inaczej określić? Takie spotkanie towarzyskie na podeście schodów, gdzie urządzili coś w rodzaju salonu. Była tam Marina Gregg z mężem. Zaprosili wybranych gości. Mnie też, chyba dlatego, że byłam kiedyś właścicielką domu. Przyszła także Heather Badcock, która działała w St John Ambulance i przyczyniła się do przygotowania imprezy, i jej mąż. Wchodziliśmy po schodach prawie w tym samym czasie, więc, wie pan, stałam tuż obok, kiedy to się zdarzyło.

— Rozumiem. Kiedy co się zdarzyło?

— No więc, pani Badcock zaczęła pleść, jak zwykle ludzie, kiedy rozmawiają z kimś sławnym. Wie pan: że jest cudownie, że są podekscytowani i że zawsze mieli nadzieję na takie spotkanie. A potem opowiedziała przydługą historię, jak to wiele lat temu widziała Marinę Gregg i jakie to było emocjonujące. To musi być strasznie nudne dla tych gwiazd, a przecież muszą uprzejmie odpowiadać. I wtedy zauważyłam, że Marina Gregg wcale nie odpowiada uprzejmie. Po prostu wpatruje się.

— Wpatruje się w panią Badcock?

— Nie, wyglądała jakby zupełnie zapomniała o pani Badcock. Nie sędzę, by nawet słyszała, co ta do niej mówi. Po prostu patrzyła. Nazywam to spojrzeniem Pani z Shalott: jakby zobaczyła coś strasznego. Coś przerażającego, w co nie mogła uwierzyć.

— Klątwa nade mną? — zasugerował Dermot.

— Tak, właśnie tak. Dlatego określiłam to jako spojrzenie Pani z Shalott.

— Ale na co ona patrzyła?

— Chciałabym to wiedzieć.

— Mówi pani, że stała na szczycie schodów.

— Patrzyła ponad głowę pani Badcock. Nie, bardziej nad jej ramieniem... tak mi się wydaje.

— Prosto na schody?

— Może trochę w bok.

— A po schodach wchodzili ludzie?

— Tak, jakieś pięć czy sześć osób.

— Czy patrzyła specjalnie na kogoś z nich?

— Trudno powiedzieć — stwierdziła pani Bantry. — Widzi pan, nie spoglądałam w tamtą stronę. Przyglądałam się jej. Stałam tyłem do schodów. Pomyślałam, że może patrzy na któryś z obrazów.

— Ale skoro mieszka w tym domu, musi dobrze znać te obrazy. — Tak, tak, oczywiście. Nie... przypuszczam, że jednak musiała patrzeć na kogoś z przychodzących. Ciekawe, na kogo.

— Spróbujemy dojść do tego — rzekł Craddock. — Pamięta pani te osoby?

— Na pewno był burmistrz z żoną. I jeszcze ktoś, myślę, że reporter, rudowłosa, przedstawiono mi go później, ale zapomniałam, jak się nazywa. Nie mam pamięci do nazwisk. Galbraith, czy coś w tym rodzaju. I jeszcze był taki duży, czarny mężczyzna. Nie Murzyn, po prostu smagły, energiczny, a z nim jakaś aktorka. Trochę zbyt jasna blondynka, typ łasicy. I stary generał Bamstaple z Much Benham. Jest już zupełnie dziecienniasty, biedny staruszek. Nie przypuszczam, by mógł czyhać na czyjąś zgubę. Och, jeszcze Grice'owie z farmy.

— Nikogo więcej pani nie pamięta?

— Mógł być ktoś jeszcze. Wie pan, ja... no, nie uważałam specjalnie. Wiem tyle, że generał Barnstaple i Amerykanie zjawili się mniej więcej w tym samym czasie. Byli też ludzie, którzy robili zdjęcia: jeden miejscowy i taka dziewczyna z Londynu pozująca na artystkę, z długimi włosami i dużym aparatem.

— I sądziła pani, że widok którejs z tych osób wywołał u Mariny Gregg to spojrzenie?

— Właściwie nic nie sądziłam — stwierdziła pani Bantry z absolutną szczerością. — Zastanowiłam się tylko, co mogło sprawić, że tak wygląda, i już o tym więcej nie myślałam. Ale potem człowiek przypomina sobie pewne rzeczy. Lecz oczywiście... — dodała uczciwie — ...może to tylko moja wyobraźnia. W końcu mógł ją nagle rozboleć ząb lub puściła zapinka albo dostała kolki. W takich chwilach człowiek zachowuje się jak zwykle i próbuje niczego po sobie nie pokazać, ale wygląda okropnie.

Dermot Craddock roześmiał się.

— Cieszę się, że jest pani realistką, pani Bantry. Ma pani rację, to mogło być coś w tym rodzaju. Ale przyznam, że opowieść brzmi interesująco i może okazać się ciekawym tropem.

Pokręcił głową i wyszedł, by złożyć listy uwierzytelniające w Much Benham.

IX

— Czyli nic nie macie? — zapytał Craddock, podsuwając Frankowi Cornishowi papierośnicę.

— Zupełnie. Żadnych wrogów, żadnych kłótni, dobre stosunki z mężem.

— Nie ma mowy o innej kobiecie czy mężczyźnie?

Cornish pokręcił głową.

— Nic z tego. Nawet plotek. Nie była, jak to się mówi, sexy. Należała do paru komitetów i oczywiście zdarzało jej się posprzeczać, ale nic więcej.

— Nie było nikogo, z kim jej mąż chciałby się ożenić? Może w jego firmie?

— Pracuje w agencji sprzedaży i wyceny nieruchomości »Biddle i Russel». Razem z nim zatrudnione są Florrie West z trzecim migdałkiem i panna Grundle, która ma co najmniej pięćdziesiątkę i jest pociągająca jak stóg siana. Niewiele, by zainteresować mężczyznę. Mimo to nie będę zaskoczony, jeśli rzeczywiście wkrótce się ożeni.

Craddock okazał zainteresowanie.

— Z sąsiadką — wyjaśnił Cornish. — Wdowa. Kiedy po przesłuchaniu wróciłem z nim do domu, była tam, szykowała herbatę i w ogóle dbała o niego. Wydawał się zaskoczony i wdzięczny. Moim zdaniem postanowiła wydać się za niego. Tylko że ten biedak nic jeszcze o tym nie wie.

— Co to za kobieta?

— Przystojna. Niezbyt młoda, ale dobrze wygląda. Ma taką cygańską urodę. Smągła cera. Ciemne oczy.

— Jak się nazywa?

— Bain. Mary Bain. Jest wdową.

— A co robił jej mąż?

— Nie mam pojęcia. Ma syna, który pracuje tu niedaleko i z nią mieszka. Taka spokojna, uczciwa kobieta. Choć mam wrażenie, że gdzieś ją wcześniej widziałem. — Spojrzał na zegarek. — Za dziesięć dwunasta. Umówiłem się w Gossington Hall na dwunastą. Lepiej już jedźmy.

Oczy Dermota Craddocka, które zawsze nadawały mu lekko nieobecny wygląd, pilnie

obserwowały wewnątrz Gossington Hall. Inspektor Cornish odwiózł go tam, przekazał młodemu człowiekowi nazwiskiem Hailey Preston, a następnie taktownie wyszedł. Od tego czasu Dermot uprzejmie potakiwał panu Prestonowi. Hailey Preston był kimś w rodzaju rzecznika prasowego czy sekretarza Jasona Rudda. I mówił — swobodnie, długo, bez żadnej modulacji. W jakiś cudowny sposób potrafił nie powtarzać się zbyt często. Był sympatycznym młodym człowiekiem i pragnął, by każdy, z kim się zetknął, podzielał jego poglądy, że wszystko jest jak najlepiej na tym najlepszym ze światów. Na różne sposoby kilkakrotnie powiedział, jaka to straszna historia, jak się wszyscy zmartwili, jak Marina była straszliwie przybita, a pan Rudd bardziej zdenerwowany niż można to opisać. To okropne, że coś takiego się zdarzyło. Może to jakiś rodzaj alergii na szczególny typ substancji. Po prostu podsunął inspektorowi ten pomysł. W końcu bywają niezwykle, alergie. Nadinspektor Craddock w każdym względzie mógł liczyć na współpracę Studia Hellingforth i wszystkich jego pracowników. Mógł zadawać wszelkie pytania i zaglądać, gdzie tylko sobie życzy. Jeśli w jakikolwiek sposób zdołają pomóc, z pewnością to uczynią. Wszyscy żywili najgłębszy szacunek dla pani Badcock, podziwiali jej społeczne zaangażowanie i bezcenny wkład pracy w działalność Towarzystwa St John Ambulance.

Potem zaczął jeszcze raz, innymi słowami, lecz wykorzystując ten sam motyw: nikt nie mógł być bardziej chętny do współpracy. I jednocześnie dokładał wszelkich starań, by wykazać, jak odległa była ta sprawa od celuloidowego świata studia, pana Jasona Rudda, panny Mariny Gregg i w ogóle wszystkich mieszkańców rezydencji, którzy jednak zrobią absolutnie wszystko, by pomóc. Po czym kiwnął głową jakieś czterdzieści cztery razy. Dermot Craddock wykorzystał chwilę milczenia, by wtrącić:

— Dziękuję panu bardzo.

Powiedział to cicho, lecz stanowczo. Hailey Preston wyprostował się gwałtownie.

— Tak... — zaczął i zawiesił głos.

— Mówił pan, że mogę zadawać pytania.

— Oczywiście. Oczywiście. Niech pan strzela.

— Czy w tym miejscu umarła?

— Pani Badcock?

— Pani Badcock. W tym miejscu?

— Tak, oczywiście. Dokładnie tutaj. Nawet mogę panu pokazać ten fotel.

Stali we wnęce na podeście. Preston przeszedł kawałek korytarzem i wskazał na dość tandetnie wyglądający dębowy fotel.

— Siedziała tutaj — oświadczył. — Powiedziała, że nie czuje się najlepiej. Ktoś poszedł, żeby coś jej przynieść, a potem zwyczajnie umarła. Właśnie tutaj.

— Rozumiem.

— Nie wiem, czy była ostatnio u lekarza. Gdyby ktoś ją uprzedził, że serce ma nie w porządku...

— Nie miała żadnych kłopotów z sercem — odparł Craddock. — Była zdrową kobietą. Zmarła od sześciokrotnie większej od dopuszczalnej dawki substancji, której naukowej nazwy nawet nie będę próbował powtórzyć, ale która, jak zrozumiałem, znana jest powszechnie jako Calmo.

— Wiem, wiem — powiedział Hailey Preston. — Sam czasem biorę.

— Naprawdę? To ciekawe. I dobrze na pana działa?

— Cudownie. Cudownie. Dodaje energii, a jednocześnie uspokaja, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Naturalnie — dodał trzeba to brać w odpowiednich ilościach.

— Czy ta substancja znajduje się w domu?

Znał odpowiedź na to pytanie, lecz zadał je, jakby nie wiedział. Hailey Preston był uosobieniem szczerości.

— Pełno, muszę panu powiedzieć. Prawie w każdej szafce w łazience znajdzie pan butelkę.

— To nie ułatwi nam pracy.

— Oczywiście — dodał Preston — mogła sama wziąć trochę tego specyfiku, a przy tym, jak już mówiłem, cierpieć na alergię.

Craddock nie wyglądał na przekonanego. Hailey Preston westchnął.

— Jest pan pewien co do dawki?

— O tak. To była śmiertelna dawka, a pani Badcock nie używała tego środka. O ile mogliśmy stwierdzić, jedyne leki, jakie w ogóle przyjmowała, to soda oczyszczona i aspiryna.

Preston pokręcił głową.

— To rzeczywiście problem.

— Gdzie pan Rudd i pani Gregg przyjmowali gości?

— Tutaj. — Preston przeszedł na szczyt schodów.

Nadinspektor Craddock stanął przy nim. Spojrzał na ścianę naprzeciwko. W samym środku wisiała włoska Madonna z Dzieciątkiem. Niezła kopia, uznał. Jakiś znany obraz. Madonna w błękitnej szacie trzymała na rękach małego Jezusa i oboje byli roześmiani. Po obu stronach stali jacyś ludzie i wznosili oczy ku dziecku. Przyjemna Madonna, pomyślał Craddock. Dwa wąskie okna po obu stronach obrazu dawały uroczy efekt. Jednak nie dostrzegł nic, co mogłoby wywołać u kobiety

spojrzenie Pani z Shalott, którą dosięgła zguba.

— Goście wchodzili po tych schodach? — zapytał.

— Tak. Grupkami. Po kilka osób na raz. Wprowadziłem parę, potem Ella Zielinsky, sekretarka pana Rudda, przyprowadziła następnych. Chcieliśmy, by było przyjemnie i niezbyt oficjalnie.

— A gdzie pan był, gdy weszła pani Badcock?

— Wstyd się przyznać, inspektorze, ale nie pamiętam. Miałem listę nazwisk, wprowadzałem gości, przedstawiałem, podawałem drinki, potem wychodziłem i wracałem z następnymi. Nie znałem wtedy pani Badcock z widzenia, a na mojej liście nie było jej nazwiska.

— A pani Bantry?

— A tak, to była właścicielka tej posiadłości, prawda? Wydaje mi się, że ona, pani Badcock i jej mąż rzeczywiście przyszli w tym samym czasie. — Urwał. — Burmistrz też zjawił się mniej więcej wtedy. Miał taki wielki łańcuch i żonę o jasnych włosach, w niebieskiej sukni z falbankami. Pamiętam ich. Nie podawałem im drinków, gdyż musiałem zejść po następnych.

— A kto przygotował dla nich drinki?

— Trudno dokładnie powiedzieć. Było nas do tego troje czy czworo. Pamiętam, że zszedłem na dół dokładnie w chwili, gdy burmistrz wchodził po schodach.

— Czy pamięta pan, kto jeszcze był wtedy na schodach? — Jim Galbraith, jeden z tych dziennikarzy, którzy pisali o przyjęciu... troje czy czworo innych, których nie znam. Była też para fotografów, jeden miejscowy, nie pamiętam nazwiska, i taka dziewczyna z Londynu, specjalistka od niezwykłych ujęć. Ustawiła aparat w tamtym kącie, żeby mieć widok na panią Gregg witającą gości. Niech się zastanowię... mam wrażenie, że wtedy właśnie przyszedł Ardwyck Fenn.

— Kto to jest Ardwyck Fenn?

Hailey Preston był wyraźnie wstrząśnięty.

— To gruba ryba, inspektorze. Bardzo gruba ryba w świecie telewizji i filmu. Nie wiedzieliśmy nawet, że jest w Anglii.

— Jego przyście było niespodzianką?

— Jeszcze jaką — potwierdził Preston. — To ładnie z jego strony, że przybył bez zapowiedzi.

— Jest starym przyjacielem obojga, pani Gregg i pana Rudda? — Wiele lat temu był bardzo dobrym przyjacielem Mariny, jeszcze za czasów jej drugiego męża. Nie wiem, jak dobrze znał go Jason.

— W każdym razie to była miła niespodzianka?

— Naturalnie. Byliśmy zachwyceni.

Craddock skinął głową i przeszedł do innych tematów. Skrupulatnie wypytywał o drinki, składniki, sposób podania i kto zajmował się serwowaniem oraz kto był obecny ze stałej i wynajętej służby. Odpowiedzi wskazywały, jak już sugerował inspektor Cornish, że chociaż każda z trzydziestu osób z wyjątkową łatwością mogła otruć Heather Badcock, jednocześnie każda z trzydziestu osób mogła być przy tym zauważona. To było naprawdę wielkie ryzyko, uznał Craddock.

— Dziękuję — powiedział w końcu. — Teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym porozmawiać z panią Mariną Gregg.

Hailey Preston pokręcił głową.

— Przykro mi, naprawdę mi przykro, ale to wykluczone.

Craddock uniósł brwi.

— Doprawdy?

— Jest kompletnie przybita. Był u niej osobisty lekarz. Napisał zaświadczenie. Pokażę panu.

Craddock przeczytał zaświadczenie.

— Rozumiem. Czy Marina Gregg zawsze ma ze sobą lekarza?

— Oni żyją w ciągłym napięciu, wszyscy aktorzy i aktorki. Ciągła huśtawka nastrojów. W przypadku wielkich gwiazd jest pożądane, by mieli przy sobie lekarza, który zna ich słabości i stan nerwowy. Maurice Gilchrist ma znakomitą reputację. Od dawna już zajmuje się panią Gregg. Przez ostatnie cztery lata ciężko chorowała i bardzo długo przebywała w szpitalu. Dopiero w zeszłym roku odzyskała zdrowie i siły.

— Rozumiem.

Preston wyraźnie poczuł ulgę, że Craddock nie protestuje.

— Chciałby pan widzieć pana Rudda? — zaproponował. — Wróci... — Spojrzał na zegarek. — Wróci ze studia za mniej więcej dziesięć minut. Jeśli to panu odpowiada...

— Znakomicie — powiedział Craddock. — A tymczasem, czy doktor Głchrist jest w domu?

— Owszem.

— W takim razie chciałbym z nim porozmawiać.

— Ależ oczywiście. Zaraz go przyprowadzę.

Młody człowiek wybiegł, a Dermot Craddock został sam na szczycie schodów. Oczywiście to

skamieniałe spojrzenie, które opisywała pani Bantry, mogło być produktem jej wyobraźni. Miała chyba skłonność do pośpiesznego wyciągania wniosków. Ale wniosek, który pośpiesznie wyciągnęła, mógł być również wnioskiem poprawnym. Nie wyglądająca może aż tak jak Pani z Shalott, która dostrzegła nadchodzącą zgubę, Marina Gregg mogła przecież zobaczyć coś, co ją zaniepokoiło lub poirytowało. Co spowodowało, że zaniedbała osobę, z którą właśnie rozmawiała. Może po schodach wchodził ktoś, kogo można by nazwać nieproszonym i niemiłym gościem?

Obejrzał się, słysząc odgłos kroków. Wrócił Hailey Preston, a wraz z nim doktor Maurice Gilchrist. Doktor Gilchrist nie wyglądał tak, jak Dermot Craddock go sobie wyobrażał. Nie przypominał filmowych lekarzy. Wydawał się szczerym, rzeczowym człowiekiem. Ubrany był w tweed, nieco zbyt kolorowy jak na angielski gust, miał strzechę kasztanowych włosów i bystre oczy.

— Doktor Gilchrist? Nadinspektor Dermot Craddock. Czy mogę zamienić z panem dwa słowa na osobności?

Doktor skinął głową. Zawrócił, poszedł niemal na sam koniec korytarza, potem otworzył drzwi i przepuścił Craddocka.

— Tutaj nikt nam nie przeszkodzi — oświadczył.

Była to najwyraźniej jego własna, bardzo funkcjonalnie umeblowana sypialnia. Doktor Gilchrist wskazał gościowi krzesło, po czym sam usiadł.

— Jak rozumiem — zaczął Craddock — pani Marina Gregg, według pańskiej opinii, nie może się ze mną spotkać. Co się z dzieje, doktorze?

Gilchrist lekko wzruszył ramionami.

— Nerwy — wyjaśnił. — Gdyby pan teraz próbował ją o coś zapytać, w ciągu dziesięciu minut znalazłaby się w stanie granicznym z histerią. Nie mogę na to pozwolić. Jeśli zechce pan przysłać do mnie policyjnego lekarza, chętnie przekażę mu swoją diagnozę. Z tych samych powodów nie mogła stawić się na przesłuchaniu.

— Jak długo może utrzymać się taki stan?

Doktor Gilchrist spojrział na niego i uśmiechnął się. Był to sympatyczny uśmiech.

— Jeśli chce pan poznać moje zdanie, jako człowieka, nie jako lekarza, to w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin nie tylko będzie mogła z panem rozmawiać, ale wręcz poprosi o spotkanie. Będzie zadawać pytania. I odpowiadać na pańskie. Tacy już oni są. — Pochylił się lekko. — Jeśli tylko zdołam, spróbuję panu wytłumaczyć, nadinspektorze, dlaczego ci ludzie zachowują się właśnie w taki sposób. Życie w filmie to życie w ciągłym napięciu, tym większym, im więcej odnosi się sukcesów. Dzień i noc pozostaje się na oczach tłumów. Na planie, przy pracy, a praca jest trudna, monotonna i wyczerpująca. Przychodzi pan o świcie, potem siedzi i czeka. Gra jakiś epizod i ten epizod jest ciągle powtarzany. Podczas próby w teatrze występuje się najczęściej przez cały akt lub przynajmniej część aktu. Całość przebiega w jakiejś kolejności, mniej czy bardziej ludzkiej i

sensownej. Na planie filmowym wszystko jest wyrwane z kontekstu. To monotonna, męcząca harówka. I to pana wykańcza. Naturalnie, żyje pan w luksusie. Ma pan leki uspokajające, kąpiele, kremy, pudry i opiekę medyczną, rozrywki, przyjęcia, znajomych, ale zawsze na oczach tłumu. Nigdy nie jest pan sam. Nigdy nie może się pan odprężyć.

— Wyobrażam sobie — odparł Dermot. — Tak, mogę to sobie wyobrazić.

— Jest jeszcze coś — mówił dalej Gilchrist. — Jeśli decyduje się pan na taką karierę i jest pan dobry, musi być pan dość specyficzną osobą. To wiem z doświadczenia. Osobą, którą cały czas dręczy niepewność. Poczucie własnej miernej wartości, strach, że nie zrobi pan tego, czego od pana oczekują. Ludzie uważają, że aktorzy i aktorki są próżni. To nieprawda. Nie mają o sobie wysokiego mniemania; ale ogarnięci są obsesją na własnym punkcie, cały czas trzeba ich podtrzymywać na duchu. Potrzebują tego. Proszę spytać Jasona Rudda. Powie panu to samo. Trzeba wzbudzić w nich pewność, że potrafią, trzeba bez przerwy dodawać im otuchy, nim osiągnie się pożądany efekt. Ale oni zawsze wątpią w siebie, a to sprawia, że są, jeśli mogę użyć zwykłego, nieprofesjonalnego określenia, nerwowi. Straszliwie nerwowi! Kłębki nerwów. A im gorzej wyglądają ich nerwy, tym lepsi są w pracy.

— To ciekawe — przyznał Craddock. — Bardzo ciekawe. Choć nie całkiem pojmuję...

— Chcę, żeby pan zrozumiał Marinę Gregg. Nie wątpię, że oglądał pan jej filmy.

— To wspaniała aktorka — przyznał Dermot. — Cudowna. Ma osobowość, urodę, potrafi nawiązać kontakt z widzem.

— Tak — przytaknął Gilchrist. — Ma to wszystko i musiała pracować jak szalona, by osiągnąć takie efekty. Ta praca zniszczyła jej nerwy. Nie jest silna fizycznie. Nie tak silna, jak tego potrzebuje. Ma temperament, który ciągle waha się między desperacją a euforią. Nic nie może na to poradzić. Taka się urodziła. Wiele w życiu wycierpiała. Na część tych cierpień sama sobie zasłużyła, ale na część nie. Żadne jej małżeństwo nie było szczęśliwe, z wyjątkiem, jak mi się wydaje, tego ostatniego. Wyszła za męczycznę, który bardzo ją kocha i kochał ją od lat. Otula się tą miłością i jest szczęśliwa. A przynajmniej jest szczęśliwa w tej chwili. Trudno powiedzieć, jak długo to potrwa. Problem w tym, że albo sądzi, iż w końcu dotarta do punktu miejsca czy chwili w życiu, gdy jak w bajce spełnią się wszystkie marzenia, gdzie nic nie może pójść źle, gdzie już nigdy nie będzie nieszczęśliwa, albo też uważa, że stoczyła się na dno, że jest kobietą, która zrujnowała sobie życie, nigdy nie poznała miłości ani szczęścia i nigdy już nie pozna. — I dodał sucho: — Gdyby tylko potrafiła zatrzymać się w połowie między tymi dwoma skrajnościami, wreszcie mogłaby się uspokoić, ale świat straciłby świetną aktorkę.

Przerwał, lecz Dermot Craddock milczał. Zastanawiał się, czemu Maurice Gilchrist mówi mu to wszystko. — Czemu ma służyć ta analiza psychiki Mariny Gregg? Gilchrist przyglądał mu się, jakby ponaglał Derkota, by zadał jedno szczególne pytanie. Dermot nie wiedział, o jakie pytanie mu chodzi. Wreszcie powiedział wolno, jak człowiek, który po omacku szuka drogi:

— Bardzo ją dotknęła tragedia, która się tu wydarzyła?

— Tak — przyznał Gilchrist. — To prawda.

— Niemal nienaturalnie mocno?

— To zależy.

— A od czego zależy?

— Od powodów, dla których tak ją dotknęła.

— Przypuszczam — zaczął Dermot, wciąż szukając na oślep — że to szok, gdy ktoś nagle umiera w samym środku przyjęcia.

Na twarzy lekarza nie dostrzegł prawie żadnej reakcji.

— A może — dodał — jest w tym coś więcej?

— Oczywiście, trudno przewidzieć — rzekł Gilchrist — jak ludzie zareagują na coś takiego. Trudno powiedzieć, choćby znało się ich doskonale. Zawsze potrafią zaskoczyć. Marina mogła przyjąć to zupełnie spokojnie. Ma miękkie serce. Mogła powiedzieć: „Och, biedna kobieta, to straszne. Nie wiem, jak to się stało”. Mogła okazywać współczucie, tak naprawdę wcale się nie przejmując. Po tych wszystkich zgonach, które od czasu do czasu zdarzają się na przyjęciach czy w studiu... Albo mogłaby, kiedy nie działo się nic specjalnie ciekawego, zdecydować się... zdecydować podświadomie, muszę zaznaczyć... na pewną dramatyzację. Po prostu odegrać scenę. Mogły też zaistnieć zupełnie inne przyczyny.

Dermot postanowił chwycić byka za rogi.

— Chciałbym się dowiedzieć — oświadczył — co pan naprawdę myśli.

— Nie wiem — odparł Gilchrist. — Nie mam pewności. — Przerwał na chwilę. — Istnieje, wie pan, etyka zawodowa. Stosunki między lekarzem a pacjentem.

— Coś panu powiedziała?

— Nie sądzę, by tak można to ująć.

— Czy Marina Gregg знаła tę kobietę, Heather Badcock? Czy spotkały się wcześniej?

— Nawet, jeśli się kiedyś przypadkiem spotkały, to nie rozpoznałyby jej na ulicy. Nie, nie w tym problem. Szczerze mówiąc, to nie ma nic wspólnego z Heather Badcock.

— Ten środek, Calmo. Czy Marina Gregg także go używa? — Właściwie żyje dzięki niemu. Tak jak wszyscy tutaj. Bierze to Ella Zielinsky, Hailey Preston, połowa towarzystwa. Jest w tej chwili modny. Te wszystkie środki są prawie takie same. Ludzie mają dość jednego i próbują drugiego, który akurat się pojawi. Uważają, że jest wspaniały i że żyje się z nim łatwiej.

— A żyje się łatwiej?

— No cóż, tak. Spełniają swoje zadanie. Uspokoją, albo pobudzą, dają poczucie, że człowiek może zrobić to, co w innym przypadku uznałby za przekraczające jego siły. Nie przepisuję ich więcej niż muszę, ale w odpowiednich dawkach nie są niebezpieczne. Pomagają ludziom, którzy sami nie potrafią sobie pomóc.

— Chciałbym wiedzieć — westchnął Craddock — co właściwie próbuje mi pan powiedzieć?

— Próbuję ustalić, co jest moim obowiązkiem. Widzi pan, czuję nacisk z dwóch stron. Po pierwsze, mam obowiązki lekarza wobec pacjenta. To, co mówi pacjent, jest poufne i takie musi pozostać. Ale można na to spojrzeć z innego punktu widzenia. Można sobie wyobrazić, że pacjentowi grozi niebezpieczeństwo. Trzeba podjąć kroki, by tego niebezpieczeństwa uniknąć.

Urwał. Craddock spojrzał na niego i czekał.

— Tak — stwierdził Gilchrist. — Chyba wiem, co powinienem zrobić. Proszę pana, nadinspektorze, by zachował pan w tajemnicy to, co pan usłyszysz. Nie przed pańskimi kolegami, naturalnie, ale przed zewnętrznym światem, zwłaszcza w tym domu. Zgadza się pan?

— Nie mogę się zobowiązać — odparł Craddock. — Nie wiem, co się wydarzy. Ale ogólnie tak, zgadzam się. To znaczy, że informację, jaką od pana otrzymam, postaram się zachować dla siebie i swoich kolegów.

— Proszę posłuchać. To może nic nie znaczyć. Kobiety mówią różne rzeczy, kiedy są w takim stanie nerwowym jak teraz Marina Gregg. Powtarzam panu coś, co mi powiedziała. To może nie mieć znaczenia.

— A co powiedziała? — spytał Craddock.

— Załamała się, kiedy to się zdarzyło. Posłała po mnie. Dałem jej środek uspokajający. Zostałem przy niej, trzymałem ją za rękę. Powtarzałem, żeby się uspokoiła, że wszystko będzie dobrze. A potem, tuż przed zaśnięciem, powiedziała: „To miałam być ja, doktorze.”

Craddock szeroko otworzył oczy.

— Tak powiedziała? A później, następnego dnia?

— Nie wracała do tego. Raz sam poruszyłem ten temat. Unikała odpowiedzi. Powiedziała: „Och, musiał się pan pomylić. Jestem pewna, że nigdy nic takiego nie mówiłam. Byłam wtedy prawie nieprzytomna.”

— Lecz pan sądzi, że mówiła poważnie?

— Była przytomna — odparł Gilchrist. — Co nie znaczy, że nie mogła się mylić — uprzedził. — Nie wiem, czy ktoś chciał otruć ją, czy Heather Badcock. Pan pewnie ma lepsze rozeznanie. Mówię tylko, że Marina Gregg wierzyła, iż trucizna była przeznaczona dla niej.

Craddock milczał przez chwilę.

— Dziękuję, doktorze — odezwał się wreszcie. — Jestem wdzięczny za to, co pan powiedział i rozumiem pańskie motywy. Jeśli przekonanie Mariny Gregg opiera się na faktach, może to znaczyć, że wciąż coś jej grozi.

— W tym rzecz — przyznał Gilchrist. — W tym właśnie rzecz.

— Czy ma pan powody, by przypuszczać, że tak właśnie jest?

— Nie mam.

— I nie wie pan, dlaczego tak myślała?

— Nie.

— Dziękuję panu.

Craddock wstał.

— Jeszcze jedno, doktorze. Nie wie pan, czy powiedziała o tym mężowi?

Gilchrist wolno pokręcił głową.

— Nie. Jestem całkiem pewien. Mężowi nie powiedziała nic.

Przez chwilę patrzył Dermotowi w oczy, potem lekko skłonił głowę.

— Nie jestem już panu potrzebny? To dobrze. Wrócę do mojej pacjentki. Spotka się z panem, gdy tylko będzie to możliwe.

Wyszedł z pokoju. Craddock został sam. Ściągnął wargi i cichutko pogwizdywał.

X

— Jason już wrócił — oznajmił Hailey Preston. — Jeśli pójdzie ze mną, nadinspektorze, zaprowadzę pana do niego.

Pokój, który Jason Rudd traktował na równi jak salon i gabinet, znajdował się na parterze. Urządzony był wygodnie, choć bez luksusów. Nie miał żadnego charakteru, nie świadczył; o szczególnych gustach czy upodobaniach lokatora. Jason wstał zza biurka i wyszedł gościowi na spotkanie. Ten pokój nie potrzebuje charakteru, pomyślał Dermot, skoro właściciel ma go tak wiele. Hailey Preston był sprawnym i elokwentnym gadułą. Gilchrist miał moc i magnetyzm. Jednak Dermot zrozumiał natychmiast, że Rudd nie pozwoli się rozszyfrować. W swej karierze poznał i oceniał różnych ludzi. Po tylu latach bez trudu zgadywał, do czego są zdolni i niemal czytał w ich myślach. Teraz jednak wyczuł, że pozna Jasona Rudda w takim tylko zakresie, w jakim on sam zechce się odsłonić. Głęboko osadzone, myślące oczy spoglądały bystro, ale nie zdradzały niczego. Brzydka, kanciasta głowa świadczyła o znakomitym intelekcie. Twarz kłowna mogła wydawać się odpychająca albo przyciągająca. Tutaj, pomyślał Craddock, powinienem usiąść, słuchać i bardzo uważnie notować.

— Przepraszam, nadinspektorze, że musiał pan czekać. Zatrzymały mnie pewne drobne komplikacje w studiu. Napije się pan czegoś?

— Nie teraz. Dziękuję, panie Rudd.

Twarz kłowna rozciągnęła się nagle w ironicznym uśmiechu.

— W tym domu trzeba uważać z drinkami... tak pan pewnie pomyślał?

— Szczerze mówiąc, nie to miałem na myśli.

— Nie. Wiem, że nie. Przypuszczam, że nie. No cóż, nadinspektorze, co chciałby pan wiedzieć? W czym mogę pomóc?

— Pan Preston odpowiedział bardzo wyczerpująco na wszystkie pytania, które mu zadałem.

— I pomógł panu?

— Nie tak bardzo, jak bym sobie tego życzył.

Jason Rudd spojrzał z ciekawością.

— Spotkałem się także z doktorem Gilchristem. Poinformował mnie, że pańska żona nie ma jeszcze dość sił, by odpowiadać na pytania.

— Marina jest bardzo wrażliwa — stwierdził Jason Rudd. — Łatwo wytrącić ją z równowagi.

Przyzna pan, że morderstwo popełnione tuż pod bokiem może wywołać załamanie.

— Nie jest to przyjemne doświadczenie — przyznał sucho Dermot Craddock.

— Wątpię, czy moja żona mogłaby powiedzieć panu coś, czego ja bym nie wiedział. Stałem obok niej, kiedy to się stało, a szczerze wyznam, że jestem lepszym obserwatorem.

— Pierwsze pytanie, jakie chciałbym zadać — zaczął Dermot — zresztą na to pytanie z pewnością już pan odpowiadał, to czy któreś z was znało wcześniej Heather Badcock?

Jason Rudd pokręcił głową.

— Z pewnością nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety. Napisała do mnie dwa listy w imieniu St John Ambulance, ale poznałem ją osobiście dopiero na pięć minut przed śmiercią.

— Ale twierdziła, że spotkała pańską żonę?

Rudd skinął głową.

— Chyba jakieś dwanaście lub trzynaście lat temu, na Bermudach. Podczas przyjęcia dobroczynnego. Marina otwierała imprezę. Pani Badcock, gdy tylko została jej teraz przedstawiona, natychmiast zaczęła rozwlekle opowieść o tym, że chociaż leżała wtedy w łóżku z grypą, jednak wstała, dotarła na bankiet i zdobyła autograf Mariny. — Znowu ironiczny uśmiech wykrzywił mu twarz. — Jeśli wolno powiedzieć, takie rzeczy zdarzają się bardzo często, nadinspektorze. Tłum ludzi czeka zwykle w kolejce, by dostać dedykację od mojej żony. To chwila, którą wspominają i pamiętają bardzo długo. Całkiem zrozumiałe, gdyż to jedno z ważniejszych wydarzeń w ich życiu. I, co równie naturalne, dość mało prawdopodobne jest, by Marina zapamiętała kogoś z tysiąca łowców autografów. Nie przypominała sobie spotkania z panią Badcock.

— Doskonale rozumiem — rzekł Craddock. — Panie Rudd, od kogoś, kto był na miejscu, dowiedziałem się, że pańska żona wydawała się nieco roztargniona podczas rozmowy z Heather Badcock. Czy pan zgodzi się z tą opinią?

— To bardzo możliwe — odparł Jason Rudd. — Marina nie odznacza się najsilniejszą konstrukcją psychiczną. Oczywiście, jest przyzwyczajona do tego, co nazwałbym publiczną działalnością społeczną. Potrafi wywiązywać się z obowiązków niemal automatycznie. Lecz pod koniec długiego dnia opada czasem z sił. To mógł być taki moment. Ja niczego nie zauważyłem. Nie, nie, chwileczkę, to nie do końca prawda. Rzeczywiście pamiętam, że odpowiadała pani Badcock z roztargnieniem. Chyba nawet szturchnąłem ją delikatnie.

— Może coś odwróciło jej uwagę? — spytał Dennot.

— Tak, lecz mógł to być chwilowy kryzys wynikający ze zmęczenia.

Dermot Craddock zamilkł na chwilę. Popatrzył przez okno na smutny pejzaż lasów otaczających Gossington Hall. Potem przeniósł wzrok na wiszące na ścianach obrazy i w końcu na Jasona Ruddy. Twarz mężczyzny wyrażała jedynie skupienie. Nic nie zdradzało jego uczuć. Wydawał się uprzejmy i

całkiem spokojny. To człowiek bardzo dużego kalibru, pomyślał Craddock. Prawdziwy intelektualista. Nie wyciągnie się z niego nic, czego nie zechce powiedzieć... chyba że wyłoży się karty na stół. Dermot podjął decyzję. To właśnie zrobi.

— Przyszło panu do głowy, panie Rudd, że otrucie Heather Badcock było przypadkowe? Że faktyczną ofiarą miała stać się pańska żona?

Zapadła cisza. Wyraz twarzy Rudda nie zmienił się. Dermot czekał. Wreszcie gospodarz westchnął głęboko.

— Tak — odparł spokojnie. — Ma pan rację, nadinspektorze. Od początku byłem tego pewien.

— Ale nie powiedział pan tego ani inspektorowi Cornishowi, ani na przesłuchaniu?

— Nie.

— Dlaczego?

— Mógłbym odpowiedzieć panu całkiem rozsądnie, że było to z mojej strony tylko przypuszczenie i nie miałem żadnych dowodów. Fakty, które doprowadziły mnie do tego wniosku, były znane przedstawicielom prawa, bardziej ode mnie kompetentnym w tych sprawach. Nie wiem nic na temat pani Badcock. Mogła mieć jakichś wrogów, ktoś mógł zdecydować, że poda jej śmiertelną dawkę przy tej akurat okazji, choć przyznaję, byłaby to dość niezwykła i ryzykowna decyzja. Czas i miejsce mogły być jednak wybrane świadomie z tej właśnie przyczyny, że na tak liczny przyjęciu trudno ustalić przebieg wypadków, a tłum obcych uniemożliwi odkrycie sprawcy. Wszystko to prawda, ale będę z panem szczery, nadinspektorze. Nie z tego powodu milczałem. Zdradzę panu prawdziwą przyczynę: nie chciałem, by moja żona choć przez chwilę pomyślała, że o włos uniknęła śmierci.

— Dziękuję panu za szczerść. Chociaż nie całkiem rozumiem motywy pańskiego milczenia.

— Nie? Trochę trudno to wyjaśnić. Żeby je zrozumieć, musiałby pan znać Marinę. Jest osobą, która bardzo potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. W sensie materialnym odniosła wielki sukces i zyskała artystyczną sławę. Lecz w sprawach prostych nie układało jej się. Wielokrotnie sądziła, że szczęście. Wpadała w euforię, po czym nadzieje rozsypywały się;; w gruzy. Nie potrafiła, panie Craddock, spojrzeć na życie w sposób racjonalny i rozważny. Przy poprzednich małżeństwach spodziewała się, jak czytające bajkę dziecko, że będą trwały długo i szczęśliwie.

I znów ironiczny uśmiech odmienił brzydką twarz kłowna.

— Lecz małżeństwo to nie bajka, nadinspektorze. Żadna euforia nie trwa wiecznie. Szczęściem jest, gdy potrafimy osiągnąć spokojne zadowolenie, sympatię, pogodę ducha i umiarkowane powodzenie. — I dodał: — Jest pan żonaty, nadinspektorze?

Dermot Craddock pokręcił głową.

— Jak dotąd nie miałem tego szczęścia, czy pecha — mruknął.

— W naszym świecie, świecie filmu, małżeństwo to stała rozrywka. Gwiazdy filmowe często je zawierają. Czasem szczęśliwie, czasem tragicznie, ale rzadko na stałe. Pod tym względem nudno powiedzieć, by Marina miała powody do narzekania. Ale dla kogoś z jej temperamentem takie sprawy są bardzo istotne. Nabrała przekonania, że ma pecha, że nic nigdy się jej nie uda. Zawsze rozpaczliwie szukała miłości, szczęścia, przyjaźni, bezpieczeństwa... Szaleńczo pragnęła mieć dzieci. Według któregoś z lekarzy, sama intensywność tego pragnienia utrudniała jego realizację. Pewien znany terapeuta doradził adopcję. Powiedział, że kiedy adoptowane dziecko zaspokoi tak silną potrzebę macierzyństwa, często wkrótce potem następuje naturalny poród. Marina adoptowała troje dzieci. Przez pewien czas czerpała z tego pewną dozę szczęścia i pogody ducha. Ale nie o to jej chodziło. Może pan sobie wyobrazić jej euforię, kiedy jedenaście lat temu dowiedziała się, że jest w ciąży. Radość była nie do opisania. Czuli się dobrze i lekarze zapewniali, że nie ma najmniejszych powodów do obaw. Ale, jak zapewne pan słyszał, albo i nie, skończyło się tragedią. Dziecko, chłopiec, urodził się umysłowo niedorozwinięty. Imbecyl. To była katastrofa. Marina zupełnie się załamała i chorowała przez kilka lat. Trafiała nawet do szpitala. Powoli odzyskiwała zdrowie. Wkrótce potem pobraliśmy się i znów zaczęła interesować się życiem; uwierzyła, że może być szczęśliwa. Z początku nikt nie chciał jej zaproponować żadnego sensownego kontraktu. Wszyscy powątpiewali, czy podoła napięciom w pracy. Walczyłem. — Jason Rudd zacisnął wargi. — No cóż, zwyciężyłem. Rozpoczęliśmy zdjęcia. Tymczasem kupiliśmy ten dom i zaczęliśmy jego przebudowę. Niecałe dwa tygodnie temu Marina mówiła mi, jaka się czuje tu szczęśliwa. Wierzyła, że w końcu będzie mogła prowadzić normalne rodzinne życie i zapomnieć o kłopotach. Trochę się bałem, gdyż jak zwykle była przesadnie optymistyczna, choć bez wątpienia mówiła szczerze. Zniknęły objawy choroby nerwowej. Była spokojna i rozluźniona jak nigdy przedtem. I wszystko szło dobrze dopóki... — urwał. W jego głosie zabrzmiała gorycz. — Dopóki nie wydarzyło się morderstwo! Ta kobieta musiała umrzeć właśnie tutaj! Samo w sobie było to dostatecznie silnym szokiem. Uznałem, że nie wolno mi ryzykować. Marina nie mogła się dowiedzieć, że to ją usiłowano zamordować. Przeżyłaby drugi szok, który mógł doprowadzić do kolejnego załamania i katastrofy. Spojrzał na Dermota.

— Czy teraz pan rozumie?

— Rozumiem pański punkt widzenia — odparł Craddock. — Ale, proszę wybaczyć, czy nie pomija pan pewnego szczegółu? Pana zdaniem ktoś usiłował otruć pańską żonę. To niebezpieczeństwo wciąż istnieje. Jeśli trucicielowi raz się nie udało, przecież może spróbować znowu?

— Naturalnie, myślałem o tym. Jestem pewien, że gdy zostałem, że tak powiem, ostrzeżony, będę potrafił zapewnić żonie wszelkie środki bezpieczeństwa. Sam będę jej pilnował i zadbam, by jej pilnowano. Sądzę jednak, że ona nie powinna dowiedzieć się o grożącym jej niebezpieczeństwie.

— I myśli pan — spytał ostrożnie Craddock — że nie wie?

— Oczywiście. Nie ma pojęcia.

— Jest pan tego pewien?

— Oczywiście. Taka myśl nie przyszlaby jej nawet do głowy.

— Ale panu przyszła — zauważył Dermot.

— To co innego. Logicznie rzecz biorąc, było to jedyne rozwiązanie. Ale moja żona nie jest logiczna. A przede wszystkim mogłaby sobie nawet wyobrazić, że ktoś chciałby się jej pozbyć.

— Może ma pan rację — powiedział wolno Dermot. — Z tym jednak wiąże się jeszcze kilka pytań. Będę z panem szczery. Kogo pan podejrzewa?

— Nie mogę powiedzieć.

— Przepraszam panie Rudd, czy to znaczy, że pan nie może czy nie chce?

Jason Rudd odparł szybko.

— Nie mogę. Zdecydowanie nie mogę. Wydaje mi się niemożliwe, by ktoś tak bardzo jej nienawidził, żywił tak silną urazę, żeby zrobić coś podobnego. Z drugiej strony, jak wynika z nagich faktów, właśnie to się zdarzyło.

— Proszę dokładnie naszkicować mi fakty, tak jak pan je widzi.

— Jeśli pan sobie życzy. Okoliczności są całkiem jasne. Nalałem dwa koktajle daiquiri przygotowanego już w dzbanku. Podałem je Marinie i pani Badcock. Nie wiem, co zrobiła pani Badcock. Przesunęła się... chciała chyba porozmawiać z kimś znajomym. Marina trzymała szklankę w ręku. Podchodził właśnie burmistrz z żoną. Marina odstawiła szklankę, jeszcze nietkniętą i przywitała ich. Potem witała się z kimś jeszcze. Nie widziany od lat przyjaciel, jacyś miejscowi i jedna czy dwie osoby ze studia. Przez ten czas szklanka z koktajlem stała na stoliku za nami, jako że oboje przesunęliśmy się nieco do przodu na szczyt schodów. Pozwoliła, by zrobiono jej kilka zdjęć z burmistrzem, o to prosili przedstawiciele miejscowej gazety. Miała nadzieję, że to dobrze usposobi okolicznych mieszkańców. W tym czasie przyniosłem świeże drinki dla nowych gości. Widocznie właśnie wtedy morderca wrzucił truciznę do szklanki żony. Proszę nie pytać, jak tego dokonał; z pewnością nie było to proste.

Z drugiej strony, gdyby ktoś miał dostatecznie silne nerwy, by zrobić to otwarcie i obojętnie, nikt pewnie nie zwróciłby uwagi. Pytał pan, czy kogoś podejrzewam. Powiem tylko, że mogła tego dokonać jedna z co najmniej dwudziestu osób. Widzi pan, ludzie stali w małych grupach, rozmawiali, czasami odchodzili, by obejrzeć zmiany w domu. Panował ruch, ciągły ruch. Długo o tym myślałem, przeszukiwałem pamięć, lecz nie znalazłem niczego, absolutnie niczego, co skierowałoby podejrzenia na jakąś konkretną osobę.

Przerwał i westchnął bezradnie.

— Rozumiem — powiedział Dermot. — Proszę mówić dalej.

— Przypuszczam, że słyszał pan już ciąg dalszy.

— Chciałbym usłyszeć to jeszcze raz od pana.

— No więc wróciłem na schody. Żona właśnie się odwróciła i sięgnęła po daiquiri. Pani Badcock krzyknęła lekko. Ktoś musiał ją potrącić, bo szklanka wysunęła się jej z rąk i spadła na podłogę. Marina zachowała się jak na gospodynię przystało. Alkohol trochę poplamiał jej suknię, ale oświadczyła, że to nic takiego. Własną chusteczką wytarła spódnice pani Badcock i nalegała, by ta przyjęła jej drinka. O ile pamiętam powiedziała: I tak już za dużo dziś wypiałam”. Jednego jestem pewien. Potem nikt już nie mógł dodać do koktajlu trucizny. Pani Badcock wypłała go natychmiast. Jak pan wie, cztery czy pięć minut później już nie żyła. Zastanawiam się, głęboko zastanawiam, co musiał czuć morderca, kiedy uświadomił sobie, że plan zawiódł...

— To wszystko przyszło panu wtedy do głowy?

— Oczywiście, że nie. Wtedy naturalnie uznałem, że ta kobieta miała jakiś atak. Może serce, zakrzep wieńcowy czy coś w tym rodzaju. Nawet przez myśl mi nie przyszło, że to może być trucizna. A panu by przyszło? Czy ktokolwiek mógł o tym pomyśleć?

— Raczej nie — przyznał Dermot. — No cóż, opisał pan szczegółowo sytuację i jest pan pewien faktów. Twierdzi pan, że nie podejrzewa nikogo konkretnego. Nie całkiem mogę się z tym zgodzić.

— Zapewniam, że to prawda.

— Spójrzmy na to z innego punktu widzenia. Kto mógłby źle życzyć pańskiej żonie? Wiem, że brzmi to trochę melodramatycznie, ale czy miała wrogów?

Jason Rudd rozłożył ręce.

— Wrogów? Co właściwie oznacza to słowo? W świecie, w którym żyjemy z żoną, jest wiele zazdrości i niechęci. Zawsze znajdują się ludzie, którzy zaczną kampanię plotek i chętnie zaszkodzą nielubianej osobie, jeśli tylko nadarzy się okazja. Ale to nie oznacza, że ktokolwiek z nich jest mordercą, nawet potencjalnym. Zgodzi się pan ze mną?

— Tak, oczywiście. To musi być coś więcej niż drobne niechęci czy zazdrość. Czy jest ktoś, kogo pańska żona w przeszłości zraniła?

Odpowiedź nie przyszła Ruddowi łatwo. Zmarszczył czoło.

— Szczerze mówiąc nie sędzę, a przyznani, że wiele o tym myślałem.

— Jakiś nieudany romans?

— Oczywiście były takie sprawy. Od czasu do czasu Marina dość okrutnie traktowała któregoś z mężczyzn. Ale z pewnością nie było to nic takiego, co mogłoby spowodować trwałą nienawiść.

— A kobiety? Czy któraś z kobiet żywiła głęboką urazę do pani Gregg?

— No cóż, z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Ale nic nie przychodzi mi do głowy.

— Kto zyskałby finansowo na nagłej śmierci pańskiej żony?

— Różne osoby, ale nikomu nie zapisała zbyt wiele. Przypuszczam, że najbardziej skorzystałbym ja jako mąż i być może gwiazda, która zastąpiłaby ją w tym filmie. Chociaż mogliby zrezygnować ze zdjęć. Takie sprawy są zawsze niepewne.

— Nie musimy chyba rozstrzygać tego w tej chwili — ocenił Dermot.

— Czy obieca mi pan, że Marina nie dowie się o grożącym jej niebezpieczeństwie?

— O tym jeszcze porozmawiamy — odparł Dermot. — Chciałbym panu uświadomić, że podejmuje pan poważne ryzyko. Jednakże sprawa nie będzie poruszana przez parę dni, gdyż pańska żona pozostaje pod opieką lekarza. Jest jeszcze coś, o co chcę pana prosić. Czy mógłby pan dla mnie spisać możliwie dokładnie wszystkich gości, którzy w chwili zabójstwa znaleźli się w tej sali na podeście, albo których pan widział, wchodzących po schodach?

— Zrobię, co mogę, ale nie ręczę za rezultat. Lepiej niech się pan skonsultuje z moją sekretarką, Ellą Zielinsky. Ma znakomitą pamięć. Również od niej otrzyma pan listę miejscowych osobistości zaproszonych na przyjęcie. Gdyby pan zechciał z nią porozmawiać...

— Owszem, bardzo bym chciał porozmawiać z panną Ellą Zielinsky — zapewnił Dermot.

XI

Ella Zielinsky obojętnie obserwowała Dermota Craddocka zza wielkich okularów w rogowych oprawkach, wyglądała niemal zbyt doskonale, by być prawdziwa. Ze spokojem i służbową gotowością podała mu wyjętą z szuflady kartkę papieru.

— Sądzę, że na tej liście nikt nie został pominięty — powiedziała. — Możliwe, że jest tam jedno czy dwa nazwiska miejscowych gości, którzy wcale nie przyszli do domu. To znaczy, mogli wyjść wcześniej z przyjęcia lub nie udało się ich znaleźć i przyprowadzić. Chociaż jestem prawie pewna, że wszystko się zgadza.

— Bardzo skrupulatnie wykonane, jeśli wolno mi zauważyć — stwierdził Dermot.

— Dziękuję.

— Jestem wprawdzie ignorantem w takich sprawach, ale przypuszczam, że pani praca wymaga wielkiej sprawności.

— Owszem, trzeba mieć wszystko dobrze zorganizowane.

— Na czym jeszcze polegają pani obowiązki? Czy jest pani swego rodzaju łącznikiem między studiem a Gossington Hall?

— Nie. W ogóle nie mam do czynienia ze studiem, choć oczywiście odbieram albo przekazuję im wiadomości telefonicznie. Do mnie należy organizacja życia towarzyskiego pani Gregg, sprawy publiczne i prywatne, a w pewnym stopniu także nadzór nad domem.

— Lubi pani tę pracę?

— Jest bardzo dobrze płatna i sądzą, że w rozsądnych granicach interesująca. Chociaż morderstwo nie wchodziło w zakres umowy — dodała sucho.

— Wydało się to pani niezwykle?

— Dostatecznie, by spytać pana czy jesteście pewni, że to morderstwo?

— Sześciokrotną dawkę bietylomeksynu i tak dalej trudno zakwalifikować inaczej.

— Mógł to być wypadek.

— A jak pani zdaniem taki wypadek mógł się zdarzyć?

— Łatwiej niż sobie pan wyobraża. Ten dom pełen jest wszelkiego rodzaju lekarstw. Nie mam na myśli narkotyków; to wszystko środki przepisane przez lekarza. Jednak przy większości z nich dawka

śmiertelna nie odbiega zanadto od leczniczej.

Dermot skinął głową.

— Ludzie teatru i filmu cierpią często na niezwykle zanikł inteligencji. Czasem odnoszę wrażenie, że im większym ktoś jest artystycznym geniuszem, tym mniej rozsądku przejawia w życiu codziennym.

— To całkiem możliwe.

— Przy tej liczbie pudełek, kapsulek, pudrów, torebek i małych pudełeczek, które zawsze noszą ze sobą, bo tu muszą zażyć środek uspokajający, tam wzmacniający, a jeszcze gdzie indziej coś pobudzającego, nietrudno sobie wyobrazić, że wszystko się pomiesza.

— Nie bardzo widzę, jak mogło to nastąpić w tym przypadku.

— A ja myślę, że jednak mogło. Ktoś, jeden z gości, chciał wziąć coś uspokajającego czy pobudzającego, więc wyjął swoją podręczną apteczkę. Być może od dłuższego czasu nie zażywał tego środka i nie pamiętał właściwej dawki. I w rezultacie wyspał do szklanki trochę za dużo. Potem zapomniał lub gdzieś odszedł... i powiedzmy, że ta pani Jak–jej–tam pomyliła szklanki i wypła. Czy to nie prawdopodobna wersja?

— Pani uważa, że nie sprawdzono wszystkich prawd?

— Nie, wcale tak nie uważam. Ale tu była masa ludzi i wszędzie stały koktajle. Często się zdarza, że ktoś bierze cudzą szklankę.

— Nie wierzy pani, że Heather Badcock została otruta z premedytacją? Uważa pani, że piła z cudzej szklanki?

— Nie mogę sobie wyobrazić niczego jeszcze bardziej prawdopodobnego.

— W rym przypadku — powiedział ostrożnie Dermot — musiałyby to być szklanka Mariny Gregg. Zdaje sobie pani z tego sprawę? Marina oddała jej swoją szklankę.

— Albo tę, o której sądziła, że jest jej szklanką — poprawiła go Ella Zielinsky. — Nie rozmawiał pan jeszcze z Mariną, prawda? Jest bardzo nieuważna. Mogła wziąć dowolną szklankę. Wiele razy widziałam, jak to robi.

— Zażywa Calmo?

— O tak. Jak my wszyscy.

— Pani też?

— Czasem nie mam wyjścia. To bardzo pomaga.

— Bardzo chciałbym porozmawiać z panią Gregg. Ona... ee... była, jak rozumiem, przybita przez

dość długi czas.

— Och, po prostu miała humory — stwierdziła Ella Zielinsky. — Często odgrywa dramaty. Nigdy nie przeszłaby do porządku nad morderstwem.

— Tak jak pani to potrafi, panno Zielinsky?

— Wszyscy dookoła są w ciągłym stanie podniecenia — odparła sucho Ella. — Wtedy w człowieku budzi się chęć znalezienia na przeciwnym biegunie.

— I jest pani dumna, że nawet włos pani nie drgnie, kiedy zdarza się wstrząsająca tragedia?

Zastanowiła się przez chwilę.

— Może to nie jest zbyt miła cecha. Lecz wydaje mi się, że gdybym nie rozwinęła w sobie takiej zdolności, sama bym pewnie popadła w obłąd.

— Czy ciężko pracowało... to znaczy pracuje się z panią Gregg?

Było to nieco osobiste pytanie, lecz Dermot Craddock uznał je za rodzaj testu. Jeśli Ella Zielinsky zmarszczy brwi, milcząco zapytując, co to ma wspólnego z morderstwem pani Badcock, będzie zmuszony przyznać, że nic. Pomyślał jednak, że może Ella Zielinsky ucieszy się z okazji opowiedzenia, co myśli o Marinie Gregg.

— Jest wielką aktorką. Ma osobisty magnetyzm, który na ekranie objawia się w niezwykły sposób. Z tego powodu panuje przekonanie, że praca z nią to zaszczyt. Ale w kontaktach czysto osobistych jest potworna.

— Ach — powiedział Dermot.

— Nie zna umiaru. Buja w obłokach, a zaraz potem spada na dno. Zawsze ze wszystkim przesadza, często zmienia zdanie... a w dodatku jest mnóstwo spraw, o których nie wolno przy niej mówić, ani nawet napomykać, bo to ją niepokoi.

— Na przykład?

— No więc, naturalnie, załamania nerwowe i kliniki dla psychicznie chorych. To rozumiałe, że jest czuła na tym punkcie. I wszystko, co ma związek z dziećmi.

— Dziećmi? W jaki sposób?

— Denerwuje ją, kiedy widzi dzieci lub słyszy o ludziach, którzy są szczęśliwi z powodu dzieci. Kiedy się dowie, że ktoś ma rodzić albo właśnie urodził, natychmiast popada w rozpacz. Nigdy już nie będzie miała własnego dziecka, a to jedyne, które urodziła, okazało się kretyńcem. Nie wiem, czy pan o tym słyszał?

— Tak, słyszałem. To bardzo smutny i nieszczęśliwy przypadek. Ale po tylu latach można by

sądzić, że zapomni.

— Nie zapomniała. To jej obsesja. Zadręcza się tym.

— A co na to pan Rudd?

— Och, to nie było jego dziecko. Miała je z poprzednim mężem, Isidorem Wrightem.

— A tak, poprzedni mąż. Gdzie on teraz jest?

— Ożenił się ponownie i mieszka na Florydzie — wyjaśniła Ella Zielinsky.

— Czy pani zdaniem Marina Gregg miała w swoim życiu wie wrogów?

— Niespecjalnie. Nie więcej niż większość ludzi. Owszem, zawsze są awantury o inne kobiety albo o innych mężczyzn, albo i o kontrakty, czy z zazdrości... takie tam historie.

— Czy bała się kogoś?

— Marina? Bać się kogoś? Nie sądzę. Dlaczego? A powinna?

— Nie wiem — odparł Dermot. Wziął spis nazwisk. — Bardzo dziękuję, panno Zielinsky. Wrócę, gdybym chciał zadać pani jeszcze kilka pytań. Można?

— Oczywiście. Bardzo chętnie. Jak wszyscy, zrobię co tylko możliwe, by pomóc.

— No jak, Tom, masz coś dla mnie?

Detektyw sierżant Tiddler uśmiechnął się wyrozumiale. Miał na imię William, nie Tom, jednak koledzy nie mogli się oprzeć kombinacji Toma z Tiddlerem.

— Jakież to skarby znalazłeś? — pytał dalej Dermot Craddock. Siedzieli „Pod Błękitnym Dzikim”, a Tiddler wrócił właśnie ze studia, gdzie spędził cały dzień.

— Ilość złota jest bardzo skromna. Niewiele plotek, żadnych szokujących pogłosek, jedna czy dwie sugestie samobójstwa.

— Dlaczego samobójstwa?

— Sądzą, że pokłóciła się z mężem i chciała, żeby mu było przykro. Zwykła historia. Ale tak naprawdę nie zamierzała posuwać się do tego, by ze sobą skończyć.

— To nam chyba w niczym nie pomoże — westchnął Dermot.

— Nie, oczywiście, że nie. Widzi pan, oni nic o tym nie wiedzą. O niczym nic nie wiedzą, z wyjątkiem tego, nad czym właśnie pracują. Wszystko jest tam bardzo techniczne i panuje atmosfera,

że „przedstawienie musi trwać” czy też, trzeba by pewnie powiedzieć, film musi trwać, albo zdjęcia muszą trwać. Nie znam fachowych terminów. Dla nich ważne jest tylko, kiedy Marina Gregg wróci na plan. W przeszłości zerwała już jeden czy dwa kontrakty z powodu załamania nerwowego.

— Czy jest ogólnie lubiana?

— Uważają ją za potwornie kapryśną, ale i tak są zafascynowani. To znaczy, kiedy jest w nastroju, żeby ich fascynować. Nawiasem mówiąc, mąż jest nią zauroczony.

— A co myślą o nim?

— Uważają, że to najlepszy reżyser, producent czy kim tam on jest, jaki kiedykolwiek się urodził.

— Żadnych plotek o związkach z inną gwiazdą lub jakąś kobietą?

Tom Tiddler spojrzał zdumiony.

— Nie — powiedział. — Nawet najdrobniejszej sugestii. A myśli pan, że to możliwe?

— Zastanawiałem się tylko — mruknął Dermot. — Marina Gregg jest przekonana, że trucizna była przeznaczona właśnie dla niej.

— Naprawdę? A ma rację?

— Prawie na pewno, moim zdaniem. Ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że powiedziała o tym swojemu lekarzowi, nie mężowi.

— Myśli pan, że powiedziałaaby mu, gdyby...

— Zastanawiałem się tylko — powtórzył Craddock — czy podświadomie nie uważa, że to mąż jest odpowiedzialny. Doktor zachowywał się trochę dziwnie. Mógłbym sobie wyobrazić coś takiego... ale nie sędzę.

— W każdym razie w studiu nie było żadnych plotek — stwierdził Tiddler. — A na taki temat pogłoski z pewnością szybko się rozchodzą.

— Czy nie była zaangażowana w związek z jakimś innym mężczyzną?

— Nie. Jest całkowicie oddana Ruddowi.

— Żadnych ciekawostek z przeszłości? Tiddler wyszczerzył zęby.

— Nic, czego nie można by wyczytać w każdym piśmie filmowym.

— Chyba będę musiał je przejrzeć — westchnął Dermot. — Trzeba się wczuć w atmosferę.

— Co oni tam wypisują!

— Ciekawe, czy moja panna Marple czytuje pisma filmowe.

— To ta starsza dama, która mieszka w domu obok kościoła?

— Zgadza się.

— Mówią, że jest ostra — rzekł Tiddler. — Że nie dzieje się nic, o czym panna Marple by nie słyszała. Może nie wiedzieć za wiele o ludziach filmu, ale powinna mlec wszystkie wiadomości o Badcockach.

— To nie takie proste jak niegdyś — westchnął Dermot. — Tu powstał nowy krąg towarzyski. Osiedle domków. Badcockowie sprowadzili się nie tak dawno i mieszkają właśnie tam.

— O miejscowych za wiele nie usłyszałem — rzekł Tiddler. — Skoncentrowałem się na życiu erotycznym gwiazd filmowych i podobnych sprawach.

— Mało tego — mruknął Dermot. — A co z przeszłością Mariny Gregg?

— Kilka razy była zameżna, ale nie więcej niż inni. Podobno jej pierwszy mąż nie cieszył się z rozstania. Ale to był zupełnie normalny facet, pośrednik w handlu nieruchomościami. W każdym razie nie dość reprezentacyjny, więc się go pozbyła i wyszła za jakiegoś zagranicznego hrabiego czy księcia. Trwało to krótko, lecz rozstali się bez bólu. Po prostu odepchnęła go i związała się z numerem trzecim. Gwiazdor filmowy, Robert Truscott. Małżeństwo z namiętnej miłości. Jego żona niespecjalnie chciała go puścić, ale jakoś to załatwili. Duże alimenty. O ile się orientuję, im wszystkim jest ciężko, bo muszą płacić takie duże alimenty byłym żonom.

— I znowu nie udało się.

— Nie. Podobno tym razem ona wyszła ze złamanym sercem. Ale następny wielki romans zdarzył się w rok czy dwa później. Isidore Jakiśtam, dramaturg.

— To egzotyczne życie — ocenił Dermot. — Dobrze, kończymy na dziś. Jutro czeka nas ciężka praca. — Jaka?

— Na przykład sprawdzanie listy, którą dostałem. Z dwudziestu paru nazwisk musimy wyeliminować przynajmniej kilka, a wśród pozostałych trzeba znaleźć Desa.

— Ma pan jakiś pomysł, kim może być Iks?

— Żadnego. O ile to nie Jason Rudd, naturalnie. — I dodał z lekkim, ironicznym uśmiechem: — Będę musiał iść do panny Marple i dowiedzieć się czegoś o sprawach lokalnych.

XII

Panna Marple prowadziła badania własnymi metodami.

— To uprzejme z pani strony, pani Jameson. Naprawdę bardzo uprzejme. Nie wyobraża sobie pani, jaka jestem wdzięczna.

— Och, nie ma o czym mówić, panno Marple. Chętnie pani pomogę. Chce pani pewnie te najnowsze?

— Nie. Właściwie nawet wolałabym starsze numery.

— Ależ proszę bardzo — powiedziała pani Jameson. — To ten piękny stosik i mogę panią zapewnić, że nie będzie nam ich brakowało. Proszę je zatrzymać tak długo, jak długo będą pani potrzebne. Ale to dla pani za ciężkie. Jenny, jak tam twoja trwała?

— Doskonale, pani Jameson. Spłukałam już, a teraz jest pod suszarką.

— W takim razie, moja droga, może odprowadzisz pannę Marple i zanieziesz jej te pisma. Nie, panno Marple, to naprawdę żaden kłopot. Zawsze chętnie pani pomożemy.

Jacy uprzejmi są ludzie, myślała panna Marple. Zwłaszcza jeśli zna się ich prawie całe życie. Pani Jameson od wielu lat prowadziła salon fryzjerski. Wprawdzie niechętnie, ale poszła drogą postępu tak dalece, że nazwała swój zakład: „DIANA. Kompozycje fryzur.” Poza tym niewiele się zmieniło. Można było u niej zamówić porządną, solidną trwałą. Podejmowano się także przycinania i modelowania włosów młodszego pokolenia, a wynikająca z tego strzecha była akceptowana bez większych oporów. Jednak zasadniczą klientelę pani Jameson stanowiły rozsądne panie w średnim wieku, którym nikt inny nie potrafił uczesać włosów tak, jak sobie tego życzyły.

— Coś podobnego — zawołała Cherry następnego ranka, przygotowując się do jazdy odkurzaczem przez foyer, jak wciąż w myślach nazywała ten pokój. — Co to jest?

— Próbuję zdobyć trochę wiedzy o świecie filmu — wyjaśniła panna Marple.

Odłożyła na bok „Wiadomości Filmowe” i wzięła „Wśród gwiazd”.

— To naprawdę ciekawe. Przypomina mi wiele spraw.

— Muszą prowadzić fantastyczne życie — westchnęła Cherry.

— Wspecjalizowane — odparła panna Marple. — Bardzo wyspecjalizowane. Pamiętam, co opowiadała mi moja przyjaciółka. Była pielęgniarką w szpitalu. Gładka, czysta powłoka, a wewnątrz kłębowisko najróżniejszych pogłosek i plotek. I przystojni lekarze, którzy wywołują straszliwy zamęt.

— Dość nagle się pani tym zainteresowała — zauważyła Cherry.

— Trudno mi się ostatnio robi na drutach — usprawiedliwiła się panna Marple. — Oczywiście, druk jest dość mały, ale zawsze mogę użyć lupy.

Cherry spojrzała z zaciekawieniem.

— Zawsze mnie zdumiewa to, czym się pani interesuje...

— Wszystkim się interesuję.

— Chodzi mi o nowe tematy... w pani wieku. Panna Marple pokręciła głową.

— To nie są nowe tematy. Interesuje mnie ludzka natura, a ludzka natura jest zawsze taka sama, czy chodzi o gwiazdy filmowe, czy pielęgniarzy, czy ludzi z St Mary Mead, a nawet... — dodała w zamyśleniu — ... nawet ludzi mieszkających na Osiedlu. — Nie widzę specjalnego podobieństwa między mną a gwiazdą filmową — odparła ze śmiechem Cherry. — A szkoda. Przypuszczam, że to przyjazd Mariny Gregg z mężem do Gossington Hall tak panią nastawił.

— To, a także smutne wydarzenie, które miało tam miejsce — przyznała panna Marple.

— Chodzi o panią Badcock? Rzeczywiście, co za pech.

— A co o tym myślicie na... — panna Marple urwała z „O” zawieszonym na wargach. — Co myślisz o tym ty i twoi znajomi? — poprawiła się.

— Dziwna sprawa — odparła Cherry. — Wygląda na morderstwo, prawda? Chociaż oczywiście policja jest zbyt tajemnicza, żeby przyznać to wprost. A jednak na to właśnie wygląda.

— Nie wiem, czy mogłoby to być coś innego — zgodziła się panna Marple.

— Samobójstwo jest wykluczone — zgodziła się Cherry. — Nie w przypadku Heather Badcock.

— Dobrze ją znałaś?

— Nie bardzo. Właściwie wcale. Była trochę mecząca, wie pani. Ciągłe zachęcała, żeby włączyć się do takiej czy innej akcji, przyjść na spotkanie... Za wiele energii. Jej męża chyba mdliło od tego wszystkiego.

— Wydaje się, że nie miała żadnych prawdziwych wrogów.

— Ludzie mieli jej czasem dość. Ale rzecz w tym, że nie bardzo widzę, kto mógłby ją zamordować. Chyba że mąż. A on był zawsze taki potulny. Ale jak to mówią, cicha woda brzegi rwie. Słyszałam, że ten Crippen był bardzo miłym człowiekiem, a Haigh, co konserwował je w kwasie, też podobno był wyjątkowo czarujący. Nigdy nie wiadomo, prawda?

— Biedny pan Badcock — westchnęła panna Marple.

— Ludzie mówią, że był bardzo zdenerwowany i nieswój na tym przyjęciu, zanim jeszcze to się stało, wie pani. Ale ludzie zawsze opowiadają niestworzone historie. Moim zdaniem teraz wygląda lepiej niż przez całe lata. Ma więcej ducha i energii.

— Naprawdę? — zdziwiła się panna Marple.

— Nikt tak naprawdę nie myśli, że on to zrobił. Ale jeśli nie on, to kto? Cały czas mi się wydaje, że to musiał być jakiś wypadek. Wypadki się zdarzają. Myśli pani, że wie wszystko o grzybach, więc zbiera pani trochę. Między nimi trafia się jeden trujący i proszę, zwija się pani z bólu i ma szczęście, jeśli lekarz dojedzie na czas.

— Koktajle i szklanki sherry — rzadko bywają przyczyną wypadków — zauważyła panna Marple.

— Och, nie wiem — powiedziała Cherry. — Przecież mogła tam przez pomyłkę trafić butelka jakiejś trucizny. Jeden mój znajomy wypił raz dawkę skoncentrowanego DDT. Ależ wtedy chorował.

— Wypadek — powtórzyła z namysłem panna Marple. — To z pewnością byłoby najlepsze rozwiązanie. Nie mogę uwierzyć, że w przypadku Heather Badcock chodziło o morderstwo z premedytacją. Nie twierdzę, że to niemożliwe. Nic nie jest niemożliwe, ale nie przypuszczam. Nie, moim zdaniem prawda leży gdzie indziej.

Wzięła następne pismo.

— Szuka pani wiadomości o kimś konkretnym?

— Nie, szukam po prostu wzmianek o ludziach, o sposobie życia... jakiegoś drobiazgu, który mógłby pomóc.

Wróciła do przeglądania pism, a Cherry wyniosła odkurzacz na piętro. Panna Marple była zarumieniona i ożywiona, a że miała lekkie kłopoty ze słuchem, nie usłyszała kroków na ogrodowej ścieżce. Dopiero kiedy cień padł przez szybę bawialni na stronę pisma, uniosła głowę. Dermot Craddock stał za oknem i uśmiechał się do niej.

— Odrabiasz pracę domową — zauważył.

— Inspektor Craddock! Jak miło cię widzieć. To uprzejme z twojej strony, że tracisz czas, by mnie odwiedzić. Napijesz się kawy, czy może kieliszek sherry?

— Sherry będzie doskonała — odparł Dermot. — Nie wstawaj teraz — dodał. — Poproszę cię dopiero, jak będę wchodził.

Obszedł dom i przyłączył się do panny Marple.

— I co? — zapytał. — Ten stos papierzyśk podsunął ci jakieś pomysły?

— Raczej zbyt wiele pomysłów — odparła panna Marple. — Nieczęsto bywam zaszokowana, ale to jest naprawdę szokujące.

— Co? Prywatne życie gwiazd filmowych?

— Och nie, nie to. Wszystko wydaje się zupełnie naturalne w okolicznościach, gdy w grę wchodzi pieniądze i taki labirynt związków pokrewieństwa. Nie, nie, to całkiem naturalne. Chodzi mi o sposób pisania. Jestem dość staromodna i uważam, że naprawdę nie powinno się na to pozwalać.

— Taka jest prasa — westchnął Dermot. — Potrafią napisać paskudne rzeczy i nazwać to obiektywnym komentarzem.

— Wiem. — Westchnęła. — I czasem bardzo mnie to irytuje. Myślisz pewnie, że niemądrze jest czytać to wszystko. Ale tak bardzo chciałabym się orientować w tych sprawach, a siedząc w domu nie mogę wiedzieć tyle, ile bym pragnęła.

— Tak przypuszczałem. Dlatego właśnie przyszedłem, żeby o nich opowiedzieć.

— Ale, drogi chłopcze, czy twoi zwierzchnicy na pewno by to zaaprobowali?

— A dlaczego nie? Mam tu listę — dodał. — Listę ludzi, którzy byli na podeście w krótkim okresie między wejściem Heather Badcock a jej śmiercią. Wyeliminowaliśmy sporo osób, może przedwcześnie, choć nie przypuszczam. Skreśliliśmy burmistrza z żoną, jakiegoś Aldermana i jego żonę, a także większość miejscowych. Zostawiliśmy jeszcze męża. Jeśli dobrze pamiętam, zawsze byłeś podejrzliwa co do mężów.

— Często są oczywistymi podejrzanymi — wyjaśniła panna Marple przeprasającym tonem. — A to, co oczywiste, często jest słuszne.

— Zgadzam się w zupełności — przyznał Craddock.

— Ale o którym mężu mówisz, drogi chłopcze?

— A którego masz na myśli? — zapytał, spoglądając na nią czujnie.

Panna Marple popatrzyła na niego.

— Jason Rudd? — spytała.

— Aa! — zawołał Craddock. — Widzę, że doszłaś do podobnych wniosków, co ja. Nie sądzę, że to był Arthur Badcock, ponieważ nie uważam, by celem mordercy była Heather Badcock. Wydaje mi się, że zginąć miała Marina Gregg.

— To prawie pewne, nieprawdaż?

— A więc — rzekł Craddock — oboje się zgadzamy, że pole się rozszerza. Jeśli powiem ci, kto był tam tego dnia, co widział lub twierdzi że widział, i gdzie był albo twierdzi, że był, to przecież sama byś mogła to zobaczyć, gdybyś tam była. Zatem moi zwierzchnicy, jak ich nazwałaś, nie mogą mieć nic przeciw temu, że przedyskutuję z tobą tę sprawę.

— Ładnie to powiedziałeś, drogi chłopcze.

— Streszczę pokrótce wszystko, co mi powiedziano, a potem przejdziemy do listy.

Opowiedział o wynikach przesłuchania, a potem wyjął kartkę papieru.

— To musi być ktoś z nich — stwierdził. — Mój chrzestny ojciec, sir Henry Clithering, powiedział mi, że mieliście tu kiedyś klub. Nazywał się Klub Wtorkowej Nocy. Kolejno wydawaliście przyjęcie, a potem ktoś opowiadał historię, opowieść z życia, zakończoną tajemnicą. Tajemnicą, której rozwiązanie znał tylko opowiadający. I za każdym razem, tak opowiadał mi chrzestny ojciec, ty zgadywałaś poprawnie. Pomyślałem więc, że może wpadnę i zobaczę, czy dziś zechcesz domyślać się dla mnie.

— To dość frywolny sposób wyrażania — orzekła z wyrzutem. — Ale jest jedno pytanie, które chciałabym zadać.

— Tak?

— Co z dziećmi?

— Z dziećmi? Jest tylko jedno. Imbecyl w klinice gdzieś w Stanach. O niego ci chodzi?

— Nie — odparła panna Marple. — Nie o niego. To bardzo smutne, naturalnie. Jedna z tych tragedii, które po prostu się zdarzają i trudno kogoś winić. Ale miałam na myśli dzieci, o których wspomina jeden z artykułów. — Stuknęła palcem w stertę gazet. — Dzieci, które zaadoptowała Marina Gregg. Dwóch chłopców, o ile pamiętam, i dziewczynka. W jednym przypadku matka, która miała dużo dzieci i mało pieniędzy na ich wychowanie, napisała do Mariny Gregg pytając, czy mogłaby jedno zabrać. Wiele o tym pisano, w tonie dość niemądrego, fałszywego sentymentalizmu. O poświęceniu matki, wspaniałym domu, wykształceniu i przyszłości, jakie czekają to dziecko. Niewiele znalazłam na temat pozostałej dwójki. Jedno to chyba cudzoziemski azylant. Marina Gregg adoptowała je w różnym czasie. Chciałabym wiedzieć, co się z nimi stało.

Dermot Craddock spojrzał na nią z zaciekawieniem.

— Dziwne, że o tym pomyślałaś — zauważył. — Mnie też te dzieci trochę niepokoiły. Ale jak chcesz połączyć je ze sprawą?

— Z tego, co słyszałam, nie mieszkają z nią teraz, prawda?

— Zostały chyba wyposażone — odparł Craddock. — Zdaje się nawet, że tego wymaga prawo o adopcji. Prawdopodobnie złożono dla nich pieniądze w depozyt.

— Więc kiedy ona miała ich... kiedy była już nimi zmęczona — poprawiła się panna Marple — zwolniła je! Po tym jak dała im zasmakować luksusu. Tak?

— Prawdopodobnie. Dokładnie nie wiem. Wciąż przyglądał się jej z zaciekawieniem.

— Dzieci głęboko przeżywają pewne sprawy, wiesz. — Panna Marple pokiwała głową. — Mocniej niż ludzie w ich otoczeniu mogą sobie wyobrazić. To poczucie krzywdy, odrzucenia, obcości... Tego się nie zapomina, a pieniądze nie wymażą takich wspomnień. Edukacja ani wygodne życie, pewny dochód czy start do kariery nie zastąpią rodziny. To coś, co napełnia serce goryczą.

— Tak. Ale mimo wszystko to dość ryzykowny pomysł, że... A właściwie, co dokładnie masz na myśli?

— Tak daleko jeszcze nie doszłam — stwierdziła panna Marple. — Zastanawiałam się tylko, gdzie przebywają teraz. De mają lat? Na podstawie tych artykułów przypuszczam, że są już dorosłe.

— Mogę to sprawdzić — oświadczył wolno Craddock.

— Och, nie chciałabym sprawiać ci kłopotu, czy choćby sugerować, że mój drobny pomysł w ogóle wart jest zachodu.

— Sprawdzenie nie zaszkodzi. — Zapisał coś w notesie. — Czy teraz spojrzysz na moją listę?

— Nie wierzę, żeby coś to dało. Widzisz, ja chyba nie znam tych ludzi.

— Będę komentował na bieżąco — obiecał Craddock. — Proszę bardzo. „Jason Rudd, mąż” (mężowie zawsze są podejrzani). Wszyscy twierdzą, że ją uwielbia. A to samo w sobie jest podejrzane, nie sądzisz?

— Sądzę że, niekoniecznie — odparła z godnością panna Marple.

— Usilnie próbował ukryć fakt, że to jego żona była obiektem ataku. Rozmawiając z policją nawet nie napomknął, że coś podejrzewa. Może uważa nas za durniów, którzy sami na to nie wpadną. Myśleliśmy o tym od samego początku. W każdym razie jego wersja jest taka: obawiał się, że ta wiadomość dotrze do jego żony, a ona wpadnie w panikę.

— Czy jest typem kobiety, która wpada w panikę?

— Tak. Neurasteniczka, miewa humory, załamania nerwowe, popada w skrajne nastroje.

— To nie musi oznaczać braku odwagi — zauważyła panna Marple.

— Z drugiej strony, gdyby wiedziała, że była celem ataku, może domyśliłaby się, kim jest morderca.

— Chcesz powiedzieć, że wie, kto to zrobił, ale nie chce tego zdradzić?

— Mówię tylko, że teoretycznie istnieje taka możliwość. A wtedy należałoby się zastanowić, dlaczego nie chce. Wygląda na to, że motyw, czyli sama istota sprawy, to coś, co woli zataić przed mężem.

— Ciekawy pomysł.

— Mamy tu jeszcze kilka nazwisk. Sekretarka, Ella Zielinsky. Wyjątkowo kompetentna i sprawna młoda kobieta.

— Pewnie zakochana w mężu? — zapytała panna Marple.

— Moim zdaniem, nie ma wątpliwości — odparł Craddock. — A dlaczego tak sądzisz?

— To częsty przypadek — wyjaśniła. — Zatem, jak przypuszczam, niezbyt lubi biedną Marinę Gregg?

— Mamy więc możliwy motyw zabójstwa — zauważył Craddock — Wiele sekretarek kocha się w mężach pracodawczyń, bardzo niewiele próbuje je otruć.

— Musimy dopuścić wyjątki. Mamy tu jeszcze fotografów, miejscowy, ona z Londynu, oraz dwóch ludzi z prasy. Sprawdzimy, chociaż żadne z nich nie wydaje się prawdopodobne. Była i też kobieta, eks-żona drugiego czy trzeciego męża Mariny Gregg. Nie podobało jej się, kiedy ta odebrała jej mężczyznę. Ale to przecież zdarzyło się jedenaście czy dwanaście lat temu. Nie wierzę, by z tego akurat powodu wpadała teraz z wizytą i próbowała otruć Marinę Gregg. Jest też mężczyzna, niejaki Ardwyck Fenn. Kiedyś bardzo bliski przyjaciel Mariny. Nie widzieli się od lat. Nikt nie wiedział, że przebywa w tej części świata. Swoim przyjściem sprawił wszystkim niespodziankę.

— Czy byłaby zaskoczona jego widokiem? — Zapewne.

— Zaskoczona... i może przestraszona.

— „Zguba nade mną” — zacytował Craddock. — To „jest jakiś pomysł. Był jeszcze młody Hailey Preston, biegający przez cały dzień i wypełniający obowiązki. Dużo mówi, ale właściwie nic nie słyszał, nic nie widział, nic nie wie. Niemal zbyt chętnie o tym opowiada. Czy coś przychodzi ci do głowy?

— Nie bardzo — westchnęła panna Marple. — Mnóstwo ciekawych skojarzeń, ale nic konkretnego. Nadal jednak chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tych dzieciach.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

— Widzę, że ta sprawa zabiła ci ćwieka — stwierdził. — Dobrze, sprawdzę.

XIII

— Raczej nie ma szans, żeby to był burmistrz? — spytał z nadzieją inspektor Cornish.

Zastukał ołówkiem w listę nazwisk. Dermot Craddock uśmiechnął się.

— Marzenie? — zapytał.

— Można tak to określić — przyznał Cornish. — Burmistrz to pompatyczny, obłudny, stary hipokryta! Każdy ma mu coś do zarzucenia. Puszy się wszędzie, jest skrajnie świętoszkowaty i od wielu lat siedzi po szyję w łapówkach.

— Czy można go o coś oskarżyć?

— Nie. Jest zbyt śliski. Zawsze na granicy złamania prawa.

— Tak, miło by mieć go jako oskarżonego — zgodził się Craddock. — Ale obawiam się, że musisz zapomnieć o tej pięknej wizji.

— Wiem, wiem. Możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne.

Kogo tu mamy?

Obaj mężczyźni spojrzeli na listę. Było na niej jeszcze osiem nazwisk.

— Zgodziliśmy się, że nikogo nie brakuje? — W głosie Craddocka zabrzmiało pytanie.

— Właściwie na pewno są wszyscy — zapewnił Cornish. — Po pani Bantry przyszedł pastor, a potem Badcockowie. Osiem osób wchodziło po schodach. Burmistrz z małżonką, Joshua Grice i jego żona z Lower Farm. Donald McNeil z redakcji „Herald & Argus” w Much Benham. Potem Ardwyck Fenn ze Stanów Zjednoczonych i pani Lola Brewster, gwiazda filmowa, też ze Stanów. To wszyscy. Na dodatek jeszcze ta artystyczna gratka z Londynu z aparatem ustawionym na półpiętrze. Jeśli to skamieniałe spojrzenie, o którym mówiła pani Bantry, zostało wywołane widokiem kogoś wchodzącego po schodach, trzeba wybrać z tych tutaj. Burmistrz niestety odpada. Grice’owie też; o ile wiem nigdy nie wyjeżdżali z St Mary Mead. Zostają cztery osoby. Miejscowy dziennikarz jest mało prawdopodobny. Ta fotografka stała tam już od pół godziny, więc czemu Marina miałaby akurat wtedy zareagować na jej obecność? Kto pozostaje?

— Groźni przybysze z Ameryki. — Craddock uśmiechnął się.

— Ty to powiedziałaś.

— Zgoda, do tej pory to nasi najbardziej prawdopodobni podejrzani. Zjawili się niespodziewanie. Ardwyck Fenn jest dawnym kochankiem Mariny. Lola Brewster była kiedyś żoną jej trzeciego męża.

To właśnie z nią rozwiódł się, by wziąć ślub z Mariną. O ile wiem, nie rozstali się w przyjaźni.

— Zaznaczyłbym ją jako podejrzaną numer jeden — stwierdził Comish.

— Doprawdy, Frank? Po prawie piętnastu latach i dwóch małżeństwach?

Comish odparł, że z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Dermot uznał to za zasadę generalnie słuszną, jednak w tym przypadku stosowanie jej wydało mu się nieco naciągane.

— Ale zgodzisz się, że morderca jest wśród nich?

— Możliwe. Jednak ten pomysł nie podoba mi się. A co z wynajętą służbą?

— Pomijamy to „skamieniałe spojrzenie”, o którym tyle słyszeliśmy? No cóż, sprawdziliśmy ich dość pobieżnie. Wszystkim zajmowała się miejscowa firma z Market Basing. To znaczy przyjęciem. W samym domu dyrygował lokaj Giuseppe. Były dwie dziewczyny z bufetu w studiu. Znam je obie. Niezbyt inteligentne, ale nieszkodliwe.

— Zrzucasz wszystko na mnie, prawda? Dobrze, pogadam z tym reporterem. Może coś zauważył. Potem do Londynu. Ardwyck Fenn, Lola Brewster i ta dziewczyna od fotografii. Jak się nazywała? Aha, Margot Bence. Też mogła coś zobaczyć. Comish skinął głową.

— Obstawiam Lolę Brewster. — Spojrzał na Craddocka. — Nie wydajesz się przekonany.

— Myślę o trudnościach — mruknął Dermot.

— Trudnościach?

— Jak udało jej się wsypać truciznę do szklanki Mariny, by nikt tego nie zauważył?

— Każdy miałby ten sam problem, prawda? To w ogóle szaleńczy pomysł.

— Zgadzam się, że szaleńczy, ale jeszcze bardziej szalony dla kogoś takiego jak Lola Brewster.

— Dlaczego? — zdziwił się Cornish.

— Ponieważ była ważnym gościem. Znaną osobą. Wszyscy na nią patrzyli.

— To fakt — przyznał Cornish.

— Miejscowi szturchali się łokciami, szeptali do ucha i wytrzeszczali oczy, kiedy witała się z Mariną Gregg i Jasonem Ruddem. Potem zajął się nią sekretarz. To nie byłoby takie proste, Frank. Jest w tym luka i to duża.

— Ta sama luka występuje przy wszystkich innych osobach.

— Nie — zaprzeczył Craddock. — Na pewno nie. Weź tego lokaja, Giuseppe. Był zajęty przy

drinkach i szklankach, nalewał, podawał. Bez trudu mógłby wsypać do szklanki szczyptę albo jedną czy dwie tabletki.

— Giuseppe? — zastanowił się Frank Cornish. — Myślisz, że to on?

— Nie ma powodów do podejrzeń, ale powody możemy jeszcze znaleźć. To znaczy ładny, solidny motyw. Tak, on miał okazję. Albo ktoś z kuchni... niestety nie było ich na miejscu. Szkoda. Jakaś osoba, która specjalnie zatrudniła się w tej firmie, właśnie w tym celu.

— Sądzisz, że morderstwo było tak dokładnie zaplanowane?

— Niczego jeszcze nie wiemy — odparł z irytacją Craddock. — Absolutnie nic... dopóki nie wyciągniemy jakichś informacji od Mariny Gregg albo jej męża. Oni muszą przynajmniej coś podejrzewać. Ale milczą. A my nie wiemy, dlaczego nie chcą. Przed nami daleka droga. — Przerwał na chwilę, po czym podjął — Pomijając to „skamieniałe spojrzenie”, które może okazać się bez znaczenia, są też inni ludzie, którym bez trudu udałoby się tego dokonać. Ta sekretarka, Ella Zielinsky, też podawała drinki. Nikt się nią właściwie nie interesował. To samo odnosi się do tej wierzbowej witki, tego młodego... zapomniałem nazwiska. Hailey... Hailey Preston? Chyba tak. Jedno i drugie miałyby dobrą okazję. Właściwie, gdyby któreś z nich chciało się pozbyć! Mariny Gregg, najbezpieczniej byłoby załatwić to publicznie.

— Jeszcze ktoś?

— No cóż, zawsze pozostaje mąż — mruknął Craddock. — Znowu wracamy do męża — westchnął Comish z lekkim uśmiechem. — Podejrzewaliśmy tego biedaka, Badcocka, zanim zdaliśmy sobie sprawę, że ofiarą miała być Marina. Teraz przenieśliśmy podejrzzenia na Jasona Rudda. Trzeba przyznać, że jest jej bardzo oddany.

— Taką ma reputację — sprostował Craddock. — Ale nikt nie wie na pewno.

— Gdyby chciał się jej pozbyć, czy rozwód nie byłby prostszy? — W każdym razie bardziej typowy — zgodził się Dermot. Może jednak są jakieś sprawy, o których nie mamy pojęcia. Zadzwoił telefon. Comish podniósł słuchawkę.

— Słucham? Tak? Połączcie. Owszem, jest tutaj. — Słuchał przez chwilę, potem zakrył dłonią mikrofon i spojrzał na Der— mota. — Pani Marina Gregg czuje się o wiele lepiej. Jest gotowa do rozmowy.

— Powiniennem się pospieszyć — rzekł Craddock — zanim zmieni zdanie.

W Gossington Hall Dermota Craddocka przywitała Ella Zielinsky. Była jak zawsze energiczna i kompetentna.

— Pani Gregg już na pana czeka, panie Craddock. Dermot spojrzał na nią z zaciekawieniem. Od samego początku uznał ją za interesującą osobowość. Twarz pokerzysty, pomyślał, o ile kogokolwiek można tak nazwać. Z najwyższą gotowością odpowiadała na pytania. Nie dała poznać, że cokolwiek ukrywa, ale wciąż nie miał pewności, co myśli, co czuje, a nawet, co wie o sprawie. W jej pancerzu

nie było żadnej rysy. Może wiedziała więcej niż mówiła, być może nawet dużo więcej. Jednego tylko był pewien, choć musiał przyznać, że jego pewności nie podpierają żadne konkretne dowody: Ella kocha się w Jasonie Ruddzie. Jak sam powiedział, to choroba zawodowa sekretarek. Przymuszczenie fakt bez znaczenia. Jednak sugerował przynajmniej jakiś motyw i Dermot był pewien — zupełnie pewien — że Ella Zielinsky coś ukrywa. Może miłość, może nienawiść. A może całkiem zwyczajne poczucie winy. Tamtego popołudnia trafiła jej się okazja lub zupełnie świadomie zrobiła to, co zaplanowała. Bez trudu potrafił wyobrazić ją sobie w takiej roli. W każdym razie wykonanie czynu nie sprawiłoby jej najmniejszych kłopotów. Szybkie, a przy tym niespieszne ruchy, przechodzenie z miejsca na miejsce, doglądanie gości, podawanie drinków temu czy tamtemu, odbieranie kieliszków, a jednocześnie oczy zapamiętujące miejsce, gdzie Marina odstawiła swoją szklankę. A potem, na przykład w chwili, gdy wśród okrzyków radości i zaskoczenia gospodyni witała gości ze Stanów, gdy oczy wszystkich zwróciły się ku nim, mogła spokojnie i dyskretnie wrzucić do szklanki śmiertelną dawkę. Wymagało to zuchwałości, żelaznych nerwów i refleksu. Posiadała te cechy. Cokolwiek zrobiła, nie dałaby tego po sobie poznać. Prosta, błyskotliwa zbrodnia — morderstwo, które musi się udać. Jednak przypadek zrządził inaczej. W dość zatłoczonym pomieszczeniu ktoś potracił Heather Badcock. Jej koktajl się wylał i Marina z naturalnym wdziękiem natychmiast zaproponowała własną, nietkniętą szklankę. A w rezultacie zginęła niewłaściwa osoba.

To tylko teoria, w dodatku pewnie błędna, myślał Dermot Craddock, prowadząc równocześnie uprzejmą rozmowę z Ellą Zielinsky.

— Chciałem panią o coś zapytać. Jak rozumiem, kuchnią zajmowała się firma z Market Basing?

— Tak.

— Dlaczego wybrano akurat tę firmę?

— Właściwie nie wiem. To nie należy do moich obowiązków. Pan Rudd uznał, że bardziej taktownie będzie zatrudnić kogoś miejscowego, zamiast wynajmować ludzi w Londynie. Z naszego punktu widzenia była to raczej skromna impreza.

— Jasne.

Obserwował ją, gdy stała ze spuszczonego wzrokiem, lekko marszcząc brwi. Ładne czoło, podbródek znamionujący stanowczość, figura, która mogłaby stać się bujną, gdyby jej na to pozwolono, i twarde, zaborcze usta. A oczy? Popatrzył zaskoczony. Powieki były zaczerwienione. Zastanowił się. Czyżby płakała? Na to wyglądało. A jednak mógłby przysiąc, że kobiety tego typu nigdy nie płaczą. Spojrzała na niego i jakby czytając mu w myślach wyjęła chusteczkę i głośno wytarła nos.

— Przeziębła się pani — zauważył.

— To nie przeziębienie. Katar sienny. Jakaś alergia. Zawsze kicham o tej porze roku.

Rozległo się ciche brzęczenie. W pokoju były dwa telefony, jeden na stole, a drugi na małym stoliku w rogu. Odezwał się ten drugi. Ella Zielinsky podniosła słuchawkę.

— Tak — odezwała się. — Jest tutaj. Zaraz go przyprowadzę. — Odłożyła słuchawkę. — Marina oczekuje pana — oznajmiła.

Marina Gregg przyjęła Craddocka na piętrze w pokoju, który najwyraźniej służył jej za osobisty salonik, połączony drzwiami z sypialnią. Pamiętając opowieści o jej stanie nerwowym, Dermot Craddock oczekiwał słabowitej inwalidki. Lecz choć Marina na wpół leżała na sofie, głos miała dźwięczny, a oczy lśniące, prawie nie miała makijażu, a mimo to nie wyglądała na swój wiek. Świadomość jej urody uderzyła w niego z pełną mocą. Tkwiła w linii policzka i brody, sposobie, w jaki opadające luźno i naturalnie włosy okalały jej twarz. Podłużne, zielone jak morze oczy, mocno zaznaczone brwi, które zawdzięczały co nieco sztuce, ale więcej naturze, ciepło i słodczych uśmiechu. Wszystko to emanowało delikatną magią.

— Nadinspektor Craddock? Zachowałam się niewybaczalnie. Bardzo przepraszam. Po tym strasznym wypadku zupełnie się załamalam. Mogłam się jakoś opanować, a nie zrobiłam tego. Wstyd mi za siebie. — Pojawił się smutny, słodki uśmiech.

Craddock ujął podaną mu dłoń.

— To całkiem naturalne — zapewnił. — Była pani wytrącona z równowagi.

— Och, wszyscy byli podenerwowani — odparła Marina. — Nie mam powodów, by silniej od innych przeżywać tę tragedię.

— Rzeczywiście?

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym skinęła głową.

— Tak. Jest pan bardzo spostrzegawczy. Owszem, mam.

Spuściła głowę i szczupłym palcem delikatnie gładziła poręcz sofy. Pamiętał ten gest z któregoś z jej filmów. Nieistotny gest, a jednak wydawał się Craddockowi pełen znaczenia. Sugerował rodzaj zadumanej łagodności.

— Jestem tchórzem — wyznała nie podnosząc wzroku. — Ktoś chciał mnie zabić, a ja nie chcę umierać.

— Dlaczego sądzi pani, że ktoś chciał ją zabić? Otworzyła szeroko oczy.

— Bo to była moja szklanka, mój drink, do mojego koktajlu dosypano trucizny. Ta biedna, głupia kobieta wypila to przez pomyłkę. To takie straszne i takie tragiczne. Poza tym...

— Tak, pani Gregg? Zawahała się, czy mówić dalej.

— Czy ma pani jeszcze inne powody, by wierzyć, że to pani była zamierzoną ofiarą?

Skinęła głową.

— Jakie?

Odpowiedziała po dobrej chwili:

— Jason uważa, że powinnam panu o tym powiedzieć.

— Zwierzyła mu się pani?

— Tak... Z początku nie chciałam, ale doktor Gilchrist mnie przekonał. Wtedy dowiedziałam się, że on to samo podejrzewa. Od początku tak sądził, ale... to zabawne... — Smutny uśmiech znów wygiął jej wargi. — Nie chciał mnie przestraszyć. Naprawdę! — Marina wyprostowała się energicznie. — Kochany Jinks! Czy bierze mnie za zupełną idiotkę?

— Nie wiem jeszcze, dlaczego uważa pani, że ktoś chciał ją zabić.

Umilkła na moment, a potem gwałtownym gestem sięgnęła po torebkę. Otworzyła ją, wyjęła kawałek papieru i wcisnęła mu w dłoń. Przeczytał. Na kartce wypisano na maszynie jedną linijkę tekstu: „Nie myśl, że następnym razem ci się uda”.

— Kiedy to pani dostała? — spytał Craddock.

— Było na mojej toalecie, kiedy wróciłam z łazienki.

— Więc to domownik...

— Niekoniecznie. Ktoś mógł wspiąć się na balkon i wrzucić kartkę przez okno. Przypuszczam, że chcieli jeszcze bardziej mnie nastraszyć. Nie udało im się. Wpadłam we wściekłość i natychmiast poprosiłam o spotkanie z panem.

Dermot Craddock uśmiechnął się.

— Tego z pewnością nie spodziewał się autor pogroźki. Czy to pierwsza tego rodzaju wiadomość, jaką pani dostała?

Marina znów się zawahała.

— Nie — odparła.

— Opowie mi pani o innych?

— Pierwsza nadeszła trzy tygodnie temu. Dostałam ją w studio, nie tutaj. Była zwyczajnie śmieszna. Taka krótka wiadomość. Odręczna, choć napisana drukowanymi literami. „Przygotuj się na śmierć.” — Roześmiała się. W tym śmiechu zabrzmiała może delikatna nutka hysterii. Jednak rozbawienie było szczere. — To przecież takie głupie. Oczywiście, często dostaje się zwariowane liściki, groźby i takie tam. Myślałam, że to pewnie jakiś fanatyk, ktoś, kto nienawidzi aktorek. Podarłam kartkę i wrzuciłam do kosza.

— Mówiła pani o tym komuś? Marina pokręciła głową.

— Nie, ani słowa. Szczerze mówiąc, mieliśmy pewne problemy z filmowaną właśnie sceną. O niczym innym nie potrafiłam wtedy myśleć. W każdym razie uznałam, że to dzieło albo kiepskiego żartownisia albo jednego z fanatyków religijnych, którzy występują przeciwko aktorstwu.

— Ale potem była następna?

— Tak. W dzień przyjęcia. Przyniósł ją chyba jeden z ogrodników. Powiedział, że jakiś człowiek zostawił dla mnie list i czy będzie odpowiedź. Sądziłam, że ma to związek z bankietem. Rozerwałam kopertę. Było tam napisane: „Nadszedł twój ostatni dzień.” Zmiałam kartkę i powiedziałam, że nie będzie odpowiedzi. Potem spytałam tego człowieka, od kogo dostał list. Twierdził, że od mężczyzny w okularach, który przyjechał na rowerze. Co by pan pomyślał? Uznałam, że to znowu jakaś bzdura. Nie sądziłam, nawet przez chwilę nie myślałam, by potraktować sprawę poważnie.

— Gdzie jest teraz ten list, pani Gregg?

— Nie mam pojęcia. Miałam na sobie taki włoski szlafrok z barwnego jedwabiu. O ile pamiętam, zgmiotłam tę kartkę i wepchnęłam ją do kieszeni. Ale teraz jej tam nie ma. Pewnie gdzieś wypadła.

— I nie podejrzewa pani, kto mógł pisać te głupie listy, panno Gregg? Kto był autorem?

Szeroko otworzyła oczy. Był w nich wyraz jakiegoś niewinnego zdziwienia. Craddock podziwiał to, ale nie wierzył.

— Skąd mogłabym wiedzieć?

— Sądzę, że może pani się domyślać.

— Nie wiem. Zapewniam pana, że nie wiem.

— Jest pani sławna — rzeki Dermot. — Odniosła pani sukces, zawodowy i osobisty. Mężczyźni zakochiwali się w pani, prosili o pani rękę, żenili się. Kobiety zazdrościły. Kochankowie bywali odrzucani. To tylko domysły, zgoda, ale sądzę, że musi pani, przynajmniej podejrzewać, kto mógł pisać te listy.

— Ktokolwiek.

— Nie, panno Gregg, choć w grę wchodzi całkiem znaczna grupa osób, ale na pewno nie ktokolwiek. Ktoś całkiem niepozorny: kelner, elektryk, służący, albo któryś z pani przyjaciół czy tak zwanych przyjaciół. Ale musi się pani domyślać. Jakies nazwisko, może więcej niż jedno?

Drzwi otworzyły się i wszedł Jason Rudd. Marina spojrzała na niego i błagalnie wyciągnęła rękę.

— Jinks, kochanie, pan Craddock upiera się, że wiem, kto pisał te straszne listy. A ja nie wiem. Żadne z nas nie wie. Nie mamy najmniejszego pojęcia.

Bardzo się z tym śpieszy, pomyślał Craddock. Za bardzo. Czyżby Marina Gregg bała się tego, co może powiedzieć jej mąż?

Jason Rudd miał oczy pociemniałe ze zmęczenia, a zmarszczki na czole głębsze niż zwykle. Podeszedł i ujął dłoń Mariny.

— Wiem, że trudno w to uwierzyć, inspektorze — powiedział. — Ale naprawdę ani Marina, ani ja, nic nie wiemy o tej sprawie.

— Zatem są państwo w szczęśliwej sytuacji nieposiadania żadnych nieprzyjaciół, czy tak? — Ironia w głosie Dermota była aż nadto wyraźna.

Jason Rudd zaczerwienił się lekko.

— Nieprzyjaciół? To takie biblijne określenie, inspektorze. W tym sensie mogę pana zapewnić, że nie wiem o żadnych wrogach. Ludzie, którzy człowieka nie lubią, którzy chcą go zniszczyć, oszukać przy sprzyjającej okazji, którzy odmówili pomocy... to tak. Ale od tego daleko jeszcze do podania śmiertelnej dawki trucizny.

— Właśnie przed chwilą spytałem pańską żonę, kto mógł napisać bądź spowodować napisanie tych listów. Odpowiedziała, że nie wie. Gdy jednak pomyślimy o rzeczywistych działaniach, pole domysłów się zawęża. Ktoś naprawdę wsypał truciznę do tej szklanki. A to, jak pan wie, ogranicza zakres podejrzanych.

— Nic nie widziałem — oświadczył Jason Rudd.

— Ja też nie — powiedziała Marina. — To znaczy, gdybym zobaczyła, że ktoś wrzuca coś do mojej szklanki, przecież nie wypiłabym tego, prawda?

— Nie potrafię pozbyć się wrażenia — wytknął delikatnie Dermot Craddock — że wie pani trochę więcej niż mówi.

— To nieprawda — zapewniła Marina. — Jasonie, powiedz, że to nieprawda.

— Zapewniam pana — powiedział Rudd — że jestem całkowicie i bez reszty zagubiony. To fantastyczna historia. Skłonny byłbym uwierzyć w tragiczny żart, żart, który się nie udał. A dokonała go osoba, która nawet nie śniła, że może doprowadzić do śmierci... — W jego głosie zabrzmiało pytanie, po chwili jednak pokręcił głową. — Nie. Widzę, że ten pomysł się panu nie podoba.

— Jest jeszcze coś, o co chciałbym zapytać — rzekł Craddock.

— Pamiętają państwo, jak zjawili się pan i pani Badcock? Przyszli zaraz po pastorze. Wiem, że powitała ich pani tak samo czarująco jak wszystkich gości. Lecz zgodnie z relacją naocznego świadka w chwilę po powitaniu spojrzała pani ponad ramieniem pani Badcock i zobaczyła coś, co jakby panią zaniepokoiło. Czy to prawda, a jeśli tak, co to było?

— Oczywiście, że nieprawda — odparła szybko Marina. — Zaniepokoiło mnie... co mogło mnie

zaniepokoić?

— Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć — wyjaśnił cierpliwie Craddock. — Mój świadek upiera się przy tym fackie.

— A kto był pańskim świadkiem? Co widział, czy widziała?

— Patrzyła pani na schody. Wchodzili ludzie. Był tam dziennikarz, pan Grice z żoną, starsi mieszkańcy tego miasteczka, pan Ardwyck Ferm, który właśnie przybył ze Stanów, a także pani Lola Brewster. Czy widok jednej z tych osób wytrącił panią z równowagi, pani Gregg?

— Przecież powiedziałam, że nie byłam zdenerwowana — niemal warknęła.

— A jednak przestała pani zwracać uwagę na panią Badcock. Ona mówiła do pani, a pani nie odpowiadała, wpatrując się w coś za jej plecami.

Marina Gregg opanowała się. Zaczęła mówić szybko i przekonująco.

— Mogę to wyjaśnić. Naprawdę. Gdyby wiedział pan cokolwiek o grze aktorskiej, zrozumiałby pan bez trudu. Nadchodzi taka chwila, choćby dobrze znał pan rolę — zdarza się to zwykle właśnie wtedy, gdy rzeczywiście zna pan rolę — że odgrywa pan ją zupełnie mechanicznie. Uśmiecha się pan, robi odpowiednie gesty, wypowiada słowa z właściwą intonacją. Ale nie myśli pan o tym. I zupełnie nagle zjawia się taka przerażająca pustka, okropna pustka... nagle nie wie pan, w którym jest miejscu, jak daleko zaszedł pan w sztuce i jaka jest kolejna kwestia. Wyschnięcie, tak to nazywamy. To właśnie mi się zdarzyło. Nie jestem szczególnie silna, co mój mąż może zaświadczyć. Miałam dość męczące dni i przeżyłam sporo nerwowych chwil w związku z filmem. Chciałam, żeby przyjęcie się udało, musiałam być uprzejma i miła dla wszystkich. Ale mówi się raz po raz, mechanicznie, te same banalne słowa do ludzi, którzy zawsze tak samo odpowiadają. No wie pan, że zawsze chcieli się ze mną spotkać. Że kiedyś widzieli mnie przed kinem w San Francisco, albo lecieli ze mną samolotem. Właściwie to nieistotne, ale trzeba słuchać uprzejmie i odpowiadać. Więc odpowiada się zupełnie automatycznie. Nie trzeba myśleć, co się mówi, skoro tak często już się to powtarzało. I zupełnie nagle ogarnęła mnie fala zmęczenia. Pustka w głowie. Uświadomiłam sobie, że pani Badcock opowiada mi długą historię, której właściwie wcale nie słyszałam, a teraz patrzy wyczekująco, a ja nie odpowiadam. To było tylko zmęczenie.

— Tylko zmęczenie — powtórzył wolno Craddock. — Upiera się pani przy tym, pani Gregg?

— Tak. Nie rozumiem, dlaczego nie chce mi pan uwierzyć. Dermot Craddock zwrócił się do Jasona Rudda.

— Panie Rudd, myślę, że pan zrozumie mnie lepiej niż pańska żona. Martwię się o jej bezpieczeństwo. Bardzo się martwię. Próbowano ją zamordować, dostawała listy z pogróżkami. To przecież znaczy, że jest ktoś, kto był tu w dniu przyjęcia, może nadal jest, ktoś kto ma bliski kontakt z tym domem i wszystkim, co się tu dzieje. Kimkolwiek byłaby ta osoba, z pewnością jest odrobinę szalona. To nie tylko kwestia gróźb. Ci, którym się grozi, długo żyją, jak mówi stare przysłowie. Ale ktokolwiek to jest, nie poprzestał na gróźbach. Z premedytacją usiłował otruć panią Gregg. Czy nie

rozumie pan, że z samej natury sprawy wynika, iż próba zostanie ponowiona? Jest tylko jeden sposób, by zagwarantować bezpieczeństwo: przekazać mi wszelkie posiadane przez pana informacje. Nie twierdzę, że zna pan tę osobę, ale uważam, że może pan próbować odgadnąć czy domyślać się jej tożsamości. Czy powie mi pan prawdę? Albo jeśli, co całkiem możliwe, nie zna pan prawdy, czy skłoni pan żonę, by mi powiedziała? Proszę pana w interesie jej bezpieczeństwa.

Jason Rudd wolno odwrócił głowę.

— Słyszysz, co mówi inspektor Craddock, Marino? Całkiem możliwe, że wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia. Jeśli tak, na miłość boską, nie igraj z tym. Jeżeli żywisz choćby najlżejsze podejrzenia w stosunku do kogokolwiek, powiedz nam teraz.

— Ależ ja nikogo nie podejrzewam. — Głos wzniósł się płaczliwie. — Uwierzcie mi.

— Kogo się pani przestraszyła tamtego dnia? — zapytał Dermot.

— Nikogo się nie przestraszyłam.

— Proszę posłuchać, pani Gregg. Wśród wszystkich ludzi, którzy byli wtedy na podeście albo właśnie wchodzili, znalazło się dwoje przyjaciół, których przybycie sprawiło pani niespodziankę. Nie widziała ich pani od bardzo dawna i nie oczekiwała tego dnia. Byli to pan Ardwyck Fenn i pani Lola Brewster. Czy doznała pani jakichś szczególnych emocji widząc nagle ich na schodach? Nie wiedziała pani, że przyjdą?

— Nie, nie mieliśmy nawet pojęcia, że są w Anglii — wtrącił Jason Rudd.

— Byłam zachwycona — oświadczyła Marina. — Po prostu zachwycona!

— Zachwycona widokiem pani Brewster?

— No... — rzuciła mu szybkie, lekko podejrzliwe spojrzenie.

— O ile wiem, Lola Brewster była kiedyś żoną pani trzeciego męża, Roberta Truscotta?

— To prawda.

— Opuścił ją, by ożenić się z panią.

— Och, wszyscy o tym wiedzą — rzuciła niecierpliwie. — Nie sądzi pan chyba, że to jakieś odkrycie. Owszem, były wtedy pewne niesnaski, ale w efekcie nie przetrwały żadne urazy.

— Czy groziła pani kiedyś?

— No, coś takiego było. Ale... och, nie potrafię tego wytłumaczyć. Nikt nie traktuje poważnie takich gróźb. To zdarzyło się na przyjęciu; wypita za dużo, potrafiłaby pewnie mnie zastrzelić, gdyby akurat miała wtedy pistolet. Na szczęście nie miała. Poza tym to przecież historia! Takie emocje nie trwają długo! Naprawdę. Tak przecież jest, prawda, Jasonie?

— Moim zdaniem to prawda — przyznał Jason Rudd. — I mogę pana zapewnić, że Lola Brewster nie miała żadnej możliwości, by na przyjęciu wrzucić truciznę do koktajlu mojej żony. Prawie przez cały czas stałem obok niej. Sam pomyśl, że Lola tak nagle, po długim okresie przyjaznych kontaktów, zjawia się w Anglii, w naszym domu z planem zamordowania mojej żony... to przecież absurd.

— Doceniam pańskie przekonanie — rzekł Craddock.

— To nie są przekonania, to są fakty. Ani na chwilę nie zbliżyła się do szklanki Mariny.

— A ten drugi gość, Ardwyck Fenn?

Miał wrażenie, że Jason Rudd zawahał się lekko, nim odpowiedział.

— To nasz stary przyjaciel — wyjaśnił. — Nie widzieliśmy go od dobrych paru lat. Od czasu do czasu pisujemy do siebie. Jest grubą rybą w amerykańskiej telewizji.

— Czy jest także pani starym przyjacielem? — Dermot Craddock zwrócił się do Mariny.

Odetchnęła nieco szybciej.

— Tak, naturalnie. Zawsze byliśmy przyjaciółmi, ale ostatnio jakoś straciłam go z oczu. — A potem dorzuciła pospiesznie: — Jeśli pan sądzi, że spojrzałam, zobaczyłam Ardwycka i przestraszyłam się, to całkowicie się pan myli. Całkowicie. Dlaczego miałabym się go bać? Z jakiego powodu? Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Bardzo się ucieszyłam, kiedy go zobaczyłam. Mówiłam już panu, że to była przyjemna niespodzianka. — Uniosła głowę i spojrzała wyzywająco.

— Dziękuję, pani Gregg — rzekł cicho Craddock. — Gdyby jednak przyszła pani ochota zaufać mi nieco bardziej, szczerze to pani doradzam.

XIV

Pani Bantry klęczała w ogródku. Dobry dzień na okopywanie: ładna, sucha gleba. Ale okopywanie wszystkiego nie załatwi; zostają jeszcze osty i mlecze. Z zapalem pozbywała się tych szkodników.

Wstała zdyszana, lecz zwycięska i ponad żywopłotem spojrzała na drogę. Z lekkim zdziwieniem dostrzegła ciemnowłosą sekretarkę, której nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. Kobieta wychodziła z budki telefonicznej tuż obok przystanku autobusowego po drugiej stronie drogi.

Jakże się ona nazywa. Chyba na B, a może na R? Nie, Zielinsky. Właśnie. Pani Bantry przypomniała to sobie w chwili, gdy Ella przeszła przez ulicę na podjazd wiodący do domku.

— Dzień dobry, panno Zielinsky — zawołała przyjaźnie.

Ella podskoczyła. Choć był to nie tyle podskok, co raczej odruch popłochu, jak u spłoszonego konia. Zdziwiło to panią Bantry.

— Dzień dobry — odpowiedziała Ella i dodała szybko. — Zeszłam do telefonu. Coś się stało z naszą linią.

Pani Bantry zdziwiła się jeszcze bardziej. Nie rozumiała, czemu Ella Zielinsky próbuje się tłumaczyć.

— To musi być irytujące — przyznała uprzejmie. — Kiedy tylko pani zechce, proszę dzwonić ode mnie.

— Och... dziękuję... — Zdanie przerwał ostry atak kichania.

— Ma pani katar sienny. — Pani Bantry natychmiast postawiła diagnozę. — Proszę spróbować słabego roztworu sody oczyszczonej z wodą.

— Nic mi nie będzie. Mam doskonałe lekarstwo w aerozolu. Ale dziękuję.

Kichnęła znowu i różnym krokiem pomaszerowała w stronę domu.

Pani Bantry przyjrzała się jej uważnie. Potem przeniosła wzrok na swój ogród, z uczuciem zawodu obserwując grządki.

Ani jednego chwastu.

— Koniec pracy Otella — wymruczała do siebie niechętnie. — Przyznaję, że jestem wścibską staruszką, ale chciałabym wiedzieć czy...

Po chwili wahania pokusa zwyciężyła. Trudno, zostanie wścibską babą, co tam. Weszła do domu,

podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer.

— Gossington Hall — odezwał się młody głos z amerykańskim akcentem.

— Mówi pani Bantry z Myśliwskiego Domku.

— O, dzień dobry, pani Bantry. Tu Hailey Preston. Spotkaliśmy się na przyjęciu. Czym mogę pani służyć?

— Myślałam, że to ja zaproponuję pomoc. Jeśli macie uszkodzony telefon...

— Nasz telefon? — przerwał jej ze zdumieniem. — Nie mieliśmy żadnych kłopotów. Skąd to pani przyszło do głowy?

— Musiałam się pomylić — odparła pani Bantry. — Czasem słabo słyszę — skłamała bezwstydnie.

Odłożyła słuchawkę, odczekała chwilę, po czym zadzwoniła jeszcze raz.

— Jane? Tu Dolly.

— Witaj, Dolly. O co chodzi?

— Wiesz, zdarzyło się coś dziwnego. Ta sekretarka dzwoniła z budki przy drodze. Uznała za stosowne wytłumaczyć mi, całkiem niepotrzebnie, że to z powodu nieczynnego telefonu w Gossington Hall. Ale dzwoniłam tam i żadnej awarii nie mieli...

Przerwała, czekając aż wyższa inteligencja dopowie resztę.

— Doprawdy — rzekła w zamyśleniu panna Marple. — To bardzo ciekawe.

— Jak sądzisz, dlaczego to zrobiła?

— Najwyraźniej nie chciała, by ktoś ją słyszał.

— Właśnie.

— A mogła mieć ku temu kilka powodów.

— Tak.

— Ciekawe — powtórzyła panna Marple.

Chyba nikt nie byłby bardziej skory do rozmowy niż Donald McNeil, sympatyczny, rudowłosy młody człowiek. Z radością i zaciekawieniem powitał Dermota Craddocka.

— Jak postępy śledztwa? — zapytał wesoło. — Macie dla mnie jakieś ciekawostki?

— Jeszcze nie. Może później.

— Kręcicie jak zwykle. Wszyscy jesteście tacy sami. Uprzejme ostrzygi! Nie doszedł pan jeszcze do tego etapu, by poprosić kogoś o pomoc w dochodzeniu?

— Przyszedłem do pana — uśmiechnął się Dermot Craddock.

— Czyżby ta uwaga niosła jakieś nieprzyjemne, podwójne znaczenie? Czyżby naprawdę podejrzewał pan, że zamordowałem Heather Badcock i to przez pomyłkę, ponieważ chciałem dopaść Marinę Gregg? Czy może od początku planowałem morderstwo Heather Badcock?

— Niczego nie sugerowałem.

— Nie, tego by pan nie zrobił. Jest pan zbyt wielkim służbistą. No dobrze. Przejdźmy do rzeczy. Byłem tam. Miałem możliwość, ale czy miałem powód? Ach, tego chciałby się właśnie pan dowiedzieć. Jaki mógłby być motyw?

— Jak dotąd nie potrafiłem żadnego znaleźć — wyznał Craddock.

— To mnie cieszy. Już jestem spokojniejszy.

— Chciałbym wiedzieć, co pan widział tego dnia.

— Już pan wie. Miejscowa policja sprawdziła wszystko od razu. To poniżające. Byłem na scenie mordu. Praktycznie rzecz biorąc widziałem, jak popełniono morderstwo, musiałem widzieć... a nie mam pojęcia, kto to zrobił. Wstyd się przyznać, ale zorientowałem się dopiero, że coś jest nie tak, kiedy zobaczyłem, jak ta nieszczęsna kobieta siedzi w fotelu, oddycha z trudem, a potem kona. Oczywiście, to znakomite zeznanie naocznego świadka. A dla mnie dobry, sensacyjny materiał. Niestety, nie mam nic więcej. Muszę wyznać, że czuję się poniżony. Przecież powinienem wiedzieć coś więcej. I nie oszuka mnie pan, że ta trucizna była przeznaczona dla Heather Badcock. To miła kobieta, chociaż trochę zbyt gadatliwa, jednak z tego powodu nikt nie zostaje zamordowany. Chyba że, oczywiście, zdradza tajemnice. Ale nie wierzę, by ktokolwiek powierzył kiedyś Heather Badcock jakąś tajemnicę. Nie była typem kobiety, którą interesują cudze sekrety. Moim zdaniem niezmiennie mówiła tylko o sobie.

— To chyba dość powszechny pogląd — zgodził się Craddock.

— I tak wracamy do sławnej Mariny Gregg. Jestem pewien, że istnieje mnóstwo cudownych motywów do jej zamordowania. Zazdrość, zawiść, labirynt uczuć, wszystkie te dramaty... Ale, kto to zrobił? Ktoś niespełna rozumu, przypuszczam. Właśnie! A zatem usłyszał pan moją cenną opinię. O to panu chodziło?

— Nie tylko. Rozumiem, że zjawił się pan i wszedł na schody mniej więcej w tym samym czasie, co pastor i burmistrz.

— Dokładnie. Ale to nie było moje pierwsze wejście. Pojawiłem się na miejscu zbrodni już wcześniej.

— Tego nie wiedziałem.

— Tak. Należałem do takiej wędrowniej ekipy, chodziliśmy tu i tam. Miałem ze sobą fotografa. Zeszliśmy na dół, by zrobić parę zdjęć: jak przybywa burmistrz, jak rzucają kólkami do celu, szukają klucza do zakopanego skarbu i takie tam zabawy. Potem wróciłem, nie tyle do pracy, co żeby załapać się na jednego czy dwa drinki. Były całkiem niezłe.

— Rozumiem. A czy pamięta pan, kto jeszcze wchodził schodach razem z panem?

— Margot Bence z Londynu stała obok z aparatem.

— Znają pan dobrze?

— Spotykamy się dość często. To mądra dziewczyna i odnosi sukcesy. Fotografuje wszystkie wielkie przyjęcia: Pierwsze Noce. Przedstawienia Galowe. Specjalizuje się w nietypowych ujęciach. Sztuka! Stała w rogu na podeście. Bardzo dobre miejsce: mogła fotografować wchodzących, a jednocześnie łapać powitania na szczytach. Lola Brewster szła tuż przede mną. Z początku jej nie poznałem. Miała nową rudą fryzurę w stylu wysp Fidżi. Kiedy widziałem ją ostatnim razem, nosiła gładkie fale wokół twarzy, a włosy były w takim miłym odcieniu kasztana. Towarzyszył jej wysoki, smagły mężczyzna, Amerykanin. Nie wiem kto, ale wyglądał na ważnego.

— Czy wchodząc patrzył pan na Marinę Gregg?

— Oczywiście.

— Czy wyglądała na wytraconą z równowagi, jakby przeżyła szok lub przestraszyła się czegoś?

— To ciekawe, co pan mówi. Rzeczywiście przez chwilę miałem wrażenie, że zaraz zemdleje.

— Rozumiem — powiedział w zamyśleniu Craddock. — Dziękuję. Czy nic więcej nie może mi pan powiedzieć?

McNeil obrzucił go niewinnym spojrzeniem.

— Na przykład, co?

— Nie ufam panu — oświadczył Craddock.

— Ale jest pan całkiem pewien, że tego nie zrobiłem. Cóż za rozczarowanie. Powiedzmy, że okaże się jej pierwszym mężem. Nikt nie wie, kim on był, tyle tylko, że człowiekiem zupełnie bez znaczenia. Nawet jego nazwisko zostało zapomniane.

Dermot uśmiechnął się.

— Ożenił się pan jeszcze w przedszkolu? — spytał. — Czy może nawet w żłobku? Śpieszę się. Muszę złapać pociąg.

Na biurku Craddocka w Nowym Scotland Yardzie leżał stos równo poukładanych papierów. Przejrzał je pobieżnie.

— Gdzie się zatrzymała Lola Brewster? — rzucił przez ramię.

— W „Savoyu”. Apartament 1800. Oczekuje pana.

— A Ardwyck Fenn?

— Mieszka w „Dorchester”. Pierwsze piętro, pokój 190.

— Doskonale.

Wziął kilka telegramów, przeczytał je ponownie, po czym wcisnął do kieszeni. Ostatni wywołał jego uśmiech.

— Nie powiesz, że nie odrabiam pracy domowej, ciociu Jane — mruknął pod nosem.

Wyszedł z biura i pojechał do „Savoya”.

W apartamencie Loli Brewster gospodyni powitała go wylewnie. Craddock przyglądał się jej uważnie pamiętając to, co przeczytał w raporcie. Nadal piękna, pomyślał. Może odrobinę zbyt bujna, ale człowiek lubi to u aktorek. Oczywiście całkiem inny typ niż Marina Gregg.

Dopełniwszy formalności, Lola odrzuciła do tyłu włosy w stylu wysp Fidżi, prowokacyjnie ściągnęła obficie uszmkowane wargi i zatrzepotała błękitnymi powiekami nad dużymi, piwnymi oczami.

— Czy przyszedł pan zadawać mi mnóstwo strasznych pytań? — powiedziała. — Tak jak ten miejscowy inspektor?

— Mam nadzieję, że nie będą takie straszne, pani Brewster.

— Och, jestem pewna, że będą, jak również, że to wszystko musiało być jakąś potworną pomyłką.

— Naprawdę tak pani sądzi?

— Tak. To przecież nonsens. Naprawdę pan uważa, że ktoś usiłował otruć Marinę? Kto mógłby chcieć zrobić coś tak straszego? Przecież ona jest absolutnie cudowna. Wszyscy ją kochają.

— Pani również?

— Zawsze byłam jej bardzo oddana.

— Och, proszę sobie przypomnieć, pani Brewster czy nie było drobnych nieporozumień jakieś jedenaście czy dwanaście lat temu?

— Ach, tamto. — Lola lekceważąco machnęła ręką. — wtedy strasznie zdenerwowana i roztrzęsiona. Rob i ja okropnie się kłóciliśmy. Żadne z nas nie zachowywało się wtedy normalnie. Marina zakochała się w nim szaleńczo i zupełnie zawróciła! biedakowi w głowie.

— A pani się to bardzo nie spodobało?

— Tak wtedy sądziłam, inspektorze. Teraz rozumiem, oczywiście, że to była jedna z najlepszych rzeczy, jakie mi się przytrafiły. Tak naprawdę martwiłam się o dzieci, wie pan, że rozbijamy rodzinę. Już wtedy chyba wiedziałam, że Rob i ja nie jesteśmy dobraną parą. Słyszał pan zapewne, że wyszłam za: Eddiego Grovesa, gdy tylko formalności rozwodowe dobiegły końca. Chyba od dawna go kochałam, ale oczywiście z powodu dzieci nie chciałam niszczyć rodziny. To takie ważne, wie pan, by dzieci miały dom.

— A jednak ludzie twierdzą, że była pani wtedy bardzo zdenerwowana.

— Och, ludzie zawsze mówią różne rzeczy — odparła wymijająco Lola.

— Pani też wiele mówiła, pani Brewster, prawda? Nawet groziła pani, że zastrzeli Marinę Gregg. Tak przynajmniej słyszałem.

— Mówiłam już, że wygaduje się różne rzeczy. Oczekują od człowieka, że coś takiego powie. To jasne, że do nikogo bym nie strzeliła.

— A jednak parę lat później strzeliła pani do Eddiego Grovesa.

— Och, to dlatego, że się pokłóciliśmy — wyjaśniła Lola. — Przestałam nad sobą panować.

— Mam poświadczone zeznanie, pani Brewster, że powiedziała pani — przeczytał z notesu: — „Niech ta dziwka nie myśli, że jej się uda. Jeśli teraz jej nie zastrzelę, poczekam i dostanę ją w inny sposób. Nieważne jak długo będę czekać, może całe lata, ale w końcu wyrównam z nią rachunki.”

— Jestem pewna, że nigdy nic takiego nie powiedziałam — roześmiała się Lola Brewster.

— Jestem pewien, pani Brewster, że powiedziała pani.

— Ludzie przesadzają. — Czarujący uśmiech rozjaśnił jej twarz. — Byłam wtedy wściekła, wie pan — mruknęła poufałym tonem. — Kiedy się jest na kogoś wściekłym, wygaduje się różne dziwne rzeczy. Ale chyba nie sądzi pan, że czekałabym czternaście lat, płynęła aż do Anglii, szukała Mariny i po trzech minutach od spotkania wrzucała jakąś śmiertelną truciznę do jej szklanki?

Derмот Craddock nie sądził. Uważał to za bardzo mało prawdopodobne. Odparł krótko:

— Przypominam tylko, pani Brewster, że w przeszłości zdarzało się pani grozić. A Marina Gregg z całą pewnością była tamtego dnia zaskoczona i przerażona widokiem kogoś wchodzącego po schodach. W naturalny sposób pojawia się podejrzenie, że tym kimś była pani.

— Ależ kochana Marina była zachwycona moim widokiem! Ucałowała mnie i mówiła, jak to cudownie, że przyjechałam. Och, naprawdę, inspektorze, zachowuje się pan bardzo, bardzo niepoważnie.

— Gdy tymczasem wszyscy jesteście jedną, wielką, szczęśliwą rodziną?

— No cóż, to w każdym razie jest bliższe prawdy niż wszystko, co pan sugeruje.

— I w żaden sposób nie może nam pani pomóc? Nie domyśla się pani, kto chciałby ją zabić?

— Mówię panu przecież, że nikt nie chciałby zabić Mariny. Zresztą i tak jest bardzo głupią kobietą. Stale rozwodzi się nad swoim zdrowiem, stale zmienia zdanie, chce tego czy tamtego, a kiedy dostaje, jest niezadowolona! Nie rozumiem, dlaczego ludzie tak za nią przepadają. Jason zawsze za nią szalał. Co ten człowiek musi przeżywać! Ale tak już jest. Wszyscy jakoś z Mariną wytrzymują, ustępują jej. A ona potem obdarza ich takim smutnym, słodkim uśmiechem, I dziękuje. To najwyraźniej wystarcza, by uznali, że było warto. Naprawdę nie wiem, jak ona to robi. Najrozsądniej będzie zapomnieć o pomyśle, że ktoś próbował ją zabić.

— Chciałbym — odparł Dermot Craddock. — Niestety nie mogę, gdyż, widzi pani, tak właśnie było.

— Co to znaczy „było”? Przecież nikt jej nie zabił.

— Nie. Ale ktoś próbował.

— Nigdy w to nie uwierzę! Uważam, że ten ktoś od początku chciał zabić tę drugą kobietę: tę, która naprawdę została zamordowana. Z pewnością ktoś dziedziczy po niej pieniądze.

— Ona nie miała pieniędzy, pani Brewster.

— Wiec był inny powód. Wszystko jedno. Na pańskim miejscu nie martwiłabym się o Marinę. Jej zawsze się wszystko udaje!

— Doprawdy? Nie zrobiła na mnie wrażenia, kobiety która jest szczęśliwa.

— To dlatego, że tak się wszystkim przejmuje. Nieszczęśliwe romanse. I to, że nie może mieć dzieci.

— Adoptowała kilkoro, prawda? — W pamięci Dermota zabrzmiał nagły głos panny Marple.

— Chyba tak. Ale to nie był najlepszy pomysł. Ona robi takie rzeczy pod wpływem impulsu, a potem tego żałuje.

— A co się stało z tymi dziećmi?

— Nie mam pojęcia. Zniknęły po pewnym czasie. Przypuszczam, że miała ich już dość.

— Rozumiem — powiedział Dermot Craddock.

Następnie — hotel „Dorchester”. Apartament 190.

— Więc, nadinspektorze... — Ardwyck Fenn spojrział na trzymaną w dłoni wizytówkę.

— Craddock.

— Co mogę dla pana zrobić?

— Mam nadzieję, że zechce pan odpowiedzieć na kilka pytań.

— Oczywiście. Chodzi o tę sprawę w Much Benham. Nie... Jakże to się nazywa, St Mary Mead?

— Tak. Zgadza się. W Gossington Hall.

— Nie mam pojęcia, po co Jason Rudd kupił w ogóle coś takiego. W Anglii jest mnóstwo porządnych domów, nawet z czasów królowej Anny. Gossington Hall to czysto wiktoriańska posiadłość. Zastanawiam się, co mu się właściwie spodobało.

— Och, ma pewne zalety. Pewnych ludzi pociąga wiktoriańska stabilizacja.

— Stabilizacja? No cóż, może ma pan rację. Marina, jak sędzę, tęskni za stabilnością. To coś, czego nigdy nie zaznała, biedactwo, i pewnie dlatego zawsze zazdrościła innym. Może ten dom zadowoli ją na jakiś czas.

— Znają pan dobrze, panie Fenn? Ardwyck Fenn wzruszył ramionami.

— Dobrze? Nie wiem, czy można to tak określić. Znam ją od dobrych kilku lat. Ale muszę zaznaczyć, że bywały długie okresy, kiedy się nie widywaliśmy.

Craddock spojrział na niego badawczo. Potężnie zbudowany, smagły mężczyzna, bystre oczy za grubymi szklami, ciężkie policzki i podbródek. Ardwyck Fenn mówił dalej:

— Jak czytałem w gazetach, istnieje teoria, że ta pani Jak–jej–tam — było została zamordowana przez pomyłkę. Trucizna była przeznaczona dla Mariny. Zgadza się?

— Tak. Trucizna znalazła się w koktajlu Mariny Gregg. Pani Badcock wylała drinka i Marina oddała jej swoją szklankę.

— To chyba przesądza sprawę. Chociaż naprawdę nie wiem, kto chciałby otruć Marinę. Zwłaszcza

że nie było tam Lynette Brown.

— Lynette Brown? — Craddock spojrzał lekko zdziwiony.

Ardwyck Fenn uśmiechnął się.

— Jeśli Marina zerwie kontrakt i odrzuci rolę, dostanie ją Lynette, a to wiele dla niej znaczy. Mimo wszystko nie wyobrażam sobie, by wysłała emisariusza z trucizną. Zbyt melodramatyczny pomysł.

— Istotnie, to chyba przesada — przyznał sucho Dermot.

— Byłby pan zaskoczony wiedząc, do czego są zdolne ambitne kobiety — odparł Ardwyck Fenn. — Proszę wziąć pod uwagę, że śmierć nie musiała mieścić się w planach. Mogło chodzić tylko o to, by wystraszyć Marinę. Na tyle, by ją odsunąć, ale nie zabić.

Craddock pokręcił głową.

— To nie była graniczna dawka.

— Ludzie myślą dawki, czasem bardzo.

— Czy to pańska teoria?

— Och, nie. Tylko sugestia. Nie mam żadnej teorii. Byłem po prostu przypadkowym przechodniem.

— Czy Marina Gregg zdziwiła się widząc pana?

— Tak, to była dla niej bardzo duża niespodzianka. — Roześmiał się. — Gdy zobaczyła mnie na schodach, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Muszę przyznać, że powitała mnie bardzo ciepło.

— Dawno się państwo nie widzieli?

— Jakieś cztery, może pięć lat.

— A kilka lat wcześniej, jak słyszałem, pan i ona byliście dość bliskimi przyjaciółmi?

— Czy ta uwaga ma insynuować coś szczególnego, nadinspektorze Craddock?

Ton głosu prawie się nie zmienił, jednak pojawiło się w nim coś, czego jeszcze przed chwilą nie było. Jakby szcęk stali, cień groźby. Dennot pojął nagle, że ten człowiek byłby bezlitosnym przeciwnikiem.

— Sądzę, że będzie lepiej — dodał Ardwyck Fenn — jeśli dokładnie wyjaśni pan, o co chodzi.

— Jestem gotów, panie Fenn. Muszę sprawdzić dawne kontakty wszystkich osób, które owego dnia znalazły się obok Mariny Gregg. Plotka głosi, że w okresie, o którym mówiłem, był pan do

szaleństwa w niej zakochany.

Ardwyck Fenn wzruszył ramionami.

— Na człowieka przychodzą czasem takie zaćmienia, inspektorze. Na szczęście mijają.

— Podobno zachęcała pana, potem odepchnęła, a pan nie był tym zachwycony.

— Podobno, podobno! Pewnie czytał pan to wszystko we „W zaufaniu”.

— Dowiedziałem się od dobrze poinformowanych i rozsądnych osób.

Ardwyck Fenn odchylił głowę, ukazując byczą linię karku.

— Pociągała mnie swego czasu, to prawda — przyznał. — Była piękną, atrakcyjną kobietą, zresztą nadal nią jest. Jednak powiedzieć, że kiedykolwiek jej groziłem, to posunąć się odrobinę za daleko. Nie lubię, kiedy się mnie poniża i ludzie, którzy tego próbowali, zwykle potem żalowali swej decyzji. Jednak zasada ta dotyczy przede wszystkim interesów.

— Jak słyszałem, wykorzystał pan swoje wpływy, by odebrać jej rolę.

Fenn wzruszył ramionami.

— Nie nadawała się. Były jakieś konflikty między nią a reżyserem. Włożyłem w ten film pieniądze i zależało mi na sukcesie. Zapewniam pana, że to sprawa czysto zawodowa.

— Ale Marina Gregg pewnie tak nie uważała.

— Naturalnie, że nie. Według niej, coś takiego mogło wynikać jedynie z powodów osobistych.

— Wyznała nawet w zaufaniu kilku przyjaciółom, że boi się pana.

— Naprawdę? Dziecinada. Ale przypuszczam, że to musiało ją bawić.

— Pana zdaniem nigdy przedtem nie miała powodów do obaw?

— Oczywiście. Jeśli nawet byłem nieco zawiedziony, szybko o tym zapomniałem. Jeśli idzie o kobiety, zawsze wyznawałem zasadę, że w morzu pełno jest ryb nie gorszych niż te, które już wpadły w sieć.

— To wygodny sposób na życie, panie Fenn.

— Istotnie; też tak sędzę.

— Dysponuje pan głęboką wiedzą o świecie filmu?

— Zaangażowałem się finansowo w produkcję.

— Zatem musi pan sporo wiedzieć.

— Być może.

— Jest pan człowiekiem, którego opinii warto wysłuchać. Czy mógłby pan wymienić jakiegokolwiek osoby, które żywiłyby do Mariny Gregg urazę tak głęboką, że posunęłyby się do zabójstwa?

— Może z dziesięć — odparł Ardwyck Fenn. — To znaczy, pod warunkiem, że nie musiałyby niczego robić osobiście. Gdyby rzecz sprowadzała się do naciśnięcia guzika na ścianie, znalazłoby się sporo chętnych palców.

— Tamtego dnia był pan na miejscu. Widział ją pan i rozmawiał z nią. Czy spośród osób, które w tym krótkim czasie między pańskim przybyciem a śmiercią Heather Badcock, były tam również, potrafiłby pan... tylko wskazać — zaznaczam, że pytam jedynie o domysły, wskazać — kogoś, kto mógłby otruć Marinę Gregg?

— Wolałbym nie mówić — odparł Ardwyck Fenn.

— To znaczy, że ma pan jakieś podejrzenia?

— To znaczy, że w tej sprawie nie mam nic do powiedzenia. I nic więcej pan ode mnie nie usłyszy, nadinspektorze.

Dermot Craddock zerknął na ostatnie nazwisko i adres zapisane w notesie. Dwa razy nie udało się uzyskać połączenia z tym numerem. Spróbował jeszcze raz, wzruszył ramionami, wstał i postanowił sprawdzić osobiście.

Studio Margot Bence mieściło się przy ślepej uliczce odchodzącej od Tottenham Court Road. Na tabliczce obok drzwi prócz nazwiska nie było żadnej informacji i żadnej reklamy. Craddock po omacku wszedł na pierwsze piętro. Zauważył duży, czarny napis na białej płycie: „Margot Bence, fotografik osobowości. Proszę wejść”.

Wszedł i znalazł się w małej, pustej poczekalni. Zawahał się, po czym odchrząknął głośno i scenicznie. Ponieważ nie zwrócił w ten sposób niczyjej uwagi, zawołał głośno:

— Jest tu ktoś?

Usłyszał szuranie kapci za aksamitną zasłoną, a po chwili wyrzwał zza niej młody mężczyzna z bujnymi włosami i bladą cerą.

— Strasznie mi przykro, kochany — powiedział. — Nic nie słyszałem. Miałem absolutnie nowy pomysł i właśnie go wypróbowałem.

Odsunął kotarę i Craddock podążył za nim w głąb nieoczekiwanie dużego pokoju. Najwyraźniej była to pracownia pełna aparatów fotograficznych, reflektorów, lamp, stosów draperii i ekranów.

— Straszny bałagan — stwierdził młody człowiek, niemal równie wiotki jak Hailey Preston. — Ale moim zdaniem w uporządkowanym pomieszczeniu trudno byłoby pracować. W jakiej? sprawie chciał nas pan widzieć?

— Pragnę zobaczyć się z panną Margot Bence.

— Ach, Margot. To szkoda. Spotkałby ją pan, gdyby pani wpadł jakieś pół godziny wcześniej. Wyjechała zrobić zdjęcia, modelkę dla „Marzeń Mody”. Powinien pan zadzwonić i umówić się. Margot jest ostatnio strasznie zajęta.

— Dzwoniłem. Nikt nie odpowiadał.

— Oczywiście — odparł młody człowiek. — Odłożyliśmy słuchawkę. Teraz pamiętam. Telefon nam przeszkadzał. — Wyglądził rodzaj liliowego kitla, który miał na sobie. — Czy mogę coś dla pana zrobić? Umówić pana? Prowadzę interesy Margot., Chodzi panu o jakieś zdjęcia? Prywatne czy służbowe?

— Niezupełnie — odparł Craddock. Podał młodemu człowiekowi wizytówkę.

— Coś takiego — wykrzyknął gospodarz. — Wydział Przepływów Kryminalnych! Wydaje mi się, wie pan, że widziałem gdzieś pana zdjęcia. Jest pan jednym z Wielkiej Czwórki czy Wielkiej Piątki, a może to teraz Wielka Szóstka? Tyle ostatnio zbrodni, że musieli zwiększyć zatrudnienie, prawda? Ojej, mam nadzieję, że pana nie uraziłem? Obawiam się, że tak. Ale nie chciałem. Do rzeczy: po co panu Margot? Mam nadzieję, że nie zamierza pan Jej aresztować.

— Chciałem tylko zadać jedno czy dwa pytania.

— Ona nie robi żadnych nieprzyzwoitych zdjęć czy czegoś w tym rodzaju — zapewnił gorąco młody człowiek. — Mam nadzieję, że nikt nie mówił panu takich rzeczy, bo to nieprawda. Margot jest wielką artystką. Często pracuje na scenie lub w studio. Ale jej prace są przerażająco, straszliwie czyste. Powiedziałbym, że niemal pruderyjne.

— Mogę panu po prostu powiedzieć, czemu chcę rozmawiać z panną Bence. Niedawno była naocznym świadkiem zbrodni, jaka zdarzyła się w pobliżu Much Benham, w miasteczku zwanym St Mary Mead.

— O Boże, oczywiście! Wiem o tym. Margot wróciła i wszystko mi opowiedziała. Cykuta w koktajlu, prawda? Czy coś w tym rodzaju. Brzmiało to strasznie ponuro! A wszystko łączy się z St John Ambulance, co z kolei nie jest takie ponure, prawda? Ale czy nie przesłuchiwał pan już Margot w tej sprawie? A może to ktoś inny?

— Zawsze pojawiają się nowe pytania, w miarę jak sprawa posuwa się do przodu — wyjaśnił Dermot.

— To znaczy rozszerza się. Tak, rozumiem. Coraz więcej szczegółów. Jak przy wywoływaniu zdjęć?

— To rzeczywiście bardzo dobre porównanie — przyznał Dermot Craddock.

— Miło, że pan tak mówi. A teraz co do Margot. Chciałby pan złapać ją jak najszybciej?

— Prawdę mówiąc, tak.

— Zaraz, w tej chwili... — Młody człowiek spojrział na zegarek.

— W tej chwili jest przed domem Keatsa przy Hampstead Heath. Mam tu samochód. Może pana podwieźć?

— Byłbym bardzo wdzięczny, panie...

— Jethroe — przedstawił się młody człowiek. — Johnny Jethroe.

— Dlaczego dom Keatsa? — zdziwił się Dermot, gdy schodzili już po schodach.

— No, wie pan, zdjęć z kolekcji mody nie robi się już w studio. Chcemy, żeby to wyglądało naturalnie, rozwiewane przez wiatr. I w miarę możliwości w nietypowej scenerii. Na przykład

płaszcz Ascot przed więzieniem Wandsworth lub frywolna sukienka przed domem poety.

Jethroe prowadził szybko i wprawnie wzdłuż Tottenham Court Road, przez Camden Town. Wreszcie znaleźli się w pobliżu Hampstead Heath. Na chodniku przed domem Keatsa rozgrywała się niewielka scenka. Szczupła dziewczyna, ubrana w przejrzystą organdyne, stała ściskając w dłoniach wielki czarny kapelusz. Druga klęczała za nią, trzymając kraj sukni tak, by opinała uda modelki. Jeszcze jedna z aparatem fotograficznym dyrygowała całą akcją, pokrzykując głębokim, szorstkim głosem:

— Na miłość boską, Jane, schowaj siedzenie. Wystaje zza prawego kolana. Połóż się. O tak. Nie, bardziej na lewo. Dobrze. Teraz zasłania cię krzak. Dobrze. Zrobimy jeszcze jedno. Obie ręce z tyłu kapelusza. Głowa do góry. Znakomicie. Teraz wróć się, Elsie. Pochyl się. Bardziej. Pochyl się! Pochyl się, musisz podnieść tę papierośnicę. Tak trzymaj. To jest boskie! Mamy! A teraz przejdź na lewo. Ta sama poza, tylko spójrz przez ramię. O tak.

— Nie rozumiem, po co ci zdjęcia mojego siedzenia — zawołała nadąsana dziewczyna nazwana Elsie.

— Masz świetny tył, kochana. Wygląda oszałamiająco — odparła fotografka. — A kiedy odwracasz głowę, broda wysuwa się niczym księżyc wschodzący ponad górą. Chyba nic więcej nam nie trzeba.

— Cześć, Margot — zawołał Jethroe.

Obejrzała się.

— A, to ty. Co tu robisz?

— Przywiozłem kogoś, kto chciał się z tobą widzieć. Nadinspektor Craddock z Wydziału Przystępstw Kryminalnych.

Dziewczyna obrzuciła Dermota badawczym wzrokiem. Odniósł wrażenie, że jej oczy patrzą ostrożnie, czujnie... ale wiedział, że to typowa reakcja na detektywów. Margot była szczupła, sama skóra i kości, ale mimo to miała interesującą sylwetkę. Ciężka zasłona czarnych włosów opadała po obu stronach twarzy. Wydawała się brudna, wychudzona i według niego niezbyt sympatyczna. Musiał jednak przyznać, że miała styl. Uniosła brwi, podniesione już lekko przez makijaż.

— Co mogę dla pana zrobić, inspektorze Craddock? — zapytała.

— Dzień dobry, panno Bence. Chciałem prosić, by odpowiedziała mi pani na kilka pytań związanych z tą bardzo nieprzyjemną sprawą w Gossington Hall. Przyjechała tam pani, żeby zrobić kilka zdjęć.

Dziewczyna kiwnęła głową.

— Oczywiście. Dobrze pamiętam. — Spojrzała na niego badawczo. — Nie zauważyłam tam pana. Pewnie rozmawiałam z kimś innym. Inspektor... inspektor...

— Inspektor Cornish? — odpowiedział Dermot.

— Zgadza się.

— Nas wezwano później.

— Jest pan ze Scotland Yardu?

— Tak.

— Wepchnęliście się, odbierając sprawę miejscowym, prawda?

— To nie było żadne wpychanie. Główny konstabl hrabstwa decyduje, czy chce dalej prowadzić dochodzenie, czy raczej woli przekazać je nam.

— A co wpływa na jego decyzję?

— Często chodzi o to, czy sprawa ma zasięg jedynie lokalny, czy może szerszy. Czasem nawet międzynarodowy.

— I zdecydował, że ta ma zasięg międzynarodowy?

— Może „transatlantycki” byłoby lepszym określeniem.

— Sugerowali w gazetach, że zabójca, kimkolwiek jest, próbował otruć Marinę Gregg i przez pomyłkę zabił jakąś biedną, miejscową kobietę. Czy to prawda, czy tylko plotka, która ma dopomóc kampanii reklamowej ich filmu?

— Obawiam się, że to fakt, panno Bence.

— O co chciał mnie pan spytać? Czy będę musiała jechać do Scotland Yardu?

Pokręcił głową.

— Nie, jeśli pani woli, możemy teraz wrócić do pani studia.

— Dobrze, tak zrobimy. Niedaleko stąd zaparkowałam samochód.

Ruszyła energicznym krokiem. Dermot pośpieszył za nią.

— Na razie, skarbie — zawołał za nimi Jethroe. — Nie zamierzam się wtrącać. Jestem pewien, że będziesz z inspektorem omawiać jakieś straszliwe tajemnice. — Podszedł do dwóch modelek i rozpoczął ożywioną dyskusję.

Margot wsiadła do samochodu i otworzyła drzwi od strony pasażera. Dermot Craddock zajął to miejsce. Milczeli podczas jazdy do Tottenham Court Road. Potem skręcili w ślepą uliczkę i na samym końcu minęli otwartą bramę.

— Tutaj mogę parkować — wyjaśniła. — To właściwie jest magazyn meblowy, ale uprosiłam, żeby wynajęli mi ten niewielki kawałek miejsca. Parkowanie to jeden z największych problemów w Londynie, jak pewnie wie pan aż za dobrze. Choć nie sądzę, żeby zajmował się pan ruchem drogowym, to nie pana specjalność, prawda?

— Nie, to nie mój problem.

— Przypuszczam, że morderstwa są o wiele ciekawsze — zauważyła Margot.

Wprowadziła go do studia, wskazała krzesło, zaproponowała i papierosa i usiadła naprzeciwko na dużym pufie. Spoglądała na niego bardzo poważnie i pytająco.

— Strzelaj, przybyszu — rzuciła.

— O ile wiem, w czasie przyjęcia, na którym nastąpił zgon, robiła pani zdjęcia?

— Tak.

— Czy to było zlecenie?

— Tak. Zależało im na ciekawych ujęciach. Często robię takie rzeczy. Angażują mnie studia filmowe, ale tym razem chodziło tylko o zdjęcia na przyjęciu, a potem parę fotografii ważnych osób witanych przez Marinę Gregg i Jasona Rudda. Miejscowi notable czy inne osobistości. Takie tam.

— Tak, rozumiem. Aparat ustawiła pani na schodach?

— Przez pewien czas. Miałam tam dobry kąt. Można było złapać wchodzących poniżej, a potem obrócić obiektyw i zdjąć Marinę, jak podaje im rękę. Udało mi się zrobić sporo różnych ujęć prawie nie ruszając się z miejsca.

— Wiem oczywiście, że odpowiadała już pani na pytanie, czy zauważyła pani coś niezwykłego. Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc. To był taki ogólny wywiad.

— Teraz chce pan przeprowadzić bardziej szczegółowy?

— Trochę bardziej. Czy ze swego stanowiska dobrze widziała pani Marinę Gregg?

— Doskonale. — Kiwnęła głową.

— A Jasona Rudda?

— Od czasu do czasu. On nie stał w jednym miejscu. Podawał drinki i chyba przedstawiał gwiazdom miejscowych. Nie zauważyłam tej pani Baddeley...

— Badcock.

— Przepraszam, Badcock. Nie widziałam, jak wypija ten śmiertelny łyk ani nic takiego. I

właściwie nie jestem nawet pewna, czy wiem, która to była.

— Pamięta pani wejście burmistrza?

— O tak. Burmistrza pamiętam dobrze. Miał łańcuch i wszystkie odznaki urzędu. Złapałam go na schodach, w zbliżeniu... dość okrutny profil. A potem jak podaje rękę Marinie.

— Więc może pani mniej więcej ustalić czas. Pani Badcock z mężem podeszli do Mariny Gregg tuż przed nim.

Pokręciła głową.

— Przykro mi, ale nadal sobie nie przypominam.

— To nie jest takie bardzo ważne. Zakładam, że dobrze widziała pani Marinę Gregg i często patrzyła pani na nią, mierząc z aparatu.

— Zgadza się. Przez większość czasu czekałam na odpowiedni moment.

— Czy zna pani człowieka nazwiskiem Ardwyck Fenn?

— O, tak. Znam go dość dobrze. Sieć telewizyjna... i filmy także.

— Czy jemu również robiła pani zdjęcia?

— Tak. Mam go jak wchodzi z Lola Brewster.

— To powinno być zaraz po burmistrzu? Zastanowiła się chwilę, po czym skinęła głową.

— Tak, chyba tak.

Margot Bence pochyliła się, otworzyła pudełko papierosów, wyjęła jeden i zapaliła. Nie odpowiadała, lecz Dermot nie naciskał. Czekał, zastanawiając się, o czym może myśleć ta bieta.

— Czemu pan o to pyta? — odezwała się nagle.

— Bo zależy mi na odpowiedzi. Na wiarygodnej odpowiedzi.

— I sądzi pan, że moja odpowiedź będzie wiarygodna?

— Tak. Szczerze mówiąc, tak. Z pewnością dokładnie obserwuje pani ludzkie twarze, czekając na sprzyjający moment...

Przytaknęła.

— Zauważyła pani coś takiego?

— Ktoś jeszcze to dostrzegł, prawda?

— Tak. Więcej niż jedna osoba, ale opisywały to w różny sposób.

— A co mówili ludzie?

— Według jednej z osób Marina Gregg wyglądała jakby miała zemdleć.

Margot Bence wolno pokręciła głową.

— Ktoś inny twierdził, że była zaskoczona. — Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej. — A jeszcze ktoś opisał to jako skamieniałe spojrzenie.

— Skamieniałe — powtórzyła Margot w zamyśleniu.

— Zgadza się pani z tym ostatnim określeniem?

— Sama nie wiem. Może.

— Określono to nawet w bardziej wyszukany sposób — dodał Dermot. — Słowami poety Tennysona.

Zwierciadło pęka w odłamków stos:

„Zguba nade mną”, krzyczy w głos

Pani z Shalott.

— Tam nie było żadnego lustra — zauważyła Margot Bence. — Ale gdyby było, mogłoby się rozsypać. — Wstała nagle. — Proszę zaczekać — powiedziała. — Zrobię coś lepszego niż opis. Pokażę panu.

Odsunęła zasłonę i zniknęła na chwilę. Słyszał, jak mruczy coś niecierpliwie pod nosem.

— Gdzie to jest, do diabła? Nigdy nie można znaleźć niczego, co jest potrzebne — rzuciła zjawiając się znowu. — O, mam.

Podeszła i wręczyła mu błyszczący arkusz. Było to doskonałe zdjęcie Mariny Gregg. Podawała rękę kobiecie stojącej przed nią, a zatem tyłem do obiektywu. Lecz Marina nie patrzyła na tę kobietę. Jej oczy wpatrywały się nie w obiektyw, ale nieco na ukos, w lewo. Dla Dermota Craddocka najciekawsze było to, że jej twarz absolutnie niczego nie wyrażała. Nie było na niej ani lęku, ani bólu. Kobieta na zdjęciu patrzyła na coś, a emocja jaką to wzbudziło, była tak wielka, że fizycznie uniemożliwiała uzewnętrznienie tego wyrazem twarzy. Dermot Craddock tylko raz widział podobną twarz — mężczyzny, który kilka sekund później został zastrzelony...

— Zadowolony? — spytała Margot Bence.

Craddock głęboko westchnął.

— Tak, dziękuję. Czasem, wie pani, trudno stwierdzić, czy świadkowie przesadzają, czy wyobrażają sobie tylko, że coś widzieli. Ale nie w tym przypadku. Tam naprawdę było coś do zobaczenia i ona to dostrzegła. Czy mogę zatrzymać zdjęcie?

— Oczywiście, proszę wziąć tę odbitkę. Mam negatyw.

— Nie wysłała pani tego do prasy?

Margot Bence pokręciła głową.

— Zastanawiam się, dlaczego. W końcu to dość dramatyczna fotografia. Któraś z gazet zapłaciłaby pewnie niezłą cenę.

— Nie czułabym się najlepiej — wyjaśniła Margot. — Branie pieniędzy za przypadkowe zerknięcie w czyjąś duszę jest kłopotliwe.

— Czy w ogóle znała pani Marinę Gregg?

— Nie.

— Przyjechała pani ze Stanów, prawda?

— Urodziłam się w Anglii, ale kształciłam w Ameryce. Wróciłam mniej więcej trzy lata temu.

Dermot Craddock skinął głową. Znał odpowiedzi na te pytania. Czekwały na niego wśród innych informacji na jego biurku. Dziewczyna wydawała się szczerą.

— Gdzie pani zdobywała szlify zawodowe? — zapytał jeszcze.

— W Reingarden Studio. Przez pewien czas pracowałam z Andrew Quilpem. Wiele mnie nauczył.

— Studio Reingarden i Andrew Quilp... — Dermot Craddock nagle stał się czujny. Te nazwy poruszyły w nim jakąś strunę. — Mieszkała pani w Seven Springs, prawda?

Wydała się rozbawiona.

— Sporo pan o mnie wie. Sprawdzał pan?

— Jest pani bardzo znana w swoim fachu, panno Bence. Pisują o pani artykuły. Dlaczego wróciła pani do Anglii?

Wzruszyła ramionami.

— Och, lubię zmiany. Poza tym, jak już mówiłam, urodziłam się tutaj, chociaż wyjechałam do

Stanów jako dziecko.

— Całkiem małe dziecko, jak sędzę.

— Pięcioletnie, jeśli to pana interesuje.

— Interesuje. Sędzę panno Bence, że wie pani o wiele więcej, niż pani mówi.

Zesztywniała nagle.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

Craddock popatrzył na nią i zaryzykował. Właściwie nie miał podstaw. Reingarden Studio, Andrew Quilp i nazwa miasta. Doznał nagle wrażenia, że panna Marple stoi mu za plecami i ponagla go do działania.

— Myślę, że znała pani Marinę Gregg lepiej niż pani twierdzi.

Roześmiała się.

— Niech pan to udowodni. To tylko pańska wyobraźnia.

— Naprawdę? Nie wydaje mi się. Zresztą można tego dowieść i wie pani o tym. Wymaga to tylko odrobiny czasu i starań. Proszę, panno Bence, czy nie lepiej powiedzieć prawdę? Przyznać, że Marina Gregg adoptowała panią jako dziecko i mieszkała z nią pani przez cztery lata?

Z sykiem wciągnęła powietrze.

— Ty wścibski draniu! — warknęła.

Trochę go zaskoczyła ta zmiana stylu. Wstała, potrząsając czarną grzywą włosów.

— Dobrze, dobrze, to prawda! Tak, Marina Gregg zabrała mnie ze sobą do Ameryki. Moja matka miała ośmioro dzieci. Mieszkała gdzieś w slumsach. Była jedną z tych co to piszą do każdej gwiazdy filmowej, którą akurat zobaczyli czy o niej usłyszeli. Opowiadają smutną historię swego życia i błagają, by ktoś adoptował dziecko, któremu matka nie potrafi zapewnić życiowego startu. Obrzydliwy interes. To wszystko.

— Było was troje — przypomniał Dermot. — Troje dzieci adoptowanych w różnych okresach i pochodzących z różnych miejsc.

— Zgadza się. Ja, Rod i Angus. Angus był starszy ode mnie, a Rod zjawił się jako niemowlę. Mieliśmy cudowne życie. Och, cudowne! Wszystkie luksusy! — Z ironią podniosła głos. — Ubrania, samochody, piękny dom, ludzi, którzy o nas dbali, dobrą szkołę i nauczycieli i smakowite jedzenie. Wszystko do naszej dyspozycji! A ona, nasza „mama”... Mama” w cudzysłowie, odgrywająca swoją rolę, gruchająca do nas i robiąca sobie z nami zdjęcia! Jakiż to wzruszający obrazek.

— Ale ona naprawdę chciała mieć dzieci — rzekł Dermot. — To było prawdziwe, nie tylko sprawa reklamy.

— Och, może. Tak, myślę, że to prawda. Chciała mieć dzieci, ale nas nie chciała! Niespecjalnie. To był tylko wspaniały pokaz aktorstwa. „Moja rodzina.” „Jak to wspaniale mieć własną rodzinę.” A Izzy pozwalał jej na to, chociaż powinien się zorientować.

— Izzy to Isidore Wright?

— Tak, jej trzeci mąż, czy może czwarty. Zapomniałam. Był wspaniałym człowiekiem. Sądzę, że ją rozumiał i czasami martwił się o nas. Był dla nas miły i nie udawał ojca. Nie czuł się ojcem. Obchodziło go tylko własne pisarstwo. Później czytałam parę jego utworów. Są plugawe i dość okrutne, ale jest w nich moc. Ludzie chyba nazwą go kiedyś wielkim pisarzem.

— Jak długo to trwało?

Margot Bence uśmiechnęła się nagle.

— Aż miała już dosyć tej szczególnej roli. Nie, to nie całkiem prawda... Dowiedziała się, że będzie miała własne dziecko. — Roześmiała się z goryczą. — I to był koniec! Zapotrzebowanie na nas skończyło się. Spełniliśmy swoją funkcję zabawek, a jej właściwie nie obchodziliśmy ani trochę. Oczywiście, wyposażyła nas uczciwie. Znalazła nam dom, zastępczą matkę, dała pieniądze na wykształcenie i niezłą sumkę, byśmy mogli rozpocząć życie. Nikt nie może powiedzieć, że zachowała się nieelegancko. Ale nigdy nas nie chciała... pragnęła tylko własnego dziecka.

— Trudno mieć do niej pretensje — zauważył łagodnie Dermot.

— Nie mam pretensji, że pragnęła własnego dziecka! Nie! Ale co z nami? Zabrała nas od rodziców, z miejsc, do których należeliśmy. Można by powiedzieć, że matka sprzedała mnie za miskę soczewicy. Ale przecież nie sprzedała mnie, by zyskać coś dla siebie. Sprzedała, gdyż była głupią kobietą, która wierzyła, że zyskam dostatek, wykształcenie i będę miała wspaniałe życie. Myślała, że robi to, co dla mnie najlepsze. Najlepsze! Gdyby tylko wiedziała...

— Widzę, że wciąż jest pani rozgoryczona.

— Nie, teraz już nie. To minęło. Jestem rozgoryczona, bo pamiętam, bo wróciłam do tamtych dni. Wszyscy byliśmy wtedy dosyć zgorzkniali.

— Wszyscy?

— No, może nie Rod. Rod nigdy się niczym nie przejmował. Poza tym był mały. Ale Angus przeżywał to tak jak ja, tylko był bardziej zacięty. Powiedział, że kiedy dorośnie, powróci i zabije to dziecko, które jej się urodzi.

— Wiedziała pani o dziecku?

— Oczywiście, że wiedziałam. I wszyscy wiedzą, co się stało. Szalała ze szczęścia, że jest w

cięży, a potem dziecko urodziło się idiotą! Dobrze jej tak. Idiota czy nie, nie chciała nas z powrotem.

— Bardzo ją pani nienawidzi.

— A nie powinnam? Wyrządziła mi najgorszą krzywdę, jaką można sobie wyobrazić. Pozwoliła wierzyć, że jesteśmy kochani i bardzo potrzebni, a potem pokazała, że to wszystko wielkie oszustwo.

— Co stało się z pani dwoma... dla wygody nazwę ich braćmi?

— Jakoś się rozeszliśmy. Rod ma farmę gdzieś na Środkowym Zachodzie. Jest z natury optymistą, zawsze był. Angus? Nie mam pojęcia. Straciłam go z oczu.

— Czy wciąż czuł się rozgoryczony?

— Nie przypuszczam — odparła Margot. — Takie uczucia nie trwają aż tak długo. Kiedy ostatni raz go widziałam, powiedział, że spróbuje dostać się na scenę. Nie wiem, czy mu się udało.

— Pani jednak pamięta — stwierdził Dermot.

— Tak, ja pamiętam — przyznała Margot Bence.

— Czy Marina Gregg była zaskoczona, gdy panią zobaczyła? I czy zamówiła te zdjęcia, by zrobić pani przyjemność?

— Ona? — Dziewczyna uśmiechnęła się wzgardliwie. — Nic nie wiedziała o żadnym zamówieniu. Z ciekawości chciałam ją zobaczyć, więc trochę pochodziłam za tą ofertą. Jak już mówiłam, mam pewne wpływy w studio. Chciałam się przekonać, jak teraz wygląda. — Poglądziła blat stołu. — Nawet mnie nie poznała. I co pan na to? Byłam przy niej przez cztery lata, od piątego do dziewiątego roku życia... i nie poznała mnie.

— Dzieci się zmieniają — zauważył Dermot. — Zmieniają się tak bardzo, że trudno je poznać. Mam siostrzenicę; spotkałem ją niedawno i zapewniam panią, że na ulicy minąłbym ją bez słowa.

— Mówi to pan, żebym się poczuła lepiej? Właściwie to mnie nie obchodzi. Chociaż, do diabła, bądźmy szczerzy. Obchodzi mnie. I wtedy mnie obchodziło. Wie pan, ona miała w sobie magię. Marina! Taką cudowną, groźną magię, która chwytała za serce. Może pan kogoś nienawidzić, a wciąż będzie panu na nim zależało.

— Nie przypomniiała się jej pani? Pokręciła głową.

— Nie, nie powiedziałam jej. To ostatnia rzecz, jaką bym zrobiła.

— Czy próbowała ją pani otruć, panno Bence?

Nastrój nagle uległ zmianie. Wstała ze śmiechem.

— Zadaje pan zabawne pytania! Ale przypuszczam, że pan musi. Taka praca. Nie. Zapewniam, że

jej nie zabiłam.

— Nie o to panią pytałem, panno Bence.

Spojrzała na niego, ze zdziwieniem marszcząc brwi.

— Marina Gregg wciąż żyje — przypomniał.

— Jak długo jeszcze?

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— Nie sądzi pan, inspektorze, że ktoś spróbuje znowu i tym razem... tym razem może mu się uda?

— Zostaną podjęte środki ostrożności.

— Och, tego jestem pewna. Oddany mąż stanie na straży i postara się, by nie spotkała jej żadna krzywda.

Uważnie nasłuchiwał, czy w głosie dziewczyny zabrzmiał drwina.

— Co miał pan na myśli mówiąc, że nie o to pan pytał? — rzuciła nagle.

— Zapytałem, czy próbowała pani ją zabić. Pani odpowiedziała, że jej nie zabiła. To prawda, ale przecież ktoś umarł, ktoś został zamordowany.

— To znaczy, że próbowałam zabić Marinę, a zamiast tego zabiłam panią Jak–jej–tam? Dobrze, odpowiem wyraźnie: nie próbowałam otruć Mariny Gregg i nie otrulałam pani Badcock.

— Ale może wie pani, kto to zrobił?

— Zapewniam, inspektorze, że nie mam pojęcia.

— Ale domyśla się pani?

— Och, człowiek zawsze próbuje się czegoś domyślać. — Uśmiechnęła się drwiąco. — Wśród tylu ludzi może się przecież zdarzyć... przecież jest ich tak wielu: ta czarnowłosa sekretarka–robot, ten elegancki Hailey Preston, służący, pokojówki, masażystka, fryzjer, ktoś ze studia... tyle osób... i jedna z nich może nie być tym, kogo udaje.

A kiedy mimowolnie postąpił o krok w jej stronę, gwałtownie potrząsnęła głową.

— Spokojnie, inspektorze — powiedziała. Żartuję tylko. Ktoś poluje na Marinę Gregg, ale nie mam pojęcia, kto to jest. Na prawdę, nie mam najmniejszego pojęcia.

XVI

Pod numerem 16 Zaułka Aubrey młoda pani Baker rozmawiała z mężem. Jim Baker, wysoki, przystojny olbrzym, zajęty był składaniem modelu.

— Sąsiedzi! — powiedziała Cherry. Potrząsnęła energicznie czupryną. — Sąsiedzi! — powtórzyła jadownicie.

Ostrożnie podniosła patelnię, po czym zgrabnie przerzuciła jej zawartość na dwa talerze, jeden trochę bardziej wypełniony niż drugi. Ten pełniejszy postawiła przed mężem.

— Zapiekanka — oznajmiła.

Jim uniósł głowę i pociągnął nosem.

— Smakowicie pachnie — zauważył. — Jaki dziś dzień? Moje urodziny?

— Musisz się bardzo dobrze odżywiać — oświadczyła Cherry. Wyglądała ślicznie w wiśniowo-białym pasiastym fartuchu z falbankami. Jim Baker zrobił miejsce na talerz, odsuwając na bok części składowe odrzutowca. Uśmiechnął się do żony.

— Kto tak powiedział? — zapytał.

— Na przykład moja panna Marple! — odparła Cherry. — A jeśli już o to chodzi — dodała, siadając naprzeciw Jima i przysuwając sobie talerz — to jej samej przydałoby się trochę lepszego jedzenia. Ta stara kocica, Knight, daje jej same węglowodany. O niczym innym nie potrafi myśleć! „Smaczniutki budyń”, „smaczniutki pudding”, „smaczniutki ser z makaronem”. Gumowate puddingi z różowym sosem. I gada, gada, gada przez cały dzień. Dziw, że jej szczeka nie odpadnie.

— No wiesz — mruknął Jim. — Sądzę, że to dieta inwalidów.

— Dieta inwalidów! — parsknęła Cherry. — Panna Marple nie jest inwalidką. Jest po prostu stara. I do wszystkiego się wtrąca.

— Kto? Panna Marple?

— Nie. Ta panna Knight. Ona mi mówi, jak mam wszystko robić! Nawet próbuje uczyć mnie gotować! Lepiej znam się na gotowaniu niż ona.

— Jesteś świetną kucharką, Cherry — przyznał z podziwem Jim.

— Jest coś w gotowaniu, w co trzeba się wgryźć.

Jim wybuchnął śmiechem.

— Właśnie się wgryzam. Dlaczego twoja panna Marple twierdzi, że muszę się dobrze odżywiać? Myślisz, że źle wyglądałem, gdy przedwczoraj przyszedłem naprawić półkę w łazience?

Cherry też się roześmiała.

— Powiem ci, co mi mówiła. Powiedziała: „Masz przystojnego męża, moja droga. Bardzo przystojnego.” Zupełnie jak w tych książkach, które czytają w odcinkach w telewizji.

— Mam nadzieję, że się z nią zgadzasz? — zapytał z uśmiechem.

— Powiedziała, że ujdiesz.

— Ujdę, rzeczywiście! Bardzo delikatne określenie.

— A potem powiedziała: „Musisz dbać o swego męża. Karm go odpowiednio. Mężczyźni potrzebują solidnych, mięsnych posiłków, dobrze przygotowanych”.

— Coś podobnego!

— Mówiła jeszcze, żebym sama szykowała ryby, a nie kupowała gotowe, takie co się tylko podgrzewa w piekarniku. No, nie robię tego zbyt często — dodała z godnością.

— Jeśli chodzi o mnie, możesz tego nie robić wcale. Zupełnie inaczej smakują.

— O ile w ogóle zauważasz, co jesz — odparła Cherry. — A nie jesteś zajęty tymi odrzutowcami, które ciągle sklejasz. Tylko mi nie mów, że kupiłeś ten model na gwiazdkę dla twojego siostrzeńca Michaela. Kupiłeś, żeby samemu się pobawić.

— Jest jeszcze na niego za mały — wyjaśnił przeproszającym tonem Jim.

— I pewnie będziesz dłużej przy nim przez cały wieczór. A może trochę muzyki? Kupiłeś tę płytę, o której mi mówiłeś?

— Tak, kupiłem. 1812 Czajkowskiego.

— To taka głośna z bitwą, prawda? — spytała Cherry. Skrzywiła się. — Pani Hartwell to się nie spodoba! Sąsiedzi! Już dość mam tych sąsiadów. Cały czas narzekają i skarżą się. Nie wiem, którzy są gorsi: Hartwellowie czy Barnaby. Haftwellowie stukają w ścianę czasem już za dwadzieścia jedenasta. A to naprawdę przesada! W końcu nawet telewizja i BBC nadają dłużej. Dlaczego nie możemy posłuchać muzyki, jeśli lubimy? I stale proszą, żeby przyciszyć.

— Tego nie można przyciszać — oznajmił z powagą Jim. — Nie otrzymasz właściwego tonu bez odpowiedniego poziomu dźwięku. Wszyscy o tym wiedzą. W kręgach muzycznych to powszechnie uznawany fakt. A co z ich kotem? Zawsze wchodzi do naszego ogrodu i rozkopuje grządki akurat wtedy, kiedy je wyrównałem.

— Wiesz, co ci powiem Jim? Dość już mam tego miejsca.

— Nie przeszkadzali ci sąsiedzi w Huddersfield — zauważył Jim.

— To nie to samo. Wiesz, tam byłeś zupełnie niezależny. Jeśli miałeś kłopoty, ktoś ci pomagał, a potem ty pomagałeś. Ale nikt się nie wtrącał. A w takich nowych osiedlach jak nasze jest coś, co zmusza ludzi do podglądania sąsiadów. Pewnie dlatego, że wszyscy jesteśmy nowi. Liczba plotek, opowieści, pism do rady i innych rzeczy zupełnie mnie dobija! W prawdziwych miastach ludzie mają za dużo roboty, by zajmować się takimi głupstwami.

— Coś w tym jest, moja dziewczynko.

— Podoba ci się tu, Jim?

— Mam dobrą pracę, a dom jest zupełnie nowy. Szkoda, że nie ma więcej miejsca. Nawet nie mogę się porządnie przeciągnąć. I przydałby się warsztat.

— Na początku uważałam, że jest śliczny, ale teraz nie jestem taka pewna. To znaczy dom, owszem, uwielbiam tę niebieską farbę i łazienka jest ładna, ale nie lubię tych ludzi i tego, co się dzieje naokoło. Mówiłam ci, że Lily Price i ten jej Harry zerwali ze sobą? Tego dnia, kiedy przyszli oglądać dom, zdarzyła się śmieszna sprawa. Wiesz, ona prawie wypadła przez okno. Mówiła, że zamiast ją łapać, Harry stał tylko jak nadziewane prosię.

— Cieszę się, że z nim zerwała. Od razu widać, że to łobuz odparł Jim.

— Nie warto wychodzić za kogoś tylko dlatego, że dziecko jest w drodze — stwierdziła Cherry. — On wcale nie chciał się z nią ożenić. To nie jest miły człowiek. Panna Marple tak powiedziała — dodała w zamyśleniu. — Rozmawiała o nim z Lily. Lily myślała, że to wariatka.

— Panna Marple? Nie wiedziałem, że w ogóle go widziała.

— A tak. Była tu na spacerze. Upadła, a pani Badcock pomogła jej wstać i zaprosiła do domu. Myślisz, że Arthur i pani Bain się pobiorą?

Jim zmarszczył czoło, podniósł element odrzutowca i sprawdził coś na schemacie konstrukcyjnym.

— Mógłbyś słuchać, kiedy do ciebie mówię — wytknęła mu Cherry.

— A co mówiłaś?

— Arthur Badcock i Mary Bain.

— Na miłość boską, Cherry, przecież jego żona dopiero co umarła! Ach te kobiety! Słyszałem, że jest w strasznym szoku. Podskakuje, gdy ktoś się do niego odezwie.

— Ciekawe, czemu... Nie sądziłam, że tak to przeżyje.

— Czy możesz sprzątnąć trochę z tego końca stołu? — zapytał Jim, nie zdradzając żadnego zainteresowania sprawami sąsiadów. — Tak, żebyśmy mógł rozłożyć te części.

Cherry westchnęła ciężko.

— Żeby w tym domu ktoś zwrócił na człowieka uwagę, musi być superodrzurowcem albo turbośmigłowcem — oświadczyła z goryczą. — Ty i te twoje modele!

Ustawiała stos naczyń na tacy i zaniósła do zlewu. Postanowiła na razie nie zmywać. Tę konieczność codziennego życia zawsze odkładała jak najdłużej. Zamiast tego włożyła wszystko na chybił trafił do zlewu, narzuciła sztruksowy żakiet i skierowała się do wyjścia. Zatrzymała się tylko, by krzyknąć przez ramię:

— Wychodzę na chwilę, wpadnę do Gladys Dixon. Chcę pożyczyć od niej wykrój z „Vogue’a”.

— Dobrze, staruszkó. — Jim pochylił się nad modelem. Rzucając jadowite spojrzenia na drzwi wejściowe sąsiadów,

Cherry skręciła na rogu Zaułka Blenheim i zatrzymała się przy numerze szesnastym. Drzwi były otwarte, więc Cherry zastukała i weszła do przedpokoju wołając:

— Jest Gladys?

— To ty, Cherry? — Pani Dixon wyjrzała z kuchni. — Znajdziesz ją na górze. Szyje coś.

— Dobrze. Zajrzę do niej.

Cherry weszła po schodach do małej sypialni, w której Gladys, pulchna dziewczyna z nieciekawą twarzą, klęczała na podłodze. Policzki miała zarumienione, w ustach kilka szpilek. Rozpinała papierowy wykrój.

— Cześć Cherry. Patrz, dostałam śliczny materiał na wyprzedaży u Harpera w Much Benham. Zamierzam zrobić takie wdzianko krzyżujące się z przodu, wiązane z tyłu i z falbankami.

— Ładne będzie — przyznała Cherry. Gladys wstała lekko zdyszana.

— Nie najlepiej się czuję — powiedziała.

— Nie powinnaś robić wykrojów zaraz po kolacji — upomniała ją Cherry. — Za bardzo się schyłasz.

— Chyba powinnam trochę schudnąć — westchnęła Gladys. Usiadła na łóżku.

— Coś nowego w studio? — spytała Cherry zawsze spragniona filmowych sensacji.

— Niewiele. Chociaż dużo gadają. Marina Gregg wróciła wczoraj na plan i zrobiła straszną aferę.

— O co?

— Nie smakowała jej kawa. Wiesz, przed południem dają im kawę. Upiła jeden łyk i stwierdziła,

że coś jej się nie podoba. To oczywiście nonsens. Nic tam nie mogło być. Kawę przynoszą w dzbanku prosto z bufetu. Naturalnie dla niej zawsze nalewam w taką specjalną porcelanową filiżankę, bardzo elegancką, inną niż dla pozostałych. Ale kawa jest ta sama. Więc nic nie mogło w niej być dziwnego.

— To chyba nerwy — uznała Cherry. — I co się stało?

— Och, nic. Pan Rudd uspokoił wszystkich. On jest wspaniały. Zabrał tę kawę i wylał do zlewu.

— To niezbyt mądrze — stwierdziła wolno Cherry. — Dlaczego tak sądzisz?

— Wiesz, gdyby rzeczywiście z tą kawą było coś nie tak, to teraz nikt już się nie dowie.

— Myślisz, że mogło być? — spytała przestraszona Gladys.

— Wiesz... — Cherry wzruszyła ramionami. — W końcu w jej koktajlu na przyjęciu naprawdę było coś dziwnego. Dlaczego nie w kawie? Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem, spróbuj znowu.

Gladys zadrżała.

— To mi się nie podoba, Cherry. Ktoś się na nią wziął. Dostaje więcej listów, wiesz, takich z pogrózkami. I jeszcze ten numer z popiersiem.

— Jakim popiersiem?

— Marmurowym. Na planie. To róg pokoju w jakimś austriackim pałacu czy gdzieś. Obrazy, porcelana i marmurowe popiersia. To stało na półce i chyba nie ustawili go porządnie. W każdym razie drogą przejechała taka wyładowana ciężarówka i trochę zatrzęsło. I ono spadło dokładnie na krzesło, na którym siedzi Marina w wielkiej scenie z hrabią Jakimstam. Rozpadło się na kawałeczki! Na szczęście wtedy nie kręcili. Pan Rudd zabronił o tym mówić i postawił inne krzesło. A kiedy przyszła wczoraj i zapytała, czemu je zmienił, powiedział, że tamto było z nieodpowiedniego okresu, a to lepiej wygląda w kamerze. Ale był zaniepokojony. Widziałam wyraźnie.

Dziewczęta spojrzały na siebie.

— To na swój sposób ekscytujące — oświadczyła Cherry. — A jednak jakoś nie bardzo...

— Chyba rzucę pracę w tym bufecie — stwierdziła Gladys.

— Dlaczego? Przecież ciebie nikt nie chce otruć ani nikt ci nie zrzuca, marmurowych popiersi na głowę!

— Nie. Ale nie zawsze ginie osoba, którą chcą zabić. Może trafić na kogoś innego. Jak wtedy na Heather Badcock.

— To prawda — przyznała Cherry.

— Wiesz — dodała Gladys. — Zastanawiałam się. Byłam wtedy w Gossington Hall i pomagałam. I znalazłam się bardzo blisko.

— Kiedy umarła Heather?

— Nie, kiedy ona rozlała koktajl. Cały wylał się na sukienkę. Piękna suknia z ciemnoniebieskiej tafty. Uszyła sobie nową na to przyjęcie. I wiesz, to było zabawne.

— Co było zabawne?

— Wtedy niczego nie zauważyłam. Ale kiedy o tym myślę, to rzeczywiście wydaje się zabawne.

Cherry spojrzała wyczekująco. Odebrała przymiotnik „zabawne” w takim sensie, w jakim został wypowiedziany. Nie miało to nic wspólnego z humorem.

— Na miłość boską, co było zabawne? — dopytywała się Cherry.

— Jestem prawie pewna, że zrobiła to umyślnie.

— Umyślnie rozlała koktajl?

— Tak. To zabawne, nie?

— Na zupełnie nową suknię? Nie wierzę.

— Zastanawiam się — dodała Gladys — co Arthur Badcock zrobi z sukienkami Heather. Tamta suknia wyczyści się bez problemu. Zresztą jeśli nie, mogłabym ściąć połowę szerokości, miała taką piękną, pełną spódnicę. Jak myślisz czy Arthur Badcock bardzo źle o mnie pomyśli, gdy spróbuję ją od niego odkupić? Prawie nie musiałabym jej nawet przerabiać. I jaki piękny materiał.

— A nie... — Cherry zawahała się. — Nie przeszkadzałoby ci?

— Co takiego?

— Wiesz, nosić suknię, w której umarła kobieta, znaczy umarła w taki sposób...

Gladys szeroko otworzyła oczy.

— O tym nie pomyślałam — wyznała. Zastanawiała się przez chwilę, lecz zaraz odzyskała humor. — Nie rozumiem, czemu miałoby mi to przeszkadzać. W końcu, za każdym razem kiedy kupujesz coś używanego, ktoś to przedtem nosił i może już umarł, prawda?

— Tak. Ale to nie to samo.

— Przesadzasz. Ma taki piękny odcień, to naprawdę drogi materiał. A z tą zabawną sprawą — mówiła dalej w zadumie — chyba jutro rano zajrzę tam w drodze do pracy i pogadam z panem Giuseppe.

— To ten włoski lokaj?

— Tak. Jest strasznie przystojny. Błyszczące oczy. I ma temperament. Kiedy idziemy tam z dziewczętami pomagać, opędza się od nas. — Zachichotała. — Ale nam to nie przeszkadza. Czasem potrafi być bardzo miły... W każdym razie opowiem mu o tym i zapytam, co powinnam zrobić.

— Właściwie nie masz nic do opowiadania — zauważyła Cherry.

— Ale to było zabawne — powtórzyła Gladys, uparcie trzymając się swego ulubionego przymiotnika.

— Myślę — oznajmiła Cherry — że szukasz tylko pretekstu, by spotkać się z panem Giuseppe. Lepiej bądź ostrożna, moja mała. Wiesz jacy oni są! Tapetują sobie ściany aktami ślubu. Gorąca krew i namiętność, tacy są Włosi.

Gladys westchnęła ekstatycznie.

Cheny spojrzała na pulchną, okrągłą, lekko piegowatą twarz przyjaciółki i uznała, że ostrzeżenia są zbędne. Pan Giuseppe, pomyślała, na pewno ma w czym wybierać.

— Aha! — powiedział doktor Haydock. — Widzę, że rozplatamy.

Spoglądał to na pannę Marple, to na stos puszystej, białej, wełny.

— Poradziłeś mi, żebym pruć, skoro nie mogę robić na drutach — odparła panna Marple.

— Widzę, że jesteś bardzo obowiązkowa.

— Pomyliłam się we wzorku na samym początku. Przez to cała robota wyszła nie tak jak trzeba i musiałam wszystko pruć. To bardzo złożony wzór.

— Czym są dla ciebie złożone wzory? To pestka.

— Chyba naprawdę przy moim wzroku powinnam pozostać przy prostych robótkach.

— Szybko się znudzisz. Cóż, jestem zaszczycony, że postępujesz zgodnie z moją radą.

— Przecież zawsze stosuję się do twoich dobrych rad, drogi doktorze.

— Tylko wtedy, gdy ci to odpowiada — odparł Haydock.

— Powiedz mi, czy naprawdę robotę na drutach miałeś na myśli, gdy udzieliłeś mi tej rady?

Dostrzegł błysk w jej oczach i mrugnął w odpowiedzi.

— A jak idzie z rozplataniem morderstwa? — zapytał.

— Obawiam się, że moje zdolności nie są już takie jak dawniej — westchnęła panna Marple, kręcąc głową.

— Bzdura — oświadczył doktor Haydock. — Tylko nie mów, że nie doszłaś do żadnych wniosków.

— Oczywiście, że doszłam. Bardzo konkretnych wniosków.

— Na przykład? — spytał z ciekawością.

— Jeżeli tego dnia dodano coś do szklanki, a nie całkiem rozumiem jak można było tego dokonać...

— Ktoś mógł mieć przygotowaną truciznę w zakraplaczu — zasugerował Haydock.

— Jesteś takim profesjonalistą — stwierdziła z podziwem panna Marple. — Ale nawet wtedy wydaje mi się dziwne, że nikt tego nie zauważył.

— Morderstwo powinno być nie tylko dokonane, ale i zauważone! O to chodzi?

— Zrozumiałeś dokładnie, co mam na myśli.

— To było ryzyko, które morderca musiał podjąć.

— Och, naturalnie. Nie wątpiłam w to ani przez chwilę. Ale było tam, co stwierdziłam pytając i licząc gości, co najmniej osiemnaście do dwudziestu osób. Wydaje mi się, że wśród dwudziestu osób ktoś musiał to widzieć.

Haydock skinął głową.

— Można by tak przypuszczać. Ale najwyraźniej nikt nie zauważył.

— Zastanawiam się... — powiedziała w zamyśleniu panna Marple.

— A nad czym właściwie się zastanawiasz?

— Wiesz, są trzy możliwości. Zakładam, że przynajmniej jedna osoba widziała. Jedna z dwudziestu. Moim zdaniem to rozsądne założenie.

— Mam wrażenie, że czekasz na pytanie — stwierdził Haydock.

— A ja widzę, że czeka mnie jedno z tych straszliwych zadań z prawdopodobieństwa, gdzie sześciu ludzi ma białe kapelusze, sześciu czarne, i trzeba matematycznym wzorem wyliczyć prawdopodobieństwo, że te kapelusze się pomieszają i w jakim stosunku. Jeśli zaczniesz myśleć o takich rzeczach, wpadniesz w obłąd. Jestem o tym przekonany.

— O niczym takim nie myślałam — zapewniła panna Marple. — Myślałam tylko o tym, co jest

możliwe...

— Tak — mruknął Haydock. — W tym jesteś dobra. Zawsze byłaś.

— Można chyba przyjąć — kontynuowała rozpoczętą myśl panna Marple — że przynajmniej jedna z dwudziestu osób powinna być spostrzegawcza.

— Poddaję się — oświadczył Haydock. — Przejdźmy do trzech; możliwości.

— Obawiam się, że mogę je tylko naszkicować. Nie przemyślałam tego do końca. Inspektor Craddock, a przed nim Frank Cornish przesłuchali pewnie wszystkich, którzy tam byli. Gdyby ktokolwiek zobaczył coś podejrzanego, powiedziałby o tym od razu.

— Czy to jedna z tych możliwości?

— Nie, oczywiście, że nie — odparła panna Marple. — Ponieważ tak się nie zdarzyło. Skoro jedna osoba rzeczywiście coś widziała, trzeba wyjaśnić, dlaczego o tym nie mówiła.

— Słucham.

— Możliwość pierwsza — zaczęła panna Marple, a jej policzki zarumieniły się z emocji. — Osoba, która to widziała, nie zdawała sobie sprawy z tego, co widzi. Naturalnie znaczyłoby to, że musiała to być dość głupia osoba. Ktoś, powiedzmy, kto potrafi korzystać z oczu, ale nie z rozumu. Taka osoba zapytana, czy widziała, jak ktoś dodaje coś do szklanki Mariny Gregg, odpowiedziałaby: „Och, nie”. Ale gdybyś zapytał, czy widziała, jak ktoś trzyma rękę nad szklanką Mariny Gregg, odpowiada: „A tak, oczywiście”.

Haydock roześmiał się.

— Muszę przyznać — stwierdził — że człowiek Jakby nie dopuszcza możliwości, że w gronie gości znalazł się idiota. No dobrze, uznaję pierwszą możliwość. Idiota coś zobaczył, idiota nie zrozumiał o co chodzi. A druga?

— Druga jest nieco naciągana, ale myślę, że jednak trzeba ją wziąć pod uwagę. To mogła być osoba, dla której wlewanie czegoś do szklanki było sprawą naturalną.

— Zaraz, zaraz, czy możesz to wyjaśnić?

— Wydaje mi się, że dzisiaj ludzie stale dodają coś do tego, co jedzą lub piją. Za czasów mojej młodości zażywanie lekarstw podczas posiłku uznawano za dowód złego wychowania. Było to równorzędne z wycieraniem nosa przy obiadowym stole. Po prostu nie robiło się tego. Jeśli ktoś musiał brać pigułki, kapsułki czy łyżeczkę mikstury, wychodził z pokoju. Teraz jest inaczej. Kiedy byłam u mojego siostrzeńca, Raymonda, zauważyłam, że goście zjawiają się ze sporą ilością małych buteleczek, pigułek i tabletek. Zażywają je przy jedzeniu, po jedzeniu lub przed jedzeniem. Trzymają aspirynę i takie rzeczy w torebkach i biorą je przez cały czas, przy filiżance herbaty lub kawy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— O tak — przytaknął Haydock. — Teraz zrozumiałem i to jest bardzo ciekawe spostrzeżenie. Chcesz powiedzieć, że ktoś... — przerwał. — Może sama dokończ.

— Chcę powiedzieć — powiedziała panna Marple — że to całkiem możliwe, bezczelne, lecz możliwe, że ktoś chwycił tę szklankę, którą oczywiście każdy uznaje wtedy za jego czy jej drink, i całkiem otwarcie dodał to, co zostało dodane. W takim przypadku, widzisz, ludzie nawet by się nad tym nie zastanawiali.

— On albo ona, nie mogłaby jednak być tego pewna — zauważył Haydock.

— Właśnie — zgodziła się panna Marple. — Byłaby to gra, duże ryzyko, ale mogło się zdarzyć. Ale — mówiła — istnieje też trzecia możliwość.

— Możliwość pierwsza: idiota. Możliwość druga: ryzykant. Jaka jest trzecia?

— Ktoś widział, co się zdarzyło i świadomie trzyma to w tajemnicy.

Haydock zmarszczył brwi.

— Z jakich to powodów? — zapytał. — Sugerujesz szantaż? Jeśli tak...

— Jeśli tak, to jest to sprawa bardzo niebezpieczna.

— Rzeczywiście. — Spojrzał badawczym wzrokiem na spokojną, starszą damę ze stosem białej, miękkiej, puszystej wełny na kolanach. — Czy tę trzecią możliwość uważasz za najbardziej prawdopodobną?

— Nie — odparła panna Marple. — Nie posunęłabym się tak daleko. W tej chwili nie mam dostatecznych podstaw. Chyba... — dodała ostrożnie. — Chyba że zginie ktoś jeszcze.

— Myślisz, że ktoś jeszcze zostanie zamordowany?

— Mam nadzieję, że nie. Wierzę i modlę się, żeby nie. Ale to zdarza się tak często, doktorze. Jest to smutny i przerażający fakt. Ale zdarza się tak często.

XVII

Ella odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się i wyszła z budki telefonicznej. Była z siebie bardzo zadowolona.

— I co, Wszechwiedzący Nadinspektorze Craddock! — powiedziała do siebie. — W tym fachu jestem dwa razy lepsza od ciebie. Próbuję teraz z przyjemnością wariacji na temat: „Uciekaj, wszystko się wydało!”.

Z wielką przyjemnością wyobrażała sobie reakcję osoby na końcu linii. Ten cichy, groźny szept dobiegający ze słuchawki:

„Ktoś cię widział...”

Roześmiała się bezgłośnie. Kąciki ust uniosły się w górę, malując wyraz kociego okrucieństwa. Student psychologii przyglądałby się teraz panie Zielinsky z dużym zainteresowaniem. Jeszcze nigdy nie miała takiego poczucia władzy. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo uderzyło jej to do głowy...

Niech diabli porwą tę staruchę, pomyślała. Idąc wzdłuż podjazdu czuła na sobie wzrok pani Bantry.

Bez specjalnych powodów przemknęła jej myśl: „Poty dzban wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie...”

Bzdura. Nikt nie może podejrzewać, że to właśnie ona szeptała tamte groźne słowa...

Kichnęła.

— Do diabła z tym katarem.

Kiedy wróciła do gabinetu, Jason Rudd stał przy oknie.

Odwrócił się.

— Nie wiedziałem, gdzie jesteś.

— Musiałam porozmawiać z ogrodnikiem. Mieli... — przerwała widząc wyraz jego twarzy. — O co chodzi? — spytała ostro.

Oczy Jasona wydawały się osadzone głębiej niż zwykle. Zniknęła wesołość kłowna. Ten człowiek przeżywał ciężkie chwile. Widywała go już napiętego, ale nigdy tak bardzo.

— O co chodzi? — powtórzyła. Podał jej kartkę papieru.

— To wynik analizy tej kawy. Kawy, na którą skarżyła się Marina. I której nie chciała pić.

— Wysłałeś to do analizy? — Była zaskoczona. — Ale przecież wylałeś kawę do zlewu. Sama widziałam.

Szerokie usta skrzywiły się w uśmiechu.

— Jestem dobry w takich sztuczkach, Ello. Nie wiedziałaś o tym, prawda? Tak, wylałem większą część, lecz zachowałem trochę i zabrałem do analizy.

Spojrzała na trzymaną w dłoni kartkę.

— Arszenik — przeczytała ze zdumieniem.

— Tak, arszenik.

— Więc Marina miała rację, że smakuje gorzko?

— Niezupełnie. Arszenik nie ma smaku. Instykt ją ostrzegał.

— A myśmy uważali, że znowu zaczyna histeryzować!

— Bo histeryzuje! Kto by nie histeryzował? Ta kobieta padła martwa niemal u jej stóp. Dostaje listy z pogrózkami, jeden po drugim. Dziś nie przyszedł żaden, tak?

Ella pokręciła głową.

— Kto podrzuca te paskudztwa? Zresztą to nic trudnego przy tych otwartych oknach. Każdy może się wśliznąć.

— Chcesz powiedzieć, że powinniśmy wszystko zamykać i ryglować? Przecież jest upał. W końcu mamy strażnika na terenie.

— Tak, a ja nie chcę jej straszyć bardziej niż potrzeba. Listy z pogrózkami to głupstwo. Ale arszenik, Ello, arszenik to zupełnie inna sprawa...

— Nikt nie mógłby zatruć jedzenia w domu.

— Nie mógłby, Ello? Naprawdę?

— Ktoś by go zauważył. Osoby nieuprawnione...

Przerwał jej.

— Ludzie robią różne rzeczy dla pieniędzy.

— Ale nie morderstwo!

— Nawet to. Zresztą mogli sobie nie zdawać sprawy, że to morderstwo... Służba...

— Jestem pewna, że służba jest poza wszelkimi podejrzeniem.

— Albo Giuseppe. Wątpię czy zaufałbym Giuseppe, gdyby w grę wchodziły pieniądze... Oczywiście jest z nami już od pewnego czasu, ale...

— Czy musisz tak się dręczyć, Jasonie?

Opadł ciężko na fotel. Pochylił się i wsunął długie ręce między kolana.

— Co robić? — zapytał cicho. — Mój Boże, co mam robić?

Ella nie odpowiadała. Siedziała tylko i patrzyła na niego.

— Była tu taka szczęśliwa — rzekł Jason.

Mówił bardziej do siebie niż do Elli, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt na dywanie. Gdyby podniósł głowę, wyraz twarzy sekretarki mógłby go zaskoczyć.

— Była szczęśliwa — powtórzył. — Miała nadzieję, że będzie i naprawdę była. Mówiła to tego dnia, gdy pani Jak–jej–tam...

— Bantry?

— Tak. Kiedy pani Bantry przysłała na herbatę. Powiedziała, że jest tak spokojnie i że wreszcie znalazła miejsce, gdzie może osiąść, gdzie jest szczęśliwa i bezpieczna. Mój Boże, bezpieczna!

— Długo i szczęśliwie? — W głosie Elli zabrzmiała ironia. — Tak, to brzmi zupełnie jak bajka.

— W każdym razie ona w to wierzyła.

— Ale ty nie. Nigdy nie wierzyłeś, że mogła to być prawda? Jason Rudd uśmiechnął się.

— Nie, tak daleko się nie posunąłem. Ale sądziłem, że przez pewien czas, może rok, może dwa lata, będzie spokojna i zadowolona. Mogłaby się odrodzić. Odzyskałaby wiarę w siebie. Wiesz, ona potrafi być szczęśliwa. Zachowuje się wtedy jak dziecko. Zupełnie jak dziecko. A teraz... teraz musiało się to zdarzyć. Ella poruszyła się niespokojnie.

— Nam wszystkim zdarzają się różne rzeczy — rzuciła szorstko. — Takie jest życie. Trzeba się z tym pogodzić. Jedni to potrafią, inni nie. Ona należy do tych drugich.

Kichnęła.

— Znowu masz katar?

— Tak. A przy okazji, Giuseppe pojechał do Londynu.

Jason był trochę zdziwiony.

— Do Londynu? Po co?

— Jakieś rodzinne kłopoty. Ma krewnych w Soho i ktoś tam ciężko zachorował. Poszedł z tym do Mariny, a ona się zgodziła, więc dałam mu wolny dzień. Wróci dziś wieczorem. Nie masz nic przeciw temu, prawda?

— Nie — odparł Jason. — Nie mam.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju.

— Gdybym mógł ją stąd zabrać... teraz... natychmiast.

— Zerwać zdjęcia? Zastanów się.

Podniósł głos.

— Potrafię myśleć tylko o Marinie. Czy nie rozumiesz? Grozi jej niebezpieczeństwo. Tylko to mnie interesuje.

Gwałtownie otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Raz jeszcze kichnęła i wstała.

— Lepiej pójdę po inhalator.

Wyszła z pokoju i poszła do sypialni, a jedno słowo odbijało się echem w jej umyśle.

Marina... Marina... Marina... Wiecznie Marina...

Ogarniała ją wściekłość. Z trudem się opanowała. Weszła do łazienki, chwyciła inhalator, wsunęła wylot do nosa i nacisnęła.

Ostrzeżenie nadeszło o ułamek sekundy za późno... Mózg rozpoznał obcy zapach gorzkich migdałów... jednak nie dość szybko, by powstrzymać ściskające palce.

XVIII

Frank Cornish odłożył słuchawkę.

— Panna Brewster wyjechała z Londynu na jeden dzień oznajmił.

— Doprawdy? — zdziwił się Craddock.

— Myślisz, że ona...

— Nie wiem. Nie powinienem jej podejrzewać, ale nie wiem. A Ardwyck Fenn?

— Nie ma go. Zostawiłem wiadomość, żeby do ciebie zadzwonił. Margot Bence, fotografik osobowości, wykonuje jakieś zlecenie za miastem. Jej zniewieściały partner nie wiedział gdzie, a przynajmniej twierdzi, że nie wie. A lokaj wyruszył do Londynu.

— Zastanawiam się, czy lokaj nie wyjechał na stałe — stwierdził w zadumie Craddock. — Chorzy krewni zawsze budzą moje podejrzenia. Dlaczego tak nagle mu zależało, żeby akurat dziś wybrać się do Londynu?

— Przed wyjazdem mógł bez trudu wlać cyjanek do inhalatora.

— Każdy mógł.

— Sądzę, że wiele na niego wskazuje. Trudno przypuszczać, żeby był to ktoś z zewnątrz.

— Och, wcale nie trudno. Trzeba tylko dobrze wybrać moment. Zostawić samochód w którejś z tych bocznych alejek, zaczekać, aż wszyscy będą, powiedzmy, w jadalni, wśliznąć się przez okno i na górę. Krzewy rosną całkiem blisko domu.

— Cholernie ryzykowne.

— Wiesz przecież, że ten morderca nie boi się ryzyka. To było jasne od samego początku.

— Mieliśmy strażnika na terenie posiadłości.

— Wiem. Jeden nie wystarczy. Dopóki chodziło tylko o anonimowe listy, nie było takiej potrzeby. Marina Gregg lepiej się czuła pod strażą. Nie przyszło mi do głowy, że jeszcze komuś grozi niebezpieczeństwo. Ja...

Zadzwonił telefon. Cornish podniósł słuchawkę.

— To z „Dorchester”. Dzwoni Ardwyck Fenn. Podał słuchawkę Craddockowi.

— Pan Fenn? Mówi Craddock.

— Słyszałem, że pan do mnie dzwonił. Nie było mnie cały dzień.

— Przykro mi to mówić, panie Fenn, ale panna Zielinsky zmarła tego ranka... otruta cyjankiem.

— Doprawdy? Jestem zaszokowany. Wypadek? Czy może nie wypadek?

— Nie, nie wypadek. Ktoś nalał kwasu pruskiego do inhalatora, którego zwykle używała.

— Rozumiem. Tak, rozumiem... — Przez chwilę trwała cisza. — A dlaczego, jeśli mogę spytać, dzwonił pan do mnie w tej przykrej sprawie?

— Znał pan pannę Zielinsky, panie Fenn?

— Oczywiście, że ją znałem. Od kilku lat. Ale nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

— Mieliśmy nadzieję, że może mógłby pan nam pomóc.

— W jaki sposób?

— Zastanawialiśmy się, czy potrafiłby pan domyślić się, dlaczego zginęła. Była obca w tym kraju. Prawie nic nie wiemy o jej krewnych, znajomych i o jej życiu.

— Moim zdaniem właściwą osobą, która może wyjaśnić te kwestie, jest Jason Rudd.

— Naturalnie. Pytaliśmy go. Istnieje Jednak nikła szansa, że powie nam pan o czymś, o czym on nie wiedział.

— Obawiam się, że nic z tego. Mogę tylko potwierdzić, że Ella Zielinsky była bardzo zdolną, młodą kobietą i znakomitą sekretarką. Nigdy nie zetknąłem się z nią na gruncie towarzyskim.

— Więc nic nie może pan nam zasugerować?

Craddock oczekiwał stanowczego nie, którego — ku swemu zaskoczeniu — nie usłyszał. Zamiast tego zapadła cisza. Ardwyck Fenn oddychał dość ciężko do mikrofonu.

— Jest pan tam jeszcze, nadinspektorze?

— Tak, panie Fenn, jestem.

— Postanowiłem powiedzieć panu coś, co może się przydać. Gdy pan usłyszy o co chodzi, zrozumie pan, że miałem wszelkie powody, by zatrzymać to dla siebie. Sądzę jednak, że w ostatecznym rozrachunku nie byłoby to rozsądne. Fakty są takie. Kilka dni temu odebrałem telefon. Ktoś odezwał się szeptem. Powiedział, teraz cytuję: „Ktoś cię widział... wiem, że to ty wrzuciłeś truciznę do szklanki... Nie wiedziałeś, że jest świadek, prawda? To na razie wszystko. Wkrótce dowiesz się, co masz robić”.

Craddock wydał okrzyk zdumienia.

— Zaskakujące, prawda, panie Craddock? Oświadczam panu kategorycznie, że te oskarżenia były absolutnie bezpodstawne. Nie wrzuciłem nic do niczyjej szklanki. I niech ktoś spróbuje mi to udowodnić. Sama sugestia jest całkowicie absurdalna. Ale można by sądzić, że panna Zielinsky próbowała szantażu, prawda?

— Rozpoznał pan jej głos?

— Nie da się rozpoznać szeptu. Ale to z pewnością była Ella Zielinsky.

— Skąd pan wie?

— Ten szeptacz kichnął głośno, zanim się rozłączył. Wiem, że panna Zielinsky cierpiała na katar sienny.

— I co pan o tym sądzi?

— Sądzę, że panna Zielinsky w pierwszej próbie trafiła na niewłaściwą osobę. Możliwe, że później odniosła większy sukces. Szantaż może być niebezpieczną grą.

Craddock opanował się.

— Dziękuję za to zeznanie, panie Fenn. Oczywiście z przyczyn formalnych będę musiał sprawdzić, co pan robił przez cały dzień.

— Bardzo proszę. Mój kierowca udzieli panu dokładnych informacji.

Craddock odłożył słuchawkę i powtórzył wyznanie Ferma. Cornish gwizdnął.

— Albo całkowicie uwolnił się od podejrzeń, albo...

— Albo fenomenalnie blefuje. To możliwe. Ten człowiek na pewno byłby do tego zdolny. Jeśli istnieje choćby minimalna szansa, że Ella Zielinsky pozostawiła gdzieś notatki o swoich podejrzeniach, to takie chwycenie byka za rogi jest znakomitą zagrywką.

— A ego alibi?

— W swoim czasie trafialiśmy już na doskonałe fałszywe alibi — mruknął Craddock. — A jego stać na to, by sobie kupić równie dobre.

Było dobrze po pomocy, kiedy Giuseppe wrócił do Gossington Hall. Przyjechał taksówką z Much Benham, gdyż ostatni pociąg do St Mary Mead już odjechał.

Był w znakomitym nastroju. Wsiadł i zapłacił przy bramie, po czym ruszył skrótem przez krzaki.

Własnym kluczem otworzył kuchenne drzwi. Dom był cichy i mroczny. Giuseppe zamknął i zaryglował drzwi. Ruszając na schody, w stronę swego wygodnego pokoju z łazienką, poczuł przeciąg — pomyślał, że ktoś zostawił otwarte okno. Postanowił się tym nie przejmować. Z uśmiechem ruszył na górę i wsunął klucz do zamka. Miał zwyczaj zawsze zamykać swój pokój. Kiedy przekręcił klucz i otworzył drzwi, poczuł na karku ucisk czegoś twardego i okrągłego. Jakiś głos cicho powiedział:

— Podnieś ręce i nie krzycz.

Giuseppe natychmiast uniósł ręce do góry. Nie miał ochoty ryzykować.

Ale ta ostrożność była zupełnie zbędna.

Spust został przyciśnięty... Padł jeden strzał, zaraz potem... drugi.

Giuseppe upadł na twarz.

Bianca podniosła głowę z poduszki.

Słyszała strzał... Była prawie pewna, że słyszała strzał... Odczekała kilka minut. Potem uznała, że chyba się pomyliła i zasnęła znowu.

XIX

— To zbyt straszne — stwierdziła panna Knight. Odstawiła pakunki, dysząc ciężko.

— Coś się stało? — spytała panna Marple.

— Naprawdę wolę pani o tym nie mówić, moja złociutka, naprawdę. To byłby dla pani szok.

— Jeśli mi pani nie powie — oznajmiła panna Marple — zrobi to ktoś inny.

— O Boże, to rzeczywiście prawda — przyznała panna Knight. — Tak, niestety. Wszyscy ostatnio za dużo mówią. Tak właśnie jest. Sama nigdy niczego nie powtarzam. Jestem bardzo ostrożna.

— Mówiła pani — przypomniała panna Marple — że przydarzyło się coś straszego.

— Prawie zemdlalam, kiedy to usłyszałam — odparła panna Knight. — Jest pani pewna, że nie czuje pani przeciągu z tego okna, złociutka?

— Lubię trochę świeżego powietrza.

— Ach, ale nie możemy się przecież przeziębic? — stwierdziła panna Knight przekornie. — Powiem pani coś. Wyskoczę teraz na chwilę i szybko przygotuję pyszne grzane piwo z jajkiem. Lubimy chyba takie rzeczy, prawda?

— Nie wiem, czy pani lubi — powiedziała panna Marple. — Będę szczęśliwa, jeśli przyszykuje sobie pani coś takiego. O ile ma pani ochotę.

— No, no — panna Knight pogroziła jej palcem. — Lubimy sobie pożartować, co?

— Miała mi pani coś powiedzieć — przypomniała panna Marple.

— No, nie ma się czym przejmować ani denerwować, bo jestem pewna, że nie ma to z nami nic wspólnego. Ale przy tych wszystkich amerykańskich gangsterach i tych ludziach, no cóż, właściwie trudno się temu dziwić.

— Zginął ktoś jeszcze — stwierdziła panna Marple. — Zgadza się?

— To bardzo bystre spostrzeżenie, złociutka. Nie wiem, skąd coś takiego przyszło pani do głowy.

— Właściwie... — Panna Marple zamyśliła się. — Właściwie oczekiwałam czegoś takiego.

— Och, doprawdy! — wykrzyknęła panna Knight.

— Zawsze ktoś coś widzi. Tylko czasami chwilę trwa, zanim zda sobie sprawę, co właściwie

zauważył. Kto zginął?

— Ten włoski lokaj. Został zastrzelony nocą.

— Rozumiem, Tak, to naturalnie bardzo prawdopodobne, choć sądziłam, że wcześniej uświadomił sobie wagę swoich spostrzeżeń.

— Doprawdy! — wykrzyknęła powtórnie panna Knight. — Mówi pani tak, jakby wszystko o tym wiedziała. Dlaczego on miał być zabity?

— Przypuszczam — powiedziała panna Marple z zadumą — że usiłował kogoś szantażować.

— Mówili, że wyjechał wczoraj do Londynu.

— Faktycznie, to bardzo ciekawe i wiele sugeruje.

Panna Knight wyszła do kuchni, myśląc o krzepiącym napoju. Panna Marple siedziała zadumana, aż przerwało jej głośnie, napastliwe brzęczenie odkurzacza i głos Cherry, wyśpiewujący najnowszy przebój. „Ty powiedziałaś mnie, a ja powiedziałam tobie.”

Panna Knight wychyliła się zza drzwi kuchni.

— Może trochę ciszej. Cherry — powiedziała. — Nie chcesz chyba przeszkadzać pannie Marple? Nie możesz zachowywać się tak bezmyślnie.

Zamknęła drzwi, a Cherry powiedziała do siebie, a może do świata jako takiego:

— A kto ci powiedział, że możesz się do mnie zwracać Cherry, stara czarownico?

Odkurzacz szumiał nadal, a Cherry śpiewała bardziej ściszym głosem. Panna Marple zawołała ją głośno:

— Cherry! Przyjdź tu na chwilkę.

Cherry wyłączyła odkurzacza i otworzyła drzwi do bawialni.

— Nie chciałam pani przeszkadzać tym śpiewaniem, panno Marple.

— Twój śpiew jest o wiele przyjemniejszy niż ten ohydny hałas odkurzacza — odparła panna Marple. — Ale zdaję sobie sprawę, że trzeba iść z postępem. To tylko strata czasu prosić was, młodych, byście używali miotły i szufelki, jak za dawnych lat.

— Miałabym chodzić na kolanach z szuflą i zmiotką? — Głos Cherry wzniósł się z niepokojem.

— Wiem, że to nie do pomyślenia. Wejdz i zamknij drzwi. Zawołałam cię, bo chcę z tobą porozmawiać.

Cherry posłusznie podeszła bliżej, spoglądając badawczo na pannę Marple.

— Nie mamy wiele czasu. Ta stara... to znaczy panna Knight przyjdzie tu lada chwila z jakimś koktajlem z jajek.

— Sądzę, że dobrze to pani robi — orzekła Cherry. — Doda sił.

— Czy słyszałaś — spytała panna Marple — że ktoś nocą zastrzelił tego lokaja w Gossington Hall?

— Co, tego Włocha?

— Tak. O ile pamiętam, miał na imię Giuseppe.

— Nie — powiedziała Cherry. — Nic o tym nie wiem. Słyszałam, że sekretarka pana Rudda miała wczoraj atak serca i ktoś mówił, że nie żyje. Ale to chyba tylko plotki. Kto pani powiedział o lokaju?

— Panna Knight wróciła z tą wiadomością z zakupów.

— Oczywiście dziś rano jeszcze z nikim nie rozmawiałam — wyjaśniła Cherry. — Przyszłam od razu tutaj. Sądzę, że wiadomość dopiero się rozeszła. Ktoś go zakatrupił?

— Można tak powiedzieć — odparła panna Marple. — A słusznie czy nie, tego jeszcze nie wiem.

— To świetne miejsce do rozmowy — zauważyła Cherry. — Zastanawiam się, czy Gladys zdążyła się z nim zobaczyć — dodała z namysłem.

— Gladys?

— Och, to taka moja przyjaciółka. Mieszka parę domów dalej. Pracuje w bufecie w studio.

— Rozmawiała z tobą o Giuseppe?

— Zdarzyło się coś zabawnego i chciała go zapytać, co on o tym myśli. Ale moim zdaniem to tylko pretekst. Robiła do niego słodkie oczy. Rzeczywiście był przystojny, a ci Włosi umieją podrywać dziewczyny. Mówiłam jej, żeby uważała. Wie pani, jacy są Włosi.

— Wczoraj pojechał do Londynu — poinformowała panna Marple. — Jak słyszałam, wrócił dopiero wieczorem.

— Ciekawe czy zdołała się z nim spotkać, zanim wyjechał.

— A dlaczego chciała się z nim spotkać. Cherry?

— Chodziło o coś, co według niej było zabawne.

Panna Marple spojrzała z zaciekawieniem. Zrozumiała słowo „zabawne” w takim znaczeniu, jakie

miało zwykle dla wszystkich Gladys z sąsiedztwa.

— Ona z kilkoma innymi dziewczętami pomagały na przyjęciu — wyjaśniła Cherry. — Wie pani, wtedy kiedy została otruta pani Badcock.

— Tak? — Panna Marple była bardziej niż kiedykolwiek podniecona. Wyglądała niemal jak foksterier czekający przy mysiej dziurze.

— I tam zdarzyło się coś, co widziała i uznała za dość zabawne.

— Czemu nie powiedziała o tym policji?

— Nie sądziła, że to ważne. W każdym razie pomyślała, że najpierw zapyta pana Giuseppe'a.

— A co właściwie zobaczyła?

— Szczerze mówiąc — wyznała Cherry — to, co mi opowiedziała, to czysta bzdura! Zastanawiam się, czy może tylko tak mówiła, a z panem Giuseppe chciała się zobaczyć w całkiem innej sprawie.

— Ale co powiedziała? — panna Marple była cierpliwa i nieustępliwa.

Cherry zmarszczyła brwi.

— Mówiła o pani Badcock i o koktajlu i że była wtedy całkiem blisko niej. I powiedziała, że sama to zrobiła.

— Co sama zrobiła?

— Wylała koktajl na sukienkę i zupełnie ją zniszczyła.

— Chcesz powiedzieć, że była niezgrabna?

— Niezupełnie. Gladys twierdzi, że zrobiła to umyślnie, że chciała to zrobić. Kiedy się zastanowić, to przecież nie ma sensu. Prawda?

Panna Marple w zdumieniu pokręciła głową.

— Nie, z całą pewnością nie. Zupełnie nie widzę sensu.

— W dodatku miała na sobie nową suknię. Zresztą dlatego o tym rozmawialiśmy. Gladys zastanawiała się, czy mogłaby ją odkupić. Uważa, że plama zmyje się bez trudu, ale trochę się bała iść i prosić pana Badcocka. Ona bardzo dobrze szyje, to znaczy Gladys, i twierdzi, że to był piękny materiał, ciemnobłękitna tafta. Mówiła, że jeśli nawet materiał był całkiem zniszczony w miejscu, gdzie wylał się koktajl, to i tak mogłaby to wyciąć. Prawie połowę szerokości, bo to była taka pełna spódnica.

Panna Marple przez chwilę rozmyślała o problemach krawiectwa, po czym zmieniła temat.

— A czy sądzisz, że ta twoja przyjaciółka, Gladys, mogłaby coś ukrywać?

— Zastanawiałam się, bo nie bardzo rozumiem. Jeśli nie widziała nic więcej, tylko to, jak Heather Badcock umyślnie wylewa na siebie koktajl, to nie rozumiem, o co właściwie chciała pytać pana Giuseppe'a.

— Ja też nie — westchnęła panna Marple. — Ale to zawsze ciekawe, gdy się czegoś nie rozumie. Jeśli nie rozumiesz, co oznacza jakieś wydarzenie, to patrzysz na nie ze złej strony. Chyba że, naturalnie, nie masz pełnych informacji. I o to prawdopodobnie chodzi w tym przypadku. — Westchnęła znowu. — Szkoda, że nie poszła od razu na policję.

Otworzyły się drzwi i wpadła panna Knight, trzymając w dłoni wysoką szklankę ze smakowitą, bladożółtą pianką na wierzchu.

— Proszę, złociutka — powiedziała. — Coś pysznego. Będzie nam smakowało.

Przysunęła mały stolik i ustawiła go obok swojej pracodawczyni. Potem rzuciła okiem na Cherry.

— Odkurzacz — stwierdziła zimno. — Leży w najbardziej kłopotliwym miejscu. Niewiele brakowało, a bym się przewróciła. Każdemu może się to zdarzyć.

— To prawda — potwierdziła Cherry. — Lepiej wezmę się do roboty.

Wyszła z pokoju.

— Doprawdy — oznajmiła panna Knight. — Ta pani Baker! Cały czas muszę jej coś tłumaczyć. Jak można tak zostawiać odkurzacze po całym domu, przychodzić tutaj i gadać, kiedy pani potrzebuje spokoju.

— To ja ją zawołałam — wyjaśniła panna Marple. — Chciałam z nią porozmawiać.

— Mam nadzieję, że wspomniała pani o ścieleniu łóżek. Byłam zaszokowana, kiedy wczoraj szycowała pani pościel. Musiałam układać wszystko od nowa.

— To bardzo uprzejme z pani strony.

— Och, zawsze chętnie pomagam. Dlatego tu jestem, prawda? By pewna osoba, którą obłe znamy, była zadowolona i miała wszelkie wygody. Och, moja złociutka — dodała. — Znow spruła pani swoją robótkę.

Panna Marple oparła się i przymknęła oczy.

— Muszę trochę odpocząć — stwierdziła. — Proszę postawić tu szklankę. Dziękuję. I proszę nie przychodzić i nie przeszkadzać mi przynajmniej przez trzy kwadransy.

— Na pewno nie, złociutka — obiecała panna Knight. — I powiem tej Baker, żeby zachowywała się bardzo cicho.

Stanowczym krokiem wyszła z pokoju.

Przystojny młody Amerykanin rozglądał się wokoło niepewnie.

Układ osiedla go zaskakiwał. Zwrócił się uprzejmie do starszej damy o siwych włosach i zaróżowionych policzkach, która była jedyną istotą ludzką w polu widzenia.

— Przepraszam panią bardzo, czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak znaleźć Załek Blenheim?

Starsza pani zastanowiła się przez chwilę. Zaczął już podejrzewać, że jest głucha i chciał głośniej powtórzyć pytanie, kiedy wreszcie się odezwała.

— Pójdzie pan prosto, skręci w lewo, potem druga na prawo i prosto. A jakiego numeru pan szuka?

— Szesnaście. — Spojrzał na kartkę papieru. — Gladys Dixon.

— Zgadza się — oświadczyła starsza pani. — Ale mam wrażenie, że ona pracuje w Hellingforth Studio. W bufecie. Tam ją pan znajdzie.

— Nie zjawiała się dziś rano — wyjaśnił młody człowiek. — Chcemy ją prosić, by pomogła w Gossington Hall. Brakuje nam ludzi.

— Oczywiście. Podobno wczoraj w nocy ktoś zastrzelił lokaja, prawda?

Młody człowiek był lekko oszołomiony tą wypowiedzią.

— Widzę, że wiadomości szybko się tu rozchodzą — zauważył.

— W istocie — przyznała starsza pani. — Wczoraj zmarła na jakiś atak także sekretarka pana Rudda. — Pokręciła głową. — Straszne. Wręcz nie do wyobrażenia. Do czego to dochodzi?

Nieco później tego samego dnia inny gość odnalazł dom pod numerem 16 w Zaułku Blenheim. Był to detektyw— sierżant William (Tom) Tiddler.

W odpowiedzi na jego głośne pukanie, żółte drzwi otworzyły się, a w progu stanęła mniej więcej piętnastoletnia dziewczyna. Miała długie włosy, nosiła czarne spodnie i pomarańczowy sweter.

— Czy tu mieszka panna Gladys Dixon?

— Szuka pan Gladys? Ma pan pecha. Nie ma jej.

— A gdzie jest? Wyszła gdzieś na cały wieczór?

— Nie. Wyjechała. Tak jakby na wakacje.

— A dokąd wyjechała?

— Trudno powiedzieć — odparła dziewczyna.

Tom Tiddler wykorzystał najbardziej uwodzicielski uśmiech.

— Czy mogę wejść? Czy twoja mama jest w domu?

— Mama jest w pracy. Wróci dopiero po siódmej. Ale nie powie panu więcej niż ja. Gladys wyjechała na wakacje.

— Rozumiem. A kiedy wyjechała?

— Dziś rano. Zupełnie nagle. Powiedziała, że trafiła się jej okazja darmowej podróży.

— A może podałaś mi jej adres?

Dziewczyna potrząsnęła jasnymi włosami.

— Nie mam adresu — odparła. — Gladys powiedziała, że przyśle nam kartkę, jak tylko będzie wiedziała, gdzie się zatrzyma.

Chociaż pewnie nie wysła — dodała. — W zeszłym roku wyjechała do Newquay i nie przysłała nawet widokówki. Zawsze taka była. A poza tym, jak mówi, czemu matki wiecznie muszą się zamartwiać?

— Czy ktoś zapłacił za jej wakacje?

— Na pewno — stwierdziła dziewczyna. — Ostatnio nie miała za dużo pieniędzy, bo w zeszłym tygodniu wybrała się na wyprzedaż.

— Nie przychodzi ci do głowy ktoś, kto mógł zafundować jej tę podróż lub... zapłacić za to, że wyjedzie?

Dziewczyna najeżyła się nagle.

— Niech pan sobie nic nie myśli. Nasza Gladys nie jest taka. Ona i jej chłopak wybierają się razem na wakacje w sierpniu, ale nie ma w tym nic złego. Każdy płaci za siebie. Więc niech pan sobie nic nie myśli.

Tiddler zgodził się pokornie, że nic sobie nie pomyśli, ale jeśli Gladys Dixon przyśle pocztówkę, bardzo chciałby poznać jej adres.

Wrócił na komisariat, by przekazać wynik swych dochodzeń. W studio dowiedział się, że Gladys zadzwoniła dziś rano i zawiadomiła, że nie zjawi się w pracy przez jakiś tydzień. Dowiedział się także o kilku innych sprawach.

— Ostatnio panuje tam wieczne zamieszanie — oznajmił. — Marina Gregg prawie codziennie dostaje ataku hysterii. Stwierdziła, że ktoś zatrul jej kawę. Podobno była gorzka. Strasznie się zdenerwowała. Jej mąż wylał tę kawę do zlewu i poprosił, żeby nie robiła zamieszania.

— Tak? — rzucił Craddock. Było jasne, że to nie koniec przemowy Tiddlera.

— Chodzą plotki, że pan Rudd nie wylał wszystkiego. Wysłał trochę do analizy i tam naprawdę była trucizna.

— Moim zdaniem — rzekł Craddock — to bardzo mało prawdopodobne. Będę go musiał o to zapytać.

Jason Rudd był wyraźnie zdenerwowany.

— Zdaje pan sobie sprawę, inspektorze Craddock, że robiłem to, do czego miałem święte prawo.

— Jeśli podejrzewał pan, panie Rudd, że z tą kawą było coś nie w porządku, lepiej było przekazać ją nam.

— Ani przez chwilę nie podejrzewałem, że coś jest nie w porządku.

— Mimo iż pańska żona skarżyła się na dziwny smak?

— Ach, to! — Rudd uśmiechnął się ze smutkiem. — Od czasu tego przyjęcia wszystko, co je i pije moja żona, ma dziwny smak. A przy tych listach z pogrózkami, które ciągle przychodzą...

— Było ich więcej?

— Jeszcze dwa. Jeden wrzucony przez okno na parterze. Drugi w skrzynce na listy. Proszę, może je pan obejrzyć.

Craddock spojrział. Były wystukane na maszynie, tak jak pierwszy. Jeden głosił: „To już niedługo. Przygotuj się.” Na drugim był rysunek czaszki i skrzyżowanych kości, a pod spodem napis: „To oznacza ciebie, Marino.”

Craddock uniósł brwi.

— Dość dziecinne — zauważył.

— To znaczy, że nie uważa pan, że te listy są naprawdę niebezpieczne?

— Ależ skąd — odparł Craddock. — Umysł mordercy zwykle jest dziecinny. Naprawdę nie wie pan, kto to pisze?

— Nie mam pojęcia — wyznał Rudd. — Chociaż ciągle mam wrażenie, że to raczej makabryczny żart niż prawdziwa groźba. Wydawało mi się, że może... — zawahał się.

— Tak, panie Rudd?

— Może to ktoś z miejscowych, kto... kto był rozemocjonowany tym zabójstwem w dzień przyjęcia. Może ktoś, kto nie lubi aktorów. Istnieją sekty, które uważają aktorstwo za wymysł szatana.

— Uważa pan więc, że pani Gregg nikt naprawdę nie grozi? A ta kawa?

— Nie mam nawet pojęcia, skąd się pan o tym dowiedział — stwierdził z irytacją Rudd.

Craddock pokręcił głową.

— Wszyscy o tym mówili. Takie rzeczy prędzej czy później zawsze się rozchodzą. Ale powinien pan nam powiedzieć. Nawet kiedy miał pan już wyniki analizy, nadal pan nas nie powiadomił.

— Nie — przyznał Jason. — Nie zawiadomiłem. Ale miałem inne sprawy na głowie. Na przykład śmierć biednej Elli. A teraz ta sprawa z Giuseppem. Inspektorze, kiedy będę mógł zabrać stąd moją żonę? Ona jest przerażona.

— Doskonale ją rozumiem. Musi jednak wziąć udział w przesłuchaniach.

— Zdaje pan sobie sprawę, że jej życiu wciąż grozi niebezpieczeństwo?

— Mam nadzieję, że nie. Podjęto wszelkie środki ostrożności...

— Wszelkie środki! Chyba już to kiedyś słyszałem. Nie wierzę w ich skuteczność. Muszę ją stąd zabrać, Craddock. Muszę.

Marina leżała z zamkniętymi oczami na szezlongu w sypialni. Ze zmęczenia i bezustannego napięcia cerę miała ziemistą i bladą. Mąż zatrzymał się i spojrzał na nią. Otworzyła szeroko oczy.

— Czy to był ten Craddock? — Tak.

— O co mu chodziło? O Ellę?

— Ellę... i Giuseppe'a.

Marina zmarszczyła brwi.

— Giuseppe? Dowiedzieli się, kto go zastrzelił?

— Jeszcze nie.

— To jakiś koszmar... Powiedział, że możemy stąd wyjechać?

— Jeszcze nie.

— Dlaczego? Przecież musimy. Czy wytłumaczyłeś mi, że nie mogę tak dzień po dniu czekać, aż ktoś mnie zabije? To niesamowite.

— Podjęto wszelkie środki ostrożności.

— Już to mówili. I nic nie pomogło Elli. Ani Giuseppe. Czy nie rozumiesz, że w końcu mnie dopadną? Wtedy w studio coś było w mojej kawie. Jestem pewna... Gdybyś tylko jej nie wylał! Gdybyśmy ją zachowali, moglibyśmy wysłać ją do analizy, czy jak to tam zwą. Wiedzielibyśmy na pewno...

— Czy byłabyś szczęśliwsza, wiedząc na pewno? Spojrzała na niego uważnie, a źrenice jej oczu rozszerzyły się.

— Nie rozumiem o co ci chodzi. Gdyby wiedzieli na pewno, że ktoś próbuje mnie otruć, pozwoliliby nam wyjechać, uciec stąd.

— Niekoniecznie.

— Ale to nie może trwać dłużej! Ja nie wytrzymam... nie wytrzymam... Musisz mi pomóc, Jasonie. Musisz coś zrobić. Jestem przerażona. Jestem tak straszliwie przerażona... Tu gdzieś czai się wróg. Nie wiem kto to jest... To może być ktokolwiek, każdy. W studio albo w domu. Ktoś, kto mnie nienawidzi. Ale dlaczego? Za co...? Ktoś chce mnie zabić... Ale kto to jest? Kto? Myślałam, byłam prawie pewna, że to Ella. Ale teraz...

— Myślałaś, że to Ella? — Jason był zdumiony. — Dlaczego?

— Bo mnie nienawidziła. Wiem o tym. Czy mężczyźni nigdy nie zauważają takich rzeczy? Była w tobie do szaleństwa zakochana. Pewnie nawet nie miałaś o tym pojęcia. Ale to nie mogła być Ella, bo

Ella nie żyje. Och, Jinks, Jinks, pomóż mi, zabierz mnie stąd w jakieś bezpieczne miejsce...

Poderwała się i wyłamując palce zaczęła krążyć po pokoju.

Reżyser w Jasonie z podziwem obserwował te pełne ekspresji i cierpienia gesty. Muszę je zapamiętać, pomyślał. Może dla Heddy Gabler? Nagle ze zgrozą uświadomił sobie, że patrzy na własną żonę.

— Wszystko będzie dobrze, Marino. Będę cię pilnował.

— Musimy się wynieść z tego straszego domu, natychmiast. Nienawidzę tego miejsca, nienawidzę.

— Posłuchaj, nie możemy zaraz wyjechać.

— Dlaczego? Dlaczego nie?

— Ponieważ zgony powodują komplikacje — wyjaśnił Rudd. — Poza tym zastanówmy się jeszcze nad czymś. Czy ucieczka w czymkolwiek pomoże?

— Oczywiście. Musimy uciec przed tą osobą, która mnie nienawidzi.

— Jeśli ktoś aż tak cię nienawidzi, bez trudu może za tobą podążyć.

— Chcesz powiedzieć, że już nigdy nie będę miała spokoju? Nigdy nie będę bezpieczna?

— Kochanie, wszystko się ułoży. Będę de pilnował. Przy mnie nic ci nie grozi.

Przytuliła się.

— Na pewno, Jinks? Dopilnujesz, by nic mi się nie stało? Zawisła na nim, a on delikatnie ułożył ją na szezlongu.

— Och, jestem tchórzem — szepnęła. — Tchórzem. Gdybym wiedziała, kto to jest i dlaczego... Przynies mi tabletki, te żółte, nie brązowe. Muszę się jakoś uspokoić.

— Na miłość boską, nie bierz ich za dużo, Marino.

— Dobrze, dobrze. Czasem w ogóle na mnie nie działają. Z łagodnym uśmiechem spojrzała mu w twarz.

— Zaopiekujesz się mną, Jinks? Przysięgnij, że się mną zaopiekujesz...

— Zawsze — odparł Rudd. — Aż do gorzkiego końca.

Szeroko otworzyła oczy.

— Wyglądałeś tak dziwnie, kiedy to mówiłeś.

— Tak? Jak wyglądałem?

— Trudno to wyrazić. Jak... jak kłown, który śmieje się z czegoś bardzo smutnego, czego nikt inny nie zauważył...

Następnego dnia inspektor Craddock zjawił się u panny Marple zmęczony i osowiały.

— Siadaj i rozgość się — powiedziała. — Widzę, że nie było ci lekko.

— Nie lubię przegrywać — odparł inspektor. — Dwa morderstwa w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie jestem w tej robocie tak dobry, jak sądziłem. Może dostanę filiżankę herbaty, ciociu Jane, i kawałek chleba z masłem. A może mogłabyś mnie uspokoić wspomnieniami o najdawniejszych czasach St Mary Mead.

Panna Marple cmoknęła współczująco.

— Takie gadanie nie ma sensu, mój drogi chłopcze, i nie wierzę, by brakowało ci tylko chleba z masłem. Dżentelmeni, którzy przeżyli rozczarowanie, potrzebują czegoś mocniejszego niż herbata.

Jak zwykle panna Marple wypowiedziała słowo „dżentelmeni” tak, jakby opisywała obcy gatunek.

— Zalecałabym solidną, mocną whisky z wodą — stwierdziła.

— Doprawdy, ciociu Jane? No cóż, nie odmówię.

— Sama ci naleję — panna Marple wstała z krzesła.

— Och, nie. Może ja to zrobię. A co z panną Jak–jej–tam?

— Nie chcemy chyba, żeby panna Knight tu się kręciła — powiedziała panna Marple. — Przyniesie herbatę dopiero za dwadzieścia minut, więc mamy trochę spokoju. To sprytnie, że wszedłeś od ogrodu, a nie przez frontowe drzwi. Tym sposobem możemy porozmawiać sami.

Podeszła do szafki, wyjęła butelkę i syfon z wodą sodową.

— Wciąż mnie zaskakujesz — oznajmił Dermot Craddock. — Nie miałem pojęcia co trzymasz w tej szafce. Czy na pewno nie pociągasz skrycie, ciociu Jane?

— No, no — upomniała go panna Marple. — Nigdy nie popierałam abstynencji. Odrobina czegoś mocniejszego w domu na pewno nie zaszkodzi. Zawsze może się zdarzyć jakiś wypadek. Wtedy jest to rzecz bezcenna. I naturalnie, jeśli niespodziewanie zjawi się jakiś dżentelmen. Proszę! — Z triumfującą miną podała mu kieliszek. — I nie musisz żartować. Usiądź i odpręż się.

— Wspaniałe musiały być żony za czasów twojej młodości.

— Jestem pewna, mój drogi chłopcze, że młode damy, o jakich wspomniałeś, niewiele by ci pomogły w dzisiejszych czasach. Młodych dam nie wychowywano na intelektualistki i bardzo

niewiele kończyło studia czy zdobywało jakiekolwiek wykształcenie.

— Są rzeczy ważniejsze niż wykształcenie. Jedna z nich to wiedzieć, kiedy mężczyzna potrzebuje whisky z wodą. I podać mu ją.

Panna Marple uśmiechnęła się z sympatią.

— No już — powiedziała. — Opowiedz teraz wszystko. A przynajmniej tyle, ile wolno ci opowiedzieć.

— Wiesz pewnie tyle samo co ja. I prawdopodobnie trzymasz jakąś kartę w rękawie. Co z tym twoim brytanem, twoją drogą panną Knight? Może to ona popełniła przestępstwo?

— A dlaczegoż panna Knight miałaby robić coś takiego? — panna Marple była zaskoczona.

— Bo jest najmniej podejrzana. To częsty przypadek, gdy ty wyjaśniasz sprawę.

— Ależ skąd — odparła panna Marple z zapałem. — Powtarzałam to już tyle razy, i nie tylko tobie, drogi Dermocie, jeśli mogę cię tak nazywać, że zawsze najbardziej oczywista osoba popełnia przestępstwo. Tak często przychodzi człowiekowi do głowy żona albo mąż i tak często rzeczywiście jest to żona albo mąż.

— To znaczy, Jason Rudd. — Pokręcił głową. — Ten człowiek uwielbia Marinę Gregg.

— Mówiłam ogólnie — wyjaśniła z godnością. — Po pierwsze, mamy morderstwo pani Badcock. Można zapytać, kto mógł tego dokonać i pierwsze, co przychodzi do głowy, to naturalnie mąż. Należy więc zbadać tę możliwość. Kiedy uznaliśmy, że prawdziwym celem zamachu była Marina Gregg, znowu trzeba szukać osoby najbliższej związanej z Mariną Gregg, zaczynając, jak już mówiłam, od męża. A to dlatego, że bez wątpienia mężowie bardzo często chcą pozbyć się swoich żon. Choć naturalnie czasem chcieliby tylko, ale tego nie robią. Ale zgadzam się z tobą, drogi chłopcze, że Jason Rudd z całego serca kocha Marinę Gregg. Oczywiście może bardzo sprytnie udawać, ale raczej w to nie wierzę. Szczególnie, że nie widać żadnego powodu, dla którego chciałby się jej pozbyć. Gdyby miał zamiar ożenić się z kimś innym, to przecież nic prostszego. Rozwód, jeśli można tak powiedzieć, jest chyba drugą naturą filmowych gwiazd. Jakieś praktyczne korzyści też nie wchodzą w grę. Trudno go uznać za ubogiego. Sam zrobił karierę i, jak rozumiem, odnosi spore sukcesy. Musimy więc szukać dalej. Ale przyznaję, że to trudne. Tak, bardzo trudne.

— Rzeczywiście — przyznał Craddock. — Dla ciebie musi to być szczególnie trudne, ponieważ nigdy nie miałaś nic wspólnego ze światem filmu. Nie znasz miejscowych skandali i całej reszty.

— Wiem trochę więcej, niż mógłbyś przypuszczać. Przystudiowałam uważnie różne numery „W zaufaniu”, „Życia Filmowego”, „Rozmów o Filmie” i „Świata Filmu”.

Dermot Craddock wybuchnął śmiechem. Nie potrafił się powstrzymać.

— Muszę przyznać, że bawi mnie, gdy tak siedzisz i opowiadasz, co ostatnio czytałaś.

— To było bardzo ciekawe. Choć niezbyt dobrze napisane. Ale to naprawdę rozczarowuje, jak niewiele zmieniło się od czasów mojej młodości. „W towarzystwie”, „Okruchy” i cała ta reszta. Masa plotek. Dużo skandali. Kto w kim się kocha i temu podobne sprawy. Właściwie to samo dzieje się w St Mary Mead. I na Osiedlu również. Natura ludzka wszędzie jest taka sama. Wracamy więc do pytania, kto chciałby zabić Marinę Gregg tak bardzo, że po pierwszej porażce wysyła listy z pogrózkami i próbuje ponownie. Ktoś być może odrobinę... — Bardzo delikatnie popukała się w czoło.

— Tak — przyznał Craddock. — Wiele na to wskazuje. I oczywiście nie zawsze można to rozpoznać.

— Właśnie — zgodziła się z zapalem panna Marple. — Drugi syn starej pani Pike, Alfred, wydawał się absolutnie rozsądny i normalny. Niemal boleśnie prozaiczny, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Tymczasem miał chyba najbardziej nienormalną psychikę, tak przynajmniej słyszałam. Zdecydowanie niebezpieczny. Teraz jest zadowolony i szczęśliwy, mówiła mi pani Pike. Przebywa w szpitalu dla psychicznie chorych w Fairways. Znalazł tam zrozumienie. Lekarze uważają go za bardzo ciekawy przypadek, co naturalnie bardzo mu się podoba. Tak, wszystko skończyło się szczęśliwie, ale raz czy dwa ledwie udało mu się uciec.

Craddock obracał w myślach możliwość porównania kogoś w otoczeniu Mariny Gregg z drugim synem pani Pike.

— Włoski lokaj — mówiła dalej panna Marple. — Ten, który został zabity. Jak słyszałam, w dzień swojej śmierci wyjechał do Londynu. Czy ktoś wie, co on tam robił? Naturalnie, jeśli ci wolno o tym mówić — dodała natychmiast.

— Przybył do Londynu o jedenastej trzydzieści rano. Nikt nie wie, co robił aż do za piętnaście druga, kiedy to zjawił się w banku i wpłacił pięćset funtów gotówką. Nic nie potwierdza jego opowieści, że pojechał odwiedzić chorego krewnego. Nikt z krewnych go nie widział.

Panna Marple pokiwała głową.

— Pięćset funtów. Tak, to całkiem interesująca suma, prawda? Sądzę, że chodziło o pierwszą z serii kolejnych rat.

— Na to wygląda — zgodził się Craddock.

— Była to prawdopodobnie cała gotówka, jaką dysponowała osoba, której groził. Może nawet udawał, że to mu wystarczy. Lub przyjął jako zaliczkę, a ofiara obiecała w najbliższej przyszłości zdobyć więcej pieniędzy. To chyba wyklucza teorię, że niedoszły zabójca Mariny Gregg jest kimś niezamierzonym, kto ma wobec niej osobistą urazę. Moim zdaniem wyklucza też teorię, że to osoba, która dostała pracę pomocnika czy dozorca w studio albo służącego lub ogrodnika. Chyba że — zauważyła panna Marple — chodzi tylko o pośrednika, gdy tymczasem zleceniodawcy nie ma w tej okolicy. Stąd ta wizyta w Londynie.

— Właśnie. W Londynie mamy Ardwycka Fenna, Lolę Brewster i Margot Bence. Cała trójka była

na przyjęciu. Wszyscy troje mogli się spotkać z Giuseppem w umówionym miejscu gdzieś w Londynie pomiędzy jedenastą a pierwszą czterdzieści pięć. Ardwycka Fenna w tym czasie nie było w biurze. Lola Brewster wyszła na zakupy. Margot Bence opuściła studio. Przy okazji...

— Tak? Chcesz mi coś powiedzieć?

— Pytałaś mnie o dzieci, te dzieci, które adoptowała, zanim dowiedziała się, że będzie mieć własne.

— Tak, pytałam.

Craddock opowiedział, jakie zdobył informacje.

— Margot Bence — powtórzyła cicho panna Marple. — Miałam przeczucie, że to ma coś wspólnego z dziećmi.

— Nie mogę uwierzyć, że po tylu latach...

— Wiem, wiem. Nigdy nie można uwierzyć. Ale czy naprawdę, drogi Dermocie, tak dużo wiesz o dzieciach? Przypomnij sobie własne dzieciństwo. Czy pamiętasz jakiś wypadek, jakieś zdarzenie, które budziło twój żal, pasję niewspółmierną do swej wagi? Jakaś niechęć czy urazę, jakich potem już nie przeżyłeś? Była taka książka bardzo zdolnego pisarza Richarda Hughesa. Zapomniałam tytułu, ale chodziło tam o dzieci, które przeżyły huragan. A tak, huragan na Jamajce. To, co utkwilo im w pamięci, to oszalały kot, biegający po domu. Jedyne, co zapamiętały. Cała groza, podniecenie i strach zawarły się w tym jednym wspomnieniu.

— To dziwne, że o tym wspomniałaś — mruknął w zamyśleniu Craddock.

— Czemu? Coś sobie przypomniałeś?

— Myślałem o śmierci matki. Miałem wtedy pięć lat. Pięć albo sześć. Jadłem kolację w pokoju dzieciennym — pudding z dżemem. Bardzo lubiłem ten pudding. Ktoś ze służby przyszedł i powiedział guwernantce: „Czy to nie straszne? Był wypadek i zginęła pani Craddock”. Ile razy myślę o śmierci matki, wiesz co widzę?

— Co?

— Talerz z kawałkiem puddingu. Patrzę na niego. Patrzę i widzę go teraz równie wyraźnie jak wtedy, gdy dżem wyciekał z jednej strony. Nie płakałem, nic nie mówiłem. Pamiętam, że siedziałem, jakbym nagle skamieniał i patrzyłem na ten pudding. I wiesz, nawet teraz, kiedy widzę w barze, restauracji czy jakimś domu porcję puddingu z dżemem, powraca ta fala lęku i rozpacz. Czasami przez chwilę nawet nie pamiętam dlaczego. To chyba jakiś obłąd, nie wydaje ci się?

— Nie — odparła panna Marple. — To zupełnie naturalne. I bardzo interesujące. Nasuwa mi pewną myśl...

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich panna Knight z tacą.

— Boże wielki — zawołała — czyżbyśmy mieli gościa? Co za miła niespodzianka. Jak się pan miewa, inspektorze Craddock? Przyniosę panu filiżankę herbaty.

— Proszę się nie fatygować — zawołał za nią Dermot. — Wypiłem drinka.

Panna Knight wysunęła głowę zza drzwi.

— Tak sobie myślę... Pozwoli pan na chwilkę, panie Craddock? Dermot wyszedł za nią na korytarz. Zaprowadziła go do jadami i zamknęła drzwi.

— Będzie pan uważał? — zapytała.

— Uważał? Na co, panno Knight?

— Na naszą kochaną staruszkę. Wie pan, jest taka ciekawa świata, ale nie powinna się denerwować morderstwami i tymi strasznymi zdarzeniami. Nie chcemy przecież, żeby się martwiła i miała złe sny. Jest bardzo stara, delikatna i naprawdę musi mieć spokój. Zawsze go miała, wie pan. Jestem pewna, że te rozmowy o morderstwach i gangsterach są dla niej bardzo szkodliwe.

Dermot przyglądał się jej z lekkim rozbawieniem.

— Nie sędzę, by cokolwiek, co pani lub ja możemy powiedzieć o morderstwach, mogło nadmiernie podekscytować czy zaszokować pannę Marple. Zapewniam panią, panno Knight, że panna Marple może rozmyślać o morderstwie, gwałtownej śmierci, a właściwie o wszelkiego typu przestępstwach z najwyższą obojętnością.

Wrócił do bawialni, a panna Knight podążyła za nim, lekkim cmokaniem demonstrując urazę. Przy herbacie dyskutowała z werwą o wydarzeniach politycznych, o których wyczytała w gazecie, i o najbardziej pogodnych tematach, jakie przychodziły jej do głowy. Gdy wreszcie zabrała tacę i zamknęła drzwi, panna Marple westchnęła głęboko.

— Wreszcie chwila spokoju. Mam tylko nadzieję, że nie zamorduję tej kobiety. Słuchaj teraz Dermot, chciałabym się dowiedzieć kilku rzeczy.

— Tak? O co chodzi?

— Potrzebny mi bardzo szczegółowy opis tego, co się zdarzyło w dniu przyjęcia. Przyszła pani Bantry, krótko po niej pastor. Potem państwo Badcock, a na schodach w tym czasie byli burmistrz z żoną, ten Ardwyck Ferm, Lola Brewster, reporter z „Herald & Argus” z Much Benham i ta dziewczyna fotografik, Margot Bence. Margot Bence, jak mówiłeś, ustawiła aparat na podeście schodów i robiła zdjęcia. Widziałeś je?

— Nawet jedno przyniosłem, żeby ci pokazać.

Wyjął z kieszeni fotografię. Panna Marple przyjrzała się jej z uwagą. Marina Gregg stała przy schodach, o krok za nią Jason Rudd, z tyłu Arthur Badcock sięgający dłonią do twarzy, nieco zakłopotany. Jego żona wpatrzona w Marinę mówiła coś, trzymając ją za rękę. Aktorka nie patrzyła

na panią Badcock. Wbiła wzrok gdzieś ponad jej głowę, zdawało się, że prosto w obiektyw, może odrobinę w lewo.

— Bardzo ciekawe — stwierdziła panna Marple. — Wiesz, opisywano mi jej twarz. To skamieniałe spojrzenie. Tak, to bardzo stosowne określenie. Spojrzenie skazańca. Choć nie jestem tego taka pewna. To raczej coś w rodzaju paraliżu uczuć niż obawa przed zgubą. Nie sądzisz? Moim zdaniem to właściwie nie jest strach, choć oczywiście niektórzy ludzie właśnie tak reagują. To ich paraliżuje. Ale nie sądzę, by był to strach. Raczej szok. Dermot, drogi chłopcze, powiedz mi, jeśli masz notatki, co dokładnie mówiła wtedy Heather Badcock. Wiem mniej więcej, o co chodziło. Ale interesują mnie dokładnie jej słowa. Przypuszczam, że masz zeznania różnych osób.

Dermot skinął głową.

— Tak, zaraz zobaczę. Twoja przyjaciółka, pani Bantry, Jason Rudd i chyba Arthur Badcock. Jak stwierdziłaś, nie byli zgodni co do słów, ale sens pozostał ten sam.

— Wiem. Chodzi właśnie o te niezgodności. Myślę, że może nam to pomóc.

— Nie wiem jak, choć może ty wiesz. Zeznania twojej przyjaciółki, pani Bantry, były chyba najbardziej szczegółowe. O ile pamiętam... zaraz... noszę ze sobą sporą część notatek. — Wyjął mały notes i zajrzał, by odświeżyć pamięć. — Nie mam dokładnie zapisanych słów — powiedział — ale było to mniej więcej tak. Pani Badcock była najwyraźniej bardzo ucieszona i dumna z siebie. Powiedziała coś takiego: Trudno wyrazić jakie to cudowne przeżycie. Pewnie pani nie pamięta, ale wiele lat temu, na Bermudach, mimo ospy uciekłam z łóżka, żeby panią zobaczyć. Dostałam od pani autograf i był to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu. Nigdy tego nie zapomniałam.

— Rozumiem — powiedziała panna Marple. — Wspomniała o miejscu, ale nie o dacie, prawda?

— Tak.

— A co mówił Rudd?

— Jason Rudd? Twierdził, że pani Badcock opowiadała jego żonie, jak to wstała z łóżka z grypą, poszła na spotkanie z Mariną i mimo wszystko dostała autograf. Jego zeznanie było krótsze niż twojej przyjaciółki, ale sens pozostał zupełnie ten sam.

— Czy wspomniał o czasie i miejscu?

— Mówił, wydaje mi się, że było to mniej więcej dziesięć czy dwanaście lat temu.

— Rozumiem. A pan Badcock?

— Pan Badcock powiedział, że Heather była bardzo podniecona i koniecznie chciała się widzieć z Mariną Gregg. Była jej wielbicieleką. Opowiadała mu kiedyś, że gdy była młodą dziewczyną, zachorowała, ale jakoś wstała, poszła na spotkanie z panią Gregg i dostała autograf. Nie znał bliższych szczegółów, gdyż było to przed ich małżeństwem. Odniosłem wrażenie, że nie uważa tego zdarzenia za wyjątkowo ważne.

— Rozumiem — powtórzyła panna Marple. — Tak, rozumiem...

— A co rozumiesz? — zapytał Craddock.

— Nie tyle, ile bym chciała — odparła szczerze. — Ale mam wrażenie, że gdybym tylko wiedziała, dlaczego zniszczyła swoją nową sukienkę...

— Kto? Pani Badcock?

— Tak. To bardzo dziwny fakt... niewytłumaczalny, chyba że... oczywiście... o Boże, ależ byłam głupia!

Panna Knight otworzyła drzwi i weszła, zapalając po drodze lampę.

— Przyda nam się odrobina światła — powiedziała wesoło. — Tak — przyznała panna Marple. — Ma pani świętą rację, panno Knight. Dokładnie tego nam brakowało. Odrobiny światła. I wie pani, chyba w końcu je mamy.

Spotkanie sam na sam dobiegło najwyraźniej końca, więc Craddock wstał.

— Zostało już tylko jedno — powiedział. — Teraz ty powinnaś powiedzieć, jakie szczególne wspomnienie z twojej przeszłości przyszło ci właśnie na myśl.

— Każdy zawsze się ze mną przekomarza — powiedziała panna Marple. — Ale muszę przyznać, że przez chwilę myślałam o pokojówce Lauristonów.

— Pokojówce Lauristonów? — spojrzał zaskoczony.

— Musiała oczywiście odbierać telefony — wyjaśniła panna Marple. — I nie była w tym za dobra. Zwykle rozumiała poprawnie ogólny sens, jeśli wiesz o co mi chodzi, ale jej notatki były czasem zupełnie bezsensowne. Sądzę, że nie znała gramatyki. W rezultacie zdarzyło się kilka nieprzyjemnych faktów. Pamiętam szczególnie jeden. Pan Burroughs, tak się chyba nazywał, zadzwonił, powiedział, że widział się z panem Elvastonem w sprawie przewróconego parkanu i oświadczył, że naprawa parkanu to już nie jego interes. Było to po przeciwnej stronie posiadłości. Chciał wiedzieć, czy naprawdę o to chodzi, zanim podejmie dalsze działania, jako że będą zależeć od tego, czy jest za to odpowiedzialny. I jest dla niego ważne, by wiedzieć, jak leży ziemia, zanim poinstruuje prawników. Bardzo niejasna wiadomość, jak widzisz. Budzi raczej zamęt niż tłumaczy cokolwiek.

— Jeśli jest mowa o pokojówkach — wtrąciła panna Knight ze śmiechem — to musiało być bardzo dawno temu. Od dawna już nie słyszałam o pokojówce.

— Och, było to wiele lat temu — przyznała panna Marple. — A jednak ludzka natura niewiele się zmieniła. Błędy zdarzają się dokładnie z tych samych powodów. Och — westchnęła. — Cieszę się, że ta dziewczyna wylądowała bezpiecznie w Bournemouth.

— Dziewczyna? Jaka dziewczyna? — spytał Dermot.

— Dziewczyna, która szyje sukienki i poszła zobaczyć się z Giuseppem. Nazywała się... Gladys coś tam.

— Gladys Dixon?

— Tak, właśnie tak.

— Powiedziałaś, że jest w Bournemouth? Skąd możesz o tym wiedzieć?

— Wiem — odparła panna Marple. — Ponieważ ją tam wysłałam.

— Co? — Dermot szeroko otworzył oczy. — Ty? Dlaczego?

— Poszłam ją odwiedzić i dałam jej trochę pieniędzy. Poradziłam, żeby wyjechała na urlop i nie pisała do domu.

— A dlaczego to zrobiłaś?

— Nie chciałam, żeby ją ktoś zabił, naturalnie — oznajmiła panna Marple i mrugnęła do niego porozumiewawczo.

— Jaki słodki list od lady Conway — powiedziała panna Knight dwa dni później, podając pannie Marple tacę ze śniadaniem. — Pamięta pani, jak o niej opowiadałam? Tylko ona czasem, wie pani... — Puknęła się w czoło. — Błądzi. I ma fatalną pamięć. Nie zawsze poznaje swoich krewnych i mówi, żeby sobie poszli.

— To może być raczej spryt — zauważyła panna Marple. — Niekoniecznie słaba pamięć.

— No, no — pogroziła panna Knight. — Czy to ładnie sugerować coś takiego? Spędza zimę w hotelu „Belgrave” w Llandudno. Taki miry pensjonat. Mają tam śliczny, oszklony taras. Bardzo jej zależy, żebym przyjechała i zamieszkała razem z nią — westchnęła.

Panna Marple usiadła prosto na łóżku.

— Ależ proszę — powiedziała. — Jeśli jest pani tam potrzebna i ma ochotę jechać...

— Nie, nawet nie chcę o tym słyszeć — zawołała panna Knight. — Nie, nic takiego nie miałam na myśli. Co by powiedział pan Raymond West? Wy tłumaczył mi, że mój pobyt tutaj może się okazać potrzebny na stałe. Nawet nie śniłabym o porzuceniu obowiązków. Wspomniałam tylko o tym, tak przelotnie. Więc niech się pani nie martwi, złociutka — dodała, klepiąc pannę Marple po ramieniu. — Nie zostaniemy same! Nie, nie, z pewnością nie! Będziemy dogłądane, zadowolone i zawsze szczęśliwe.

Wyszła z pokoju. Panna Marple siedziała i ze stanowczą miną spoglądała na tacę, nie zamierzając niczego jeść. Wreszcie podniosła słuchawkę i energicznie wybrała numer.

— Doktor Haydock?

— Tak.

— Tu Jane Marple.

— Co się stało? Potrzebujesz moich usług?

— Nie — odparła panna Marple. — Ale chciałabym spotkać się z tobą jak najszybciej.

Kiedy przyszedł doktor Haydock, panna Marple czekała na niego w łóżku.

— Wyglądasz jak okaz zdrowia — zauważył.

— Dlatego właśnie chciałam się z tobą widzieć. Aby ci powiedzieć, że czuję się świetnie.

— To niezwykle powód wzywania lekarza.

— Jestem silna, sprawna i nie ma sensu, żeby ktoś musiał ze mną mieszkać. Wystarczy mi dochodząca pomoc. Nie ma potrzeby, by ktoś tu mieszkał na stałe.

— Ośmielę się zaznaczyć, że to ty tak uważasz, nie ja — odparł Haydock.

— Mam wrażenie, że robisz się starym zrzędą — oznajmiła niezbyt uprzejmie panna Marple.

— Tylko mnie nie przezywaj! — obruszył się Haydock. — Jesteś bardzo zdrową kobietą... jak na swój wiek. Ten bronchit trochę cię osłabił, co nie jest najlepsze. Ale w twoim wieku zostać samej w domu to wielkie ryzyko. Powiedzmy, że spadniesz z łóżka, potkniesz się na schodach lub poślizgniesz w łazience. Będziesz tak leżeć i nikt nawet się o tym nie dowie.

— Och, wszystko można sobie wyobrazić — odparta panna Marple. — Panna Knight może spaść ze schodów, a ja przewrócę się o nią, kiedy pobiegnę zobaczyć, co się stało.

— Przestań mnie męczyć. Jesteś starszą panią i musisz mieć odpowiednią opiekę. Jeśli nie lubisz tej kobiety, zmień ją i sprowadź kogoś innego.

— To nie zawsze jest takie proste.

— Poszukaj jakiejś swojej dawnej służącej, kogoś kogo lubisz i kto już kiedyś z tobą mieszkał. Widzę, że ta stara kwoka działa ci na nerwy. Mnie też by denerwowała. Musi gdzieś być jakaś była służąca. Ten twój siostrzeniec jest obecnie jednym z najpopularniejszych autorów. Jeśli znajdziesz właściwą osobę, on zadba, żeby się to jej opłacało.

— Oczywiście, drogi Raymond robi to na pewno. Jest bardzo wielkoduszny. Ale to nie tak łatwo znaleźć odpowiednią osobę. Młodzi ludzie mają własne życie, a tak wiele z moich dawnych oddanych służących, przykro mi to mówić, już nie żyje.

— Ale ty żyjesz i będziesz żyła jeszcze długo, jeśli odpowiednio o siebie zadbasz.

Wstał.

— No cóż — powiedział. — Nie ma sensu, żebym tu siedział. Jesteś zdrowa jak rydz. Nie będę tracił czasu, by mierzyć ci ciśnienie, puls czy wypytywać o samopoczucie. Rozkwitasz na tej miejscowej aferze, nawet jeśli nie możesz wychodzić i wścibiać nosa tak, jakbyś pewnie tego chciała. Muszę teraz iść i zająć się prawdziwym leczeniem. Osiem do dziesięciu przypadków różyczki, pół tuzina koklusz, podejrzenie szkarlatyny. A wszystko to prócz normalnych pacjentów!

Doktor Haydock wyszedł dziarsko, a panna Marple zmarszczyła czoło... Coś takiego powiedział... o co chodziło? Pacjenci... zwykłe drobne dolegliwości... drobne dolegliwości? Panna Marple odsunęła tacę ze śniadaniem, po czym zadzwoniła do pani Bantry.

— Dolly? Tu Jane. Chciałabym cię o coś zapytać. Tylko skup się. Podobno mówiłaś inspektorowi Craddockowi, że Heather Badcock opowiadała Marinie Gregg taką długą, bezsensowną historię, jak to miała wietrzną ospę, a mimo to wstała z łóżka, poszła na spotkanie z Mariną i dostała autograf?

— Mniej więcej tak to było.

— Wietrzna ospa?

— No, coś podobnego. Pani Allcock rozmawiała wtedy ze mną o wódce, więc nie słuchałam uważnie.

— Jesteś pewna — panna Marple odetchnęła głęboko — że nie mówiła o kokluszu?

— Koklusz? — Pani Bantry była zdumiona. — Oczywiście, że nie. Gdyby miała koklusz, nie musiałaby pudrować twarzy.

— Rozumiem. Mówiła o tym? Specjalnie wspomniała o makijażu?

— Tak, podkreśliła to. Zwykle nie używała makijażu. Ale masz chyba rację, to nie była wietrzna ospa... Może pokrzywka.

— Próbujesz zgadywać — upomniała ją chłodno panna Marple. — Ponieważ sama kiedyś miałaś pokrzywkę i nie mogłaś iść na wesele. Jesteś beznadziejna, Dolly, zupełnie beznadziejna.

Odłożyła słuchawkę, przerywając pełne urazy „Doprawdy, Jane” pani Bantry.

Panna Marple parsknęła zniechęcona, jak zwykle bardzo elegancko — niczym kot, który chce wyrazić swój największy niesmak. Powróciła myślami do spraw domowych. Wierna Florencja? Czy wierna Florencja, ten grenadier wśród pokojówek, da się przekonać do opuszczenia wygodnego domku, by wrócić do St Mary Mead i opiekować się dawną panią? Wierna Florencja zawsze była jej bardzo oddana, ale jest też bardzo przywiązana do swojego domku. Panna Marple z niechęcią pokręciła głową.

O drzwi zaterkotało wesołe rata-ta-ta.

— Proszę — zawołała panna Marple.

Weszła Cherry.

— Przyszłam po tacę — powiedziała. — Coś się stało? Wygląda pani na zirytowaną.

— Czuję się taka bezradna — odparła panna Marple. — Stara i bezradna.

— Proszę się nie martwić — pocieszyła ją Cherry, podnosząc tacę. — Jeszcze daleko pani do bezradności. Nawet pani nie wie, co o pani tutaj opowiadają! Prawie wszyscy na Osiedlu panią znają. Robiła pani niezwykle rzeczy. Oni nie myślą, że pani jest stara i bezradna. To ona nakładła to pani do głowy.

— Ona?

Cherry energicznie skinęła głową w stronę drzwi.

— Kici, kici. Ta panna Knight. Niech pani jej na to nie pozwala.

— Jest bardzo uprzejma — wyjaśniła panna Marple. — Naprawdę bardzo uprzejma — dodała takim tonem, jakby chciała przekonać samą siebie.

— Można zagłaskać kota na śmierć, jak to mówią — odparła Cherry. — Chyba nie lubi pani, gdy tę uprzejmość wcierają pani w skórę?

— No cóż — westchnęła panna Marple. — Wszyscy mamy swoje kłopoty.

— To prawda — zgodziła się Cherry. — Nie powinnam narzekać, ale czasem mam wrażenie, że jeśli będę dalej mieszkać drzwami w drzwi z panią Hartwell, zdarzy się jakiś przykry wypadek. Ta skwaszona stara kocica wiecznie plotkuje i narzeka. Jim też ma już dosyć. Wczoraj była wściekła awantura i tylko dlatego, że trochę za głośno puściliśmy „Mesjasza”! Nie można narzekać na „Mesjasza”, prawda? Przecież to religijny utwór.

— A ona narzekała?

— Zachowała się okropnie. Walała w ścianę, krzyczała i inne takie rzeczy.

— Musicie tak głośno słuchać muzyki? — spytała panna Marple.

— Jim tak lubi — wyjaśniła Cherry. — Uważa, że nie słysząc właściwego tonu, jeżeli nie ma pełnej głośności.

— Może to być odrobinę męczące dla kogoś, kto nie jest muzykalny — zasugerowała panna Marple.

— To te szeregowie domki — odparła Cherry. — Takie cienkie ściany. Właściwie wcale nie jestem zachwycona tym nowym domem. Wygląda elegancko i ślicznie, ale nie można wyrazić swojej osobowości, żeby zaraz ktoś nie zwałił się na człowieka jak tona cegły.

Panna Marple uśmiechnęła się.

— Masz sporo osobowości do wyrażania.

— Prawda? — Cherry roześmiała się z zadowoleniem. — Zastanawiam się — zaczęła. Nagle wyglądała na zakłopotaną. Odłożyła tacę i podeszła do łóżka. — Nie wiem, czy nie uzna mnie pani za bezczelną, jeśli o coś zapytani. To znaczy, wystarczy, że pani powie „wykluczone” i po sprawie.

— Chcesz, żebym coś zrobiła?

— Niezupełnie. Chodzi o te pokoje nad kuchnią. Nikt ich teraz nie używa, prawda?

— Nie.

— Słyszałam, że kiedyś mieszkał tam ogrodnik z żoną. Ale to już dawne czasy. Zastanawiałam się,

to znaczy ja i Jim się zastanawialiśmy, czy moglibyśmy tam zamieszkać. To znaczy przeprowadzić się i mieszkać tutaj.

Panna Marple patrzyła na nią ze zdumieniem.

— A wasz piękny, nowy dom na Osiedlu?

— Mamy go już dosyć. Lubimy nowoczesność, ale pewne rzeczy można założyć wszędzie. Byłoby tu całkiem sporo miejsca, zwłaszcza gdyby Jim mógł zająć pokój nad stajnią. Wyremontowałyby go zupełnie i mogłby tam trzymać swoje modele. Nie musiałby ich ciągle chować. I tam moglibyśmy trzymać nasze stereo; w ogóle by pani nie słyszała.

— Mówisz poważnie, Cherry?

— Tak. Jim i ja dużo o tym rozmawialiśmy. Jim mógłby pani naprawiać różne rzeczy. Wie pani, krany, trochę murarki. A ja opiekowałabym się panią tak samo dobrze jak panna Knight. Wiem, że uważa mnie pani za nieporządną, ale będę się starać. Dopilnuję łóżek i zmywania. I naprawdę dobrze gotuję. Wczoraj zrobiłam befszytk Strogonoff. To całkiem proste, naprawdę.

Panna Marple przyglądała się jej z uwagą.

Cherry przypominała pełnego entuzjazmu psiaka. Promieniowała radością życia i energią. Panna Marple raz jeszcze pomyślała o wiernej Florencji. Wierna Florencja, oczywiście, dużo lepiej zadbałaby o dom. {Panna Marple nie wierzyła w obietnice Cherry.) Ale miała już co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, albo i więcej. I czy naprawdę chciałaby się przeprowadzić? Zgodziłaby się może, gdyż była oddana pannie Marple. Ale czy panna Marple naprawdę chciała takiej ofiary? Czyż nie zaczęła już cierpieć z powodu nadmiernego poczucia obowiązku panny Knight?

Cherry, choć niezbyt sprawna w pracach domowych, chciała się wprowadzić. Miała też cechy, które przynajmniej w tej chwili panna Marple uznała za niezwykle istotne.

Dobre serce, energię i głęboką ciekawość życia.

— Nie chciałabym, naturalnie — dodała Cherry — robić tego za plecami panny Knight.

— Nie myśl o pannie Knight — odparła panna Marple, podjąwszy decyzję. — Wyjedzie do jakiejś lady Conway w hotelu w Llandudno i będzie zachwycona. Musimy omówić sporo szczegółów i powinnam porozmawiać z twoim mężem. Ale jeśli naprawdę sądzicie, że będziecie tu szczęśliwi...

— Będziemy zachwyceni — zapewniła Cherry — i proszę mi wierzyć, że przyłożę się do pracy. Mogę nawet używać szufelki i miotły, jeśli pani sobie życzy.

Panna Marple roześmiała się, słysząc tę szokującą propozycję. Cherry chwyciła tacę ze śniadaniem.

— Muszę lecieć. Dzisiaj trochę się spóźniłam, słuchając o tym biednym Arthurze Badcocku.

— Arthur Badcock? A co mu się stało?

— Nie słyszała pani? Jest teraz na policji. Spyтали czy przyjdzie i „pomoże im w śledztwie”, a wie pani, co to zwykle oznacza.

— Kiedy to się stało? — dopytywała się zaskoczona panna Marple.

— Dziś rano. Przypuszczam, że chodzi o to, że był kiedyś mężem Mariny Gregg.

— Co? — Panna Marple usiadła prosto. — Arthur Badcock był mężem Mariny Gregg?

— W tym właśnie rzecz. Nikt nie miał pojęcia. To pan Upshaw o tym im powiedział. Raz czy dwa firma wysłała go do Stanów i zna mnóstwo tamtejszych plotek. Wie pani, to było bardzo dawno, zanim zaczęła karierę. Byli małżeństwem przez rok czy dwa, a potem dostała jakąś nagrodę filmową i oczywiście nie był już dla niej dostatecznie dobry. Wzięli więc ten szybki amerykański rozwód i on po prostu, można by powiedzieć, zniknął. Jest taki niepozorny. Zmienił nazwisko i wrócił do Anglii. Wszystko to wydarzyło się tak strasznie dawno temu. Trudno przypuszczać, żeby miało dziś jakieś znaczenie, prawda? A jednak... chyba wystarczy, żeby policja zaczęła działać.

— Och, nie — szepnęła panna Marple. — Nie. To nie może się zdarzyć. Gdybym tylko wiedziała, co robić... Zaraz, chwileczkę. — Skinęła na Cherry. — Zabierz tę tacę i przyślij tu pannę Knight. Wstaję.

Cherry wyszła. Panna Marple ubrała się. Palce lekko jej drżały. Irytowało ją, że tak reaguje na niezwykle wieści. Właśnie zapinała sukienkę, gdy wkroczyła panna Knight.

— Wołała mnie pani? Cherry mówiła...

Panna Marple przerwała jej zdecydowanie.

— Sprowadź Incha — poleciła.

— Nie rozumiem — zdziwiła się panna Knight.

— Incha — powtórzyła panna Marple. — Sprowadź Incha. Zadzwoń, żeby natychmiast przyjechał.

— Ach, rozumiem. Chodzi pani o taksówkę. Ale właściciel nazywa się Roberts, prawda?

— Dla mnie on jest Inchem — oznajmiła panna Marple. — I zawsze będzie Inchem. Sprowadź go. Niech zaraz przyjedzie.

— Chce się pani wybrać na przejażdżkę?

— Po prostu sprowadź go, dobrze? Jak najszybciej, proszę. Panna Knight spojrzała z powątpiewaniem.

— Dobrze się czujemy, złociutka, prawda? — zapytała z zaciekawieniem.

— Obie czujemy się bardzo dobrze — odparła panna Marple. — A ja szczególnie. Bezczynność mi nie odpowiada. Nigdy mi nie odpowiadała. Czynne działanie, tego mi brakowało od dłuższego czasu.

— Czy ta Baker powiedziała coś, co panią zirytowało?

— Nic mnie nie zirytowało. Czuję się znakomicie. Jestem zła na siebie, że byłam taka głupia. Ale dopiero doktor Haydock dał mi dziś rano wskazówkę... Zastanawiam się czy dobrze pamiętam. Gdzie jest ta moja książka medyczna?

Wyminęła pannę Knight, zeszła po schodach i w bawialni na półce znalazła podręcznik. Zerknęła na indeks, mruknęła: „Strona dwieście dziesięć”, otworzyła, czytała przez chwilę, po czym z satysfakcją kiwnęła głową.

— Zadziwiające — stwierdziła. — Bardzo ciekawe. Nie przypuszczam, żeby ktoś o rym pomyślał. Sama nie pomyślałam, dopóki nie połączyłam dwóch spraw.

Potrząsnęła głową i zmarszczyła czoło. Gdyby tylko był ktoś... Wspomniała rozliczne opisy tej szczególnej sceny... Szeroko otworzyła oczy. Owszem był ktoś, ale czy potrafi pomóc? Z pastorem nigdy nic nie wiadomo. Był nieprzewidywalny. Mimo to podeszła do telefonu i wybrała numer.

— Dzień dobry, pastorze, mówi Jane Marple.

— Ach panna Marple. Czy mogę coś dla pani zrobić?

— Myślałam, że mógłby mi pan pomóc w pewnym drobiazgu. Chodzi o to przyjęcie, kiedy zginęła pani Badcock. Kiedy zjawili się państwo Badcock, stał pan, pastorze, całkiem blisko pani Gregg.

— Tak, tak. Wszedłem chyba tuż przed nimi. Co za tragiczne wydarzenie.

— Istotnie. O ile wiem, pani Badcock opowiadała pani Gregg, że spotkały się kiedyś na Bermudach. Była wtedy chora i specjalnie wstała z łóżka.

— Owszem, pamiętam.

— A pamięta pan, pastorze, czy pani Badcock wspomniała na co wtedy zachorowała?

— Zastanawiam się... chwileczkę... tak, to była chyba odra... ale nie normalna odra, tylko różyczka, dużo łżejsza choroba. Czasem przebiega tak łagodnie, że niektórzy ludzie wcale jej nie odczuwają. Pamiętam moją kuzynkę Caroline...

Panna Marple przerwała wspomnienia o kuzynce Caroline.

— Bardzo panu dziękuję, pastorze — rzuciła stanowczo i odłożyła słuchawkę.

Na jej twarzy malował się wyraz zadziwienia. Jedną z największych tajemnic St Mary Mead było, dlaczego pastor zapamiętuje pewne rzeczy. Jednak dużo bardziej tajemnicze było to dlaczego niektóre tak szybko zapomina.

— Przyjechała taksówka, złociutka. — Panna Knight wbiegła do pokoju. — Bardzo stara i moim zdaniem niezbyt czysta. Nie powinna pani jeździć czymś takim. Można złapać jakieś straszne zarazki.

— Nonsens — stwierdziła panna Marple.

Stanowczym ruchem nałożyła kapelusz, zapięła letni płaszcz i ruszyła do taksówki.

— Dzień dobry, Roberts — rzuciła.

— Dzień dobry, panno Marple. Wcześniej dziś pani wychodzi.

Gdzie jedziemy?

— Do Gossington Hall, proszę.

— Lepiej pojedę z panią, dobrze, złociutka — zawołała panna Knight. — Tylko włożę buty.

— Nie, dziękuję — oznajmiła stanowczo panna Marple. — Pojadę sama. Jedziemy Inch, to znaczy Roberts.

Roberts ruszył.

— Och, Gossington Hall — rzucił przez ramię. — Bardzo się zmienił, jak wszystko dzisiaj. Całe to Osiedle. Nie sądziłem, że coś takiego pojawi się w St Mary Mead.

Po przybyciu do Gossington Hall panna Marple przycisnęła dzwonek i poprosiła o spotkanie z Jasonem Ruddem. Następcą Giuseppe'a, dość roztrzęsiony starszy mężczyzna, wyraził wątpliwość.

— Pan Rudd nie przyjmuje nikogo, kto nie był umówiony — wyjaśnił. — A zwłaszcza dzisiaj.

— Nie byłam umówiona — odparta panna Marple. — Ale cierpliwie zaczekam.

Wyminęła go i dziarskim krokiem weszła do holu, po czym usiadła na krześle.

— Obawiam się, że dzisiaj rano będzie to zupełnie niemożliwe, proszę pani.

— W takim razie zaczekam do popołudnia.

Nowy lokaj odszedł zdziwiony. Po chwili zjawił się jakiś młody człowiek. Był uprzejmy i mówił miłym głosem z lekkim amerykańskim akcentem.

— Widziałam już pana — powiedziała panna Marple. — Na Osiedlu. Pytał mnie pan o drogę do Zaułka Bleiheim.

Hailey Preston uśmiechnął się z sympatią.

— Chciała pani pewnie jak najlepiej, ale zupełnie się zgubiłem.

— To przeze mnie? — zmartwiła się panna Marple. — Tam jest tyle Zaułków, prawda? Mogę zobaczyć się z panem Ruddem?

— Naprawdę bardzo mi przykro — odparł Preston. — Pan Rudd jest naprawdę zapracowany i... ee... dziś rano jest bardzo zajęty. Nie można mu przeszkadzać.

— Nie wątpię, że ma dużo pracy — zgodziła się panna Marple. — Jestem gotowa czekać.

— Mam taką propozycję. Powie mi pani o co chodzi. Załatwiam różne sprawy dla pana Rudda. Wszyscy najpierw rozmawiają ze mną.

— Obawiam się, że muszę rozmawiać z panem Ruddem osobiście. I — dodała — zaczekam, aż to będzie możliwe.

Usadowiła się wygodnie na wielkim dębowym krześle. Hailey Preston zawahał się, zaczął coś mówić, wreszcie odwrócił się i wszedł na schody.

Wrócił z wysokim mężczyzną w tweedowym garniturze.

— To doktor Gilchrist. Panna... ee...

— Panna Marple.

— Więc to pani jest panną Marple — zdziwił się Gilchrist.

Przyjrzał się jej z zaciekawieniem. Hailey Preston odszedł skwapliwie.

— Słyszałem o pani — oświadczył Gilchrist. — Od doktora Haydocka.

— Doktor Haydock to mój bardzo stary przyjaciel.

— Z pewnością. Chce pani zobaczyć się z panem Jasonem Ruddem? Dlaczego?

— To konieczne.

Doktor Gilchrist przyglądał się jej z podziwem. — I zostanie tu pani aż do skutku?

— Właśnie.

— Tego się spodziewałem. W takim razie podam pani przyczynę, dla której nie może pani rozmawiać z panem Ruddem. Dziś w nocy jego żona zmarła we śnie.

— Zmarła! — wykrzyknęła panna Marple. — Jak?

— Przedawkowała środki nasenne. Przynajmniej przez kilka godzin chcemy ukryć tę wiadomość przed prasą. Dlatego proszę, by na razie zatrzymała ją pani dla siebie.

— Oczywiście. Czy to był wypadek?

— Taka jest moja opinia.

— A może samobójstwo?

— Możliwe, ale mało prawdopodobne.

— A może ktoś jej podał tabletki?

— Minimalna szansa. W dodatku — dodał stanowczo — byłoby to absolutnie nie do udowodnienia.

— Rozumiem — stwierdziła panna Marple. Odetchnęła głęboko. — Przykro mi, ale tym pilniej muszę się widzieć z panem Ruddem.

Gilchrist spojrzał na nią.

— Proszę zaczekać — powiedział.

XXIII

Jason Rudd podniósł głowę, słysząc wchodzącego Gilchrista.

— Na dole czeka taka starsza dama — powiedział doktor. — Wygląda na setkę. Chce się z tobą widzieć. Nie przyjmuje odmowy i twierdzi, że zaczeka. Będzie czekać aż do popołudnia, jak rozumiem, albo do wieczora. Według mnie jest zdolna spędzić tu noc. Koniecznie chce ci coś powiedzieć. Na twoim miejscu zobaczyłbym się z nią.

Jason Rudd uniósł wzrok znad biurka. Twarz miał bladą i zmęczoną.

— To wariatka?

— Nie. W żadnym razie.

— Nie rozumiem dlaczego... A zresztą dobrze, przyślij ją. To bez znaczenia.

Gilchrist skinął głową, wyszedł i wezwał Haileya Prestona.

— Pan Rudd zgodził się poświęcić pani kilka minut, panno Marple — oznajmił Hailey Preston, zjawiając się w holu.

— Dziękuję. To bardzo miło z jego strony. — Panna Marple wstała. — Długo pan pracuje u pana Rudda? — zapytała.

— No, jestem z nim jakieś dwa i pół roku. Zajmuję się głównie prasą.

— Rozumiem — odparła. — Przypomina mi pan dawnego znajomego. Nazywał się Gerald French.

— Naprawdę? A co robił ten Gerald French?

— Niewiele, ale potrafił dobrze mówić. — Westchnęła. — Miał niezbyt szczęśliwą przeszłość.

— Coś takiego. — Hailey Preston lekko się zaniepokoił. — Jaką przeszłość?

— Nie będę powtarzać. Nie lubił, o tym mówić.

Jason Rudd wstał zza biurka i spojrzał z pewnym zdziwieniem na szczupłą starszą damę.

— Chciała się pani ze mną widzieć? W czym mogę pomóc?

— Bardzo mi przykro z powodu śmierci pana żony — odparła panna Marple. — Widzę, że bardzo pan cierpi. Chciałabym zapewnić, że nie nagabywałam pana i nie narzucałam się ze współczuciem, gdyby nie było to absolutnie konieczne. Jednak są pewne sprawy, które trzeba wyjaśnić natychmiast,

by nie ucierpiał niewinny człowiek.

— Niewinny człowiek? Nie rozumiem pani?

— Arthur Badcock — wyjaśniła panna Marple. — Jest teraz przesłuchiwany przez policję.

— Przesłuchiwany w związku ze śmiercią mojej żony? Ależ to absurd, zupełny absurd. Nigdy nawet nie zbliżył się do niej. Nawet jej nie znał.

— Chyba ją znał. Kiedyś był jej mężem.

— Arthur Badcock? To nieporozumienie. Przecież... ale on... on był mężem Heather Badcock. A może pani... — zaczął ostrożnie i delikatnie. — Może pani się myli?

— Był mężem ich obu — wyjaśniła panna Marple. — Ożenił się z pańską żoną, kiedy była bardzo młoda. Zanim zaczęła karierę w filmie.

Jason Rudd pokręcił głową.

— Pierwszym mężem mojej żony był człowiek nazwiskiem Alfred Beadle. Zajmował się nieruchomościami. Nie pasowali do siebie i rozstali niemal natychmiast.

— A potem Alfred Beadle zmienił nazwisko na Badcock. Pracuje w agencji handlu nieruchomościami. To dziwne, ale niektórzy ludzie nie lubią zmieniać zajęcia i całe życie robią to samo. Przypuszczam, że właśnie dlatego Marina Gregg uznała, że on się dla niej nie nadaje. Nie potrafiliby dotrzymać jej kroku.

— Mówi pani zaskakujące rzeczy.

— Zapewniam, że nie wymyślam tego ani sobie nie wyobrażam. Przekazuję tylko fakty. Takie plotki szybko rozchodzą się po miasteczku, choć trwa trochę dłużej, nim dotrą do Gossington Halil

— No cóż — Jason Rudd zająknął się niepewnie. — A co ja mógłbym dla pani zrobić, panno Marple? — zapytał.

— Chciałabym, jeśli można, stanąć na schodach w miejscu, gdzie pan i pańska żona przyjmowaliście gości w dniu bankietu.

Spojrzał na nią nerwowo. Czyżby mimo wszystko trafił na kolejną łowczynię sensacji? Lecz twarz panny Marple była spokojna i poważna.

— Oczywiście — odparł. — Jeśli sobie pani życzy. Proszę za mną.

Zaprowadził ją na szczyt schodów i stanął w otwartym salonie.

— Sporo się zmieniło w tym domu, odkąd mieszkali tu państwo Bantry — zauważyła panna Marple. — Podoba mi się. A teraz niech popatrzę. Stoliki były pewnie tutaj, a pan z żoną...

— Moja żona stała w tym miejscu. — Jason wskazał miejsce. — Goście wchodzili po schodach, podawała im rękę i przekazywała mnie.

— Stała tutaj — powtórzyła panna Marple.

Przeszła i zajęła miejsce Mariny Gregg. Stała tam spokojnie i nieruchomo. Jason Rudd obserwował ją. Był zdziwiony, lecz zaciekawiony. Lekko uniosła rękę, jakby się zachwiała i próbowała odzyskać równowagę. Spojrzała na schody, jak gdyby chciała zobaczyć wchodzących gości. Potem popatrzyła prosto przed siebie. Na ścianie w połowie schodów wisiał wielki obraz, kopia któregoś z włoskich mistrzów. Po obu stronach były wąskie okna. Jedno wychodziło na ogród, drugie na róg stajni i kurka na dachu. Lecz panna Marple nie patrzyła w okna. Wpatrywała się w obraz.

— Oczywiście, człowiek dowiaduje się wszystkiego już za pierwszym razem — oświadczyła. — Pani Bantry mówiła, że pańska żona patrzyła na obraz ze „skamieniałą” twarzą, jak to określiła. — Spojrzała na ciemnoczerwone i błękitne szary Madonny, na samą Madonnę z odchyloną głową, śmiejącą się do Świętego Dzieciątka, które trzymała na ręku. — „Roześmiana Madonna” Giacomo Belliniego — stwierdziła. — Religijny obraz, ale także wizerunek szczęśliwej matki z dzieckiem. Czy nie tak, panie Rudd?

— Chyba tak.

— Teraz rozumiem. Doskonale rozumiem. Cała ta sprawa jest właściwie całkiem prosta. — Spojrzała na Rudda.

— Prosta?

— Przypuszczam, że wie pan, jak prosta — dodała panna Marple.

Z dołu dobiegł dźwięk dzwonka.

— Chyba nie rozumiem — odparł Jason Rudd. Spojrzał w dół. W holu rozległa się jakaś rozmowa.

— Znam ten głos — zauważyła panna Marple. — To inspektor Craddock, prawda?

— Tak, to chyba Inspektor Craddock.

— Pewnie też chce się z panem zobaczyć. Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli się do nas przyłączy?

— Jeżeli o mnie chodzi, to nie. Czy on się na to zgodzi...

— Sądzę, że tak — powiedziała panna Marple. — Nie ma wiele czasu do stracenia. Nadszedł moment, kiedy musimy zrozumieć, jak to wszystko się stało.

— Mówiła pani, że to proste — przypomniał Jason Rudd.

— Tak proste, że właściwie nie sposób tego od razu dostrzec. Wiekowy lokaj zjawił się na schodach.

— Przybył inspektor Craddock — oznajmił.

— Poproś, żeby do nas dołączył — rzekł Rudd.

Lokaj zniknął i po chwili na schody wszedł Dermot Craddock.

— To ty! — zawołał na widok panny Marple. — Jak się tu dostałaś?

— Przyjechałam w Inchu — wyjaśniła panna Marple, jak zwykle budząc tą uwagą pewne zdziwienie.

Stojący za nią Jason Rudd spojrzał pytająco i puknął się znacząco w czoło. Dermot Craddock pokręcił głową.

— Mówiłam właśnie panu Ruddowi... — zaczęła panna Marple. — Czy lokaj odszedł?

Dermot Craddock spojrzał w dół.

— Tak, nie będzie podsłuchiwał. Sierżant Tiddler tego na pewno dopilnuje.

— Więc wszystko w porządku. Moglibyśmy oczywiście porozmawiać w jakimś pokoju, ale wolę tutaj. Jesteśmy w miejscu, gdzie to wszystko się zdarzyło. To ułatwi nam zrozumienie.

— Mówi pani — wtrącił Jason Rudd — o dniu przyjęcia, kiedy została otruta Heather Badcock.

— Tak. I twierdzę, że to bardzo proste, jeśli tylko spojrzysz się na to z odpowiedniej strony. Sprawa zaczęła się, wie pan, od tego, że Heather Badcock była osobą właśnie taką, jaką była. Coś podobnego musiało ją kiedyś spotkać. To było nieuniknione.

— Nie bardzo panią rozumiem — powiedział Rudd. — Właściwie wcale nie rozumiem.

— Wiem, to trzeba wytłumaczyć. Widzi pan, moja przyjaciółka, pani Bantry, która była tu obecna, opisując mi tę scenę zacytowała wiersz, który za czasów naszej młodości był szlagierem. Wiersz drogiego lorda Tennysona. „Pani z Shalott”. — Lekko podniosła głos.

Zwierciadło pęka w odłamków stos:

„Klątwa nade mną”, krzyczy w głos

Pani z Shalott.

— To właśnie widziała pani Bantry, a przynajmniej zdawało jej się, że widzi, choć trochę przekreśliła cytat. Powiedziała zguba zamiast klątwa, ale może to lepsze słowo w tych okolicznościach. Patrzyła, jak pańska żona rozmawia z Heather Badcock; słyszała, co Heather Badcock opowiada pańskiej żonie i widziała ten wyraz zguby na jej twarzy.

— Czy nie mówiliśmy o tym już tyle razy? — zapytał Jason Rudd.

— Tak, ale musimy powiedzieć raz jeszcze. Pańska żona istotnie miała taki wyraz twarzy. Jednak nie patrzyła na Heather Badcock, a na ten obraz. Na portret roześmianej, szczęśliwej matki, trzymającej na rękach szczęśliwe dziecko. Pomyłka polegała na tym, że choć wyraz twarzy Mariny Gregg zwiastował zgubę, to nie chodziło o zgubę Mariny. Zguba nadciągnęła nad Heather. Heather była skazana od chwili, gdy zaczęła mówić, chwając się tym incydentem z przeszłości.

— Czy mogłabyś tłumaczyć trochę jaśniej? — poprosił Dermot. Panna Marple odwróciła się do niego.

— Oczywiście. To coś, o czym nie masz pojęcia. Nie mogłeś wiedzieć, ponieważ nikt ci nie powiedział, co naprawdę mówiła Heather Badcock.

— Ależ opowiadali mi — zaprotestował Dermot. — Różne osoby opowiadały mi to mnóstwo razy.

— Tak — zgodziła się panna Marple. — Ale nie wiesz, gdyż Heather Badcock nie opowiadała tego tobie.

— Nie mogła mi opowiedzieć, skoro była martwa, kiedy tu przybyłem.

— Właśnie. Wiesz tylko, że była chora, ale wstała z łóżka i poszła na jakiś bankiet, gdzie spotkała Marinę Gregg, rozmawiała z nią, poprosiła o autograf i otrzymała go.

— Tak — stwierdził niecierpliwie Craddock. — Już to słyszałem.

— Ale nie słyszałeś jednego kluczowego zdania. Ponieważ nikt nie sądził, że jest istotne. Heather Badcock chorowała wtedy na różyczkę.

— Różyczkę? A jaki to ma związek?

— To lekka choroba — wyjaśniła panna Marple. — Przechodzi prawie bez objawów. Występuje przy tym wysypka, którą łatwo zamaskować pudrem, czasem też niezbyt wysoka gorączka. Czujesz się dość dobrze, żeby wyjść i spotkać się z ludźmi, jeśli masz chęć. Oczywiście, kiedy o tym opowiadali, fakt, że chodziło o różyczkę, nie wydał im się szczególnie ważny. Pani Bantry powiedziała niedawno, że Heather chorowała na ospę lub pokrzywkę. Pan Rudd mówił, że to była grypa, ale on oczywiście zrobił to celowo. Sądzę jednak, że Heather Badcock powiedziała Marinie, że miała różyczkę, wstała z łóżka i poszła na spotkanie. I to jest właśnie rozwiązanie całego problemu, ponieważ, widzisz, różyczka jest wyjątkowo zakaźna. Ludzie z łatwością się zarażają. I trzeba pamiętać jeszcze jedno. Jeśli kobieta zachoruje na to w ciągu pierwszych czterech miesięcy... — następne słowo panna Marple wypowiedziała z delikatną, wiktoriańską skromnością — ... ee...

ciąży, efekty mogą być bardzo poważne. Zdarza się, że dziecko przychodzi na świat niewidome lub z uszkodzonym mózgiem.

Obejrzała się na Jasona Rudda.

— Nie myślę się chyba, panie Rudd. Pańska żona urodziła dziecko, które było niedorozwinięte umysłowo. I nigdy nie otrząsnęła się z tego szoku. Zawsze pragnęła dziecka. A kiedy w końcu je miała, zdarzyła się tragedia. Tragedia, której nigdy nie zapomniała, o której nie pozwoliła sobie zapomnieć, która dręczyła ją obsesyjnie.

— To prawda — przyznał Jason Rudd. — We wczesnym okresie ciąży Marina zaraziła się różyczką. Lekarz stwierdził, że to właśnie stało się przyczyną umysłowego niedorozwoju dziecka. Nie było mowy o jakiejś dziedzicznej skazie ani niczym podobnym. Próbował pomóc, ale nie sądzę, by mógł coś poradzić. Nigdy się nie dowiedziała jak, kiedy i od kogo zaraziła się tą chorobą.

— Właśnie — stwierdziła panna Marple. — Nie wiedziała do pewnego popołudnia, kiedy zupełnie obca kobieta weszła po tych schodach i jej to powiedziała. Co więcej, powiedziała o tym z radością! Z dumą! Myślała, że była dzielna i odważna wstając z łóżka, idąc na spotkanie z aktorką, którą tak lubiła, i wracając z autografem. Przez całe życie chwaliła się tym wyczynem. Heather nie chciała zrobić nikomu krzywdy. Jednak nie ma wątpliwości, że tacy ludzie jak Heather Badcock (i jak moja dawna przyjaciółka Alison Wilde) potrafią wyrządzić wiele zła, ponieważ brakuje im... nie, nie dobroci, są dobrymi ludźmi, ale zastanowienia, jak ich działania mogą wpłynąć na innych. Myślała tylko, co ten czyn znaczył dla niej i nie zastanawiała się nawet przez moment, co może oznaczać dla kogoś innego.

Panna Marple lekko pokiwała głową.

— Dlatego zginęła, widzi pan, a przyczyną była jej przeszłość. Musicie sobie wyobrazić, co ta chwila oznaczała dla Mariny Gregg. Pan Rudd, jak sądzę, rozumie to doskonale. Myślę, że przez całe lata pielęgnowała nienawiść dla tej nieznannej osoby, która stała się powodem tragedii. I nagle ją spotkała, twarzą w twarz, osobę wesołą, energiczną i zadowoloną z siebie. To było zbyt wiele. Gdyby miała czas, żeby się zastanowić, uspokoić, gdyby spróbowała się odprężyć... Ale nie dała sobie tego czasu. Oto znalazła kobietę, która zniszczyła jej szczęście, zdrowie i umysł jej dziecka. Chciała ją ukarać. Chciała ją zabić. I niestety miała ku temu środki. Nosiła przy sobie powszechnie używany lek, Calmo. To dość niebezpieczny specyfik, ponieważ trzeba bardzo uważać z dawkowaniem. Sprawa nie była trudna. Wrzuciła tabletki do własnej szklanki. Gdyby nawet ktoś to zauważył, to cóż, wszyscy byli tak przyzwyczajeni, że bierze środki uspokajające lub pobudzające. Nikt by nie zwrócił uwagi. Możliwe, że ktoś ją widział, ale wątpię. Moim zdaniem panna Zielinsky tylko zgadywała. Marina Gregg odstawiła szklankę na stół, a następnie potrafiła Heather Badcock, by ta wylała koktajl na swoją nową suknię. I tu pojawia się element łamigłówki. A to dlatego, że ludzie nie potrafią właściwie używać zaimków.

Nabrała tchu.

— Przypomina mi to pokojówkę, o której ci opowiadałam — dodała, zwracając się do Dermota. — Wiedziałam tylko, co Gladys Dixon powiedziała do Cherry. Mianowicie, że martwiła się o suknię

Heather Badcock, zniszczoną rozlanym koktajlem. Wydało jej się zabawne, że ona zrobiła to celowo. Ale ona, o której mówiła Gladys, to nie Heather Badcock, ale Marina Gregg. Tak jak powiedziała Gladys: zrobiła to celowo! Trąciła Heather w ramię. Nie przypadkiem, lecz dlatego, że chciała to zrobić. Wiemy, że stała bardzo blisko, ponieważ słyszeliśmy, że wycierała sukienkę swoją i Heather, a potem oddała jej swój koktajl. Właściwie — dodała w zadumie panna Marple — to była zbrodnia doskonała, ponieważ, widzisz, została popełniona pod wpływem chwili, bez odrobiny czasu do namysłu czy refleksji. Chciała zabić Heather Badcock i po kilku minutach Heather była martwa. Może nie zdawała sobie sprawy z wagi tego czynu, a już na pewno nie z zagrożenia, jakie się z tym wiąże. Potem jednak sobie to uświadomiła. Była przerażona, straszliwie przerażona. Bała się, że ktoś zauważył jak wrzucała tabletki do własnej szklanki, że ktoś widział jak umyślnie trąciła Heather w łokieć, że ktoś oskarży ją o zabójstwo. Znalazła tylko jedno rozwiązanie: utrzymywać, że to ona była celem mordercy, że ona miała być ofiarą. Najpierw wypróbowała ten pomysł na swoim lekarzu. Nie pozwoliła mówić o tym mężowi, ponieważ chyba wiedziała, że mąż nie da się oszukać. Wyczyniała fantastyczne rzeczy. Pisywała do siebie listy, które odnajdywała w niezwykłych miejscach i przedziwnych momentach. Pewnego dnia w studio zatrąła własną kawę. Robiła rzeczy, które łatwo było zrozumieć, jeżeli ktoś spojrział na to w odpowiedni sposób. A w ten sposób spojrziała tylko jedna osoba. Panna Marple popatrzyła na Jasona Rudda.

— To tylko pani teoria — oświadczył.

— Można to tak określić, jeśli ma pan ochotę. Ale wie pan bardzo dobrze, panie Rudd, że mówię prawdę. Wie pan, ponieważ wiedział pan od samego początku. Wiedział pan, gdyż usłyszał wzmiankę o różyczce. Wiedział pan i rozpaczliwie próbował chronić Marinę. Chociaż nie zdawał pan sobie sprawy, przed czym potrzebna będzie ochrona. Wiedział pan, że to nie tylko kwestia zatuszowania jednej śmierci, śmierci kobiety, która, jak trzeba uczciwie przyznać, sama tę śmierć na siebie sprowadziła. Ale były też inne zgony. Giuseppe... szantażysta, to prawda, ale istota ludzka. I Ella Zielinsky, którą chyba dość pan lubił. Gorączkowo chciał pan ochronić Marinę i nie dopuścić, by wyrządziła więcej zła. Chciał pan wyjechać z nią w bezpieczne miejsce. Próbował pan pilnować ją przez cały czas, by nic więcej się nie stało.

Urwała, a potem podeszła do Jasona Rudda, delikatnie kładąc mu rękę na ramieniu.

— Bardzo panu współczuję, bardzo. Rozumiem, przez co pan przeszedł. Ogromnie ją pan kochał, prawda?

Jason Rudd odwrócił się lekko.

— O ile wiem — stwierdził — jest to fakt powszechnie znany.

— Była piękną istotą. I miała wspaniały dar. Dysponowała mocą miłości i nienawiści, ale brakowało jej harmonii. To smutne, gdy ktoś rodzi się bez równowagi. Nie potrafiła zapomnieć o przeszłości i nie potrafiła spojrzeć w realną przyszłość, a jedynie w taką, jaką sobie wyobrażała. Była wspaniałą aktorką i piękną, bardzo nieszczęśliwą kobietą. Jakże cudownie zagrała Marię, królową Szkotów! Nigdy jej nie zapomnę.

Na schodach zjawił się nagle sierżant Tiddler.

— Sir — zawołał. — Czy mogę prosić pana na chwilę? Craddock odwrócił się.

— Zaraz wracam — powiedział do Rudda i zszedł po schodach.

— Pamiętaj — zawołała za nim panna Marple. — Biedny Arthur Badcock nie ma z tym nic wspólnego. Przyszedł na przyjęcie, ponieważ chciał spojrzeć na dziewczynę, którą poślubił tak dawno temu. Pewnie nawet go nie rozpoznała. Prawda? — spytała Jasona.

Rudd pokręcił głową.

— Tak przypuszczam. Przynajmniej nic mi nie mówiła. Ale nie sądzę — dodał po namyśle — by potrafiła go rozpoznać.

— Prawdopodobnie nie. W każdym razie jest zupełnie niewinny. Nie chciał jej zabić ani nic w tym rodzaju. Pamiętaj o tym — dodała, zwracając się do Dermota.

— Mogę cię zapewnić, że nic mu nie groziło — odparł Craddock. — Ale oczywiście, gdy dowiedzieliśmy się, że był pierwszym mężem Mariny Gregg, musieliśmy go przesłuchać w tej sprawie. Nie martw się o niego, ciociu Jane — dodał cicho i zbiegł na dół.

Panna Marple odwróciła się do Jasona Rudda. Stał wpatrzony w przestrzeń, jak człowiek oszołomiony,

— Pozwoli mi pan ją zobaczyć? — zapytała. Zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

— Może ją pani zobaczyć. Mam wrażenie, że pani ją rozumie. Odwrócił się. Panna Marple poszła za nim. Wprowadził ją do wielkiej sypialni i lekko odsunął kotarę.

Marina Gregg z zamkniętymi oczami i złożonymi dłońmi leżała w wielkiej białej muszli łóżka.

Tak mogła wyglądać Pani z Shalott, leżąca w łodzi, która niosła ją do Camelotu, pomyślała panna Marple. A obok, zamyślony, stał mężczyzna o kanciastej, brzydkiej twarzy, który mógłby uchodzić za Lancelota dzisiejszych czasów.

Panna Marple odezwała się cicho.

— To bardzo szczęśliwy przypadek, że przedawkowała środki nasenne. Śmierć była jedyną ucieczką, jaka jej pozostała. Tak... to szczęśliwy zbieg okoliczności, że wzięła te leki... lub... ktoś jej podał?

Spojrzał jej w oczy bez słowa.

— Była taka piękna — powiedział po chwili łamiącym się głosem. — Tak piękna... i tak wiele wycierpiała.

Panna Marple spojrzała na nieruchomą postać. Zacytowała cicho ostatnie wersy poematu:

I rzecze: „Piękną miała twarz;

Wdziękiem obdarzył ją Pan nasz,

Panią z Shalott.”